

JANET Numer 1 z listy bestsellerów New York Timesa

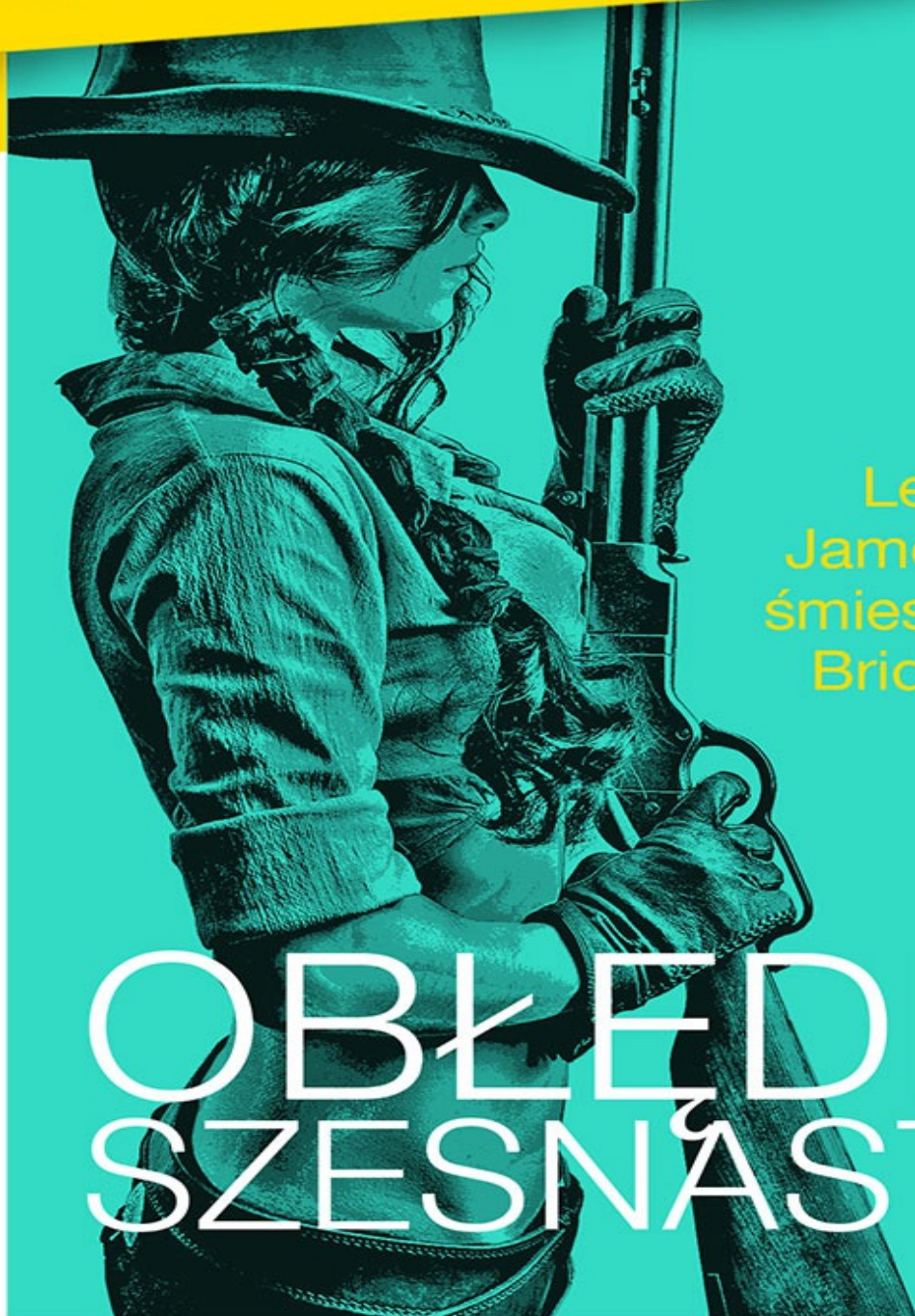
EVANOVICH

STEPHANIE PLUM

Lepsza od
Jamesa Bonda,
śmieszniejsza niż
Bridget Jones

fabryka słów®

OBŁĘDNA
SZESNĄSTKA



Spis treści

Karta tytułowa

Łowczyni nagród Stephanie Plum

Raz

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć

Dwadzieścia siedem

Stephanie Plum

Karta redakcyjna

Okładka

**JANET
EVANOVICH**

**STEPHANIE
PLUM**

OBŁĘDNA SZESNASTKA

Tłumaczyła
Dominika Repeczko

fabryka słów®

Lublin 2016

Łowczyńi nagród Stephanie Plum:

1. Jak upolować faceta. Po pierwsze dla pieniędzy
2. Po drugie dla kasy
3. Po trzecie dla zasady
4. Zaliczyć czwórkę
5. Przybić piątkę
6. Po szóste nie odpuszczaj
7. Szczęśliwa siódemka
8. Ósemka wygrywa
9. Wystrzałowa dziewiątka
10. Dziesięć kawałków
11. Najlepsza jedenastka
12. Parszywa dwunastka
13. Złośliwa trzynastka
14. Odlotowa czternastka
15. Smakowita piętnastka
16. Oblędna szesnastka
17. Smokin' Seventeen
18. Explosive Eighteen
19. Notorious Nineteen

*Dziękuję Laurze A. Koppe
za pomysł na tytuł tej książki*

Raz

Mój wujek Pip zmarł i zostawił mi swoją magiczną butelkę. Chyba miałam szczęście, bo babci Mazurowej zostawił w spadku swoje sztuczne zęby. Tak więc mam butelkę i nie bardzo wiem, co z nią począć. Przecież nie mam takiej na przykład półki nad kominkiem. Nazywam się Stephanie Plum i mieszkam w bardzo skromnym mieszkaniu na przedmieściach Trenton, w New Jersey. Dzielę to mieszkanie z chomikiem Reksem, który też nie wie, co począć z butelką. Magiczna butelka ma kształt i rozmiar butelki od piwa. Szkło jest czerwone i wygląda na dmuchane ręcznie. Nie jest tak całkiem brzydka, szczególnie dla kogoś, kto lubi piwo, ale ładna też nie jest. Nie przyniosła mi też szczęścia, a chyba takie było jej zadanie. Postawiłam butelkę na blacie w kuchni, między klatką Rekxa a brązowym słojem na ciasteczka, w którym zwykle trzymam pistolet. Była połowa czerwca i późny poniedziałkowy ranek. Lula wpadła do mnie – przyjechała z litości, mój wrakowóz zdechł i potrzebowałam podwózki do pracy.

– Hunh – powiedziała Lula – co to za czerwona butelka na blacie?

– Magiczna butelka, ponoć szczęśliwa.

– Taak? A co w niej takiego szczęśliwego? Mnie tam nie wygląda na specjalnie szczęśliwą. Wygląda mi na jedną z tych designerskich butelek po piwie, tylko że ma jeszcze wymyślny szklany korek.

– Odziedziczyłam ją po wujku Pipie.

– Pamiętam go – stwierdziła Lula. – Był stary jak świat, co nie? Miał takiego wielkiego wrzoda na czole. To on wy dostał się jakoś z domu seniora dwa tygodnie temu, w czasie tej wielkiej burzy, nasikał na przewód elektryczny i poraził się prądem na śmierć.

– Ta. Właśnie ten wujek.

Pracuję jako agentka do spraw windykacji poręczeń dla mojego kuzyna Vinniego, a Lula jest tam pomocą biurową, kierownicą i znawcą mody. Lula uwielbia podejmować wyzwanie, jakim jest wciśnięcie ciała w rozmiarze XXL w jadownicę zieloną spódniczkę w rozmiarze osiem i top w lamparcie cętki. Lula ma skórę barwy mlecznej czekolady, w tym tygodniu włosy w kolorze strażackiej czerwieni, a jej styl bycia jest w stu procentach rodem z Jersey.

Jestem wyższa od Luli o kilka centymetrów i podczas gdy jej ciało jest aż nadto zmysłowe, moje jest raczej w rozmiarze 80C. Mój image to damska elastyczna koszulka, czy jak kto woli T-shirt, jeansy i adidas. Odcień mojej skóry nie jest w żadnym razie czekoladowy, naturalnie kręcone włosy do ramion są po prostu brązowe i zwykle zebrane w kitkę, oczy mam niebieskie i ciągle jeszcze nie znalazłam swojego stylu bycia.

Przewiesiłam torebkę przez ramię i lekko popchnęłam Lulę w kierunku drzwi.

– Musimy iść. Connie dzwoniła jakieś dziesięć minut temu i brzmiała na wzburzoną.

– Co jest grane? – zainteresowała się Lula. – Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była wzburzona.

Connie Rosolli jest kierownikiem biura u Vinniego. Moje geny w połowie pochodzą od Włochów, w połowie od Węgrów. Connie to stuprocentowa Włoszka. Jest kilka lat starsza ode mnie, ma więcej włosów niż ja i nieustannie lepszy manicure. W firmie jej biurko stoi strategicznie przed drzwiami gabinetu mojego kuzyna, by stanowić zaporę dla oszukanych bukmacherów, doręczycieli pozwów sądowych, dziwek ewidentnie chorych na opryszczkę albo zboczonych degeneratów z patentami na szybką forszę, opracowanymi pod wpływem Bóg jeden wie czego.

Mieszkam dziesięć minut jazdy od biura, o ile nie ma ruchu. Akurat był i Lula potrzebowała dwudziestu, by doprowadzić swego firebirda na Hamilton Avenue, gdzie mieści się firma Vinniego, niedaleko szpitala, między pralnią chemiczną a antykwariatem. Pomieszczenie frontowe ma wystawowe okno i rząd kartotek, za którymi znajdują się drzwi do składziku, gdzie przechowujemy wszystko, od amunicji po grilla George’a Foremana. Grilla trzymamy jako zakładnika, póki George, nieszczęsny miłośnik burgerów, nie stawi się na rozprawie. Z głównego biura można przejść do gabinetu, w którym zwykle ukrywa się Vinnie.

Lula zaparkowała przy krawężniku i wpakowałyśmy się do firmy. Lula od razu opadła na ustawioną pod ścianą kanapę, obitą sztuczną skórą, a ja zajęłam plastikowe, pomarańczowe krzesło przed biurkiem Connie. Drzwi do gabinetu Vinniego stały otworem, ale mojego kuzyna nie było widać.

– Co jest? – spytałam Connie.

– Mickey Maruda zgarnął Vinniego. Wczoraj w nocy przyłapał go w kompromitującej sytuacji, ze spuszczonej spodniami. Na Stark, na rogu Stark i Trzynastej. I z tego, co mi się udało dowiedzieć, poskładałam, że Maruda i jego dwóch chłopaczków, grożąc bronią,

zawlekli Vinniego do cadillaca escalade'a, wpakowali go na tylne siedzenie i odjechali.

– Znam ten róg – odezwała się Lula. – To jest róg Maureen Brown. Maureen i ja trzymałyśmy się razem, gdy jeszcze byłam dziwką. Nie była taka dobra w tej robocie jak ja, ale nie była szmatą.

Lula pracowała na Stark, zanim została pomocą biurową. Początki miała trudne, ale się pozbierała i podejrzewam, że kiedyś zostanie gubernatorem New Jersey.

– No w każdym razie wychodzi na to, że Vinnie miał pecha na torze i teraz wisi Mickeyowi siedemset osiemdziesiąt sześć tysięcy – oznajmiła Connie.

– Ło! To kupa forsy – stwierdziła Lula.

– Część z tego to odsetki – wyjaśniła Connie. – Wysokość odsetek może podlegać negocjacom.

Maruda był bukmacherem Vinniego, od kiedy sięgałam pamięcią, i nie po raz pierwszy Vinnie wisiał mu pieniądze, ale z tego, co wiedziałam, nigdy aż tyle.

– Mickey pracuje teraz dla Bobby'ego Słonecznika. A nie chcesz zadzierać z Bobbym – uświadomiła mnie Lula.

– Sytuacja jest poważna?

– Czasy są ciężkie i Mickey chce dostać swoją forszę – odpowiedziała Connie. – Zbyt wiele ludzi go oszukuje i wystawia do wiatru, więc zamierza zrobić z Vinniego przykład. Jeśli Vinnie nie skołuje forsy do końca tygodnia, to go zabiją.

– Bobby Słonecznik jest do tego zdolny – zapewniła mnie Lula. – To on się postarał, żeby Jimmie Sanches zniknął... na zawsze. I jeszcze masa innych ludzi też, z tego, co słyszałam.

– Poszłaś na policję? – spytałam Connie.

– No akurat tam to mi się nie spieszy. Vinnie ma długi z powodu nielegalnej gry. Do tego jest jeszcze możliwość, że część tej kasy wyprowadził z firmy. Kiedyś właścicielem agencji był teść Vinniego, sama wiesz, ale w zeszłym roku wykupiła nas Wellington Company i raczej nie będą tolerować tego, że Vinnie gra za ich forszę. Jeśli to się wyda, to wszystkie możemy znaleźć się na bruku.

– A co z tym teściem? – spytała Lula. – Wszyscy wiedzą, że ma kupę forsy. No i może docisnąć Bobby'ego.

Teściem Vinniego jest Harry Młot. Tak długo jak Vinnie dobrze traktuje córkę Harry'ego Lucillę, wszystko jest cacy, ale podejrzewam, że Harry nie byłby zadowolony, gdyby się

dowiedział, że Vinniego zgarnęli, gdy posuwał prostytutkę na Stark.

– Maruda sam poszedł do Harry’ego. Harry nie tylko nie zamierza zapłacić za uwolnienie Vinniego, ale obiecał, że jak Vinnie wyjdzie z tego żywy, to on go osobiście zatłucze na śmierć – odpowiedziała Connie.

– No to w takim razie wszystko jasne – oświadczyła Lula. – *Adios*, Vinnie. Osobiście to mogłabym teraz wrzucić na ruszt taką kanapkę z Gdaczącego Kubełka. Ktoś jest zainteresowany wypadem do Kubełka?

– Jeśli nie ma Vinniego, nie ma poręczeń, a jak nie ma poręczeń, to my nie dostaniemy wypłaty, a jak nie będzie wypłaty, to nie będzie też Kubełka – uświadomiła Lulę Connie.

– To niedobrze. Przyzwyczaiałam się już do życia na pewnym poziomie. Najczęściej jadam w Kubełku. O rachunkach już nie wspomnę. Kupiłam w zeszłym tygodniu boskie Via Spigi. Miałam je na nogach tylko raz, więc pewnie mogłabym je zwrócić, ale wtedy nie będę miała butów do mojej nowej czerwonej sukienki, a specjalnie dla tej sukienki umówiłam się na randkę w ten piątek.

– Nie mamy zbyt wielu opcji – oznajmiła Connie ponuro. – Musimy same to załatwić.

Vinnie jest niczym grzyb na moim drzewie genealogicznym. To dobry poręczyciel, ale skończona gnida pod każdym innym względem. Ma smukłe, pozbawione kości ciało fretki. Brązowe włosy gładko zaczesane do tyłu, spodnie zbyt ciasne, a jego buty mają zbyt długie noski, do tego zbyt wiele guzików jego obleśnych koszul zostaje niezapiętych. Nosi liczne pierścionki, łańcuchy, bransolety, a czasami nawet i kolczyk. Gra nałogowo we wszystko, co popadnie, współżyje ze wszystkim, co popadnie, i bynajmniej nie wzdraga się przed perwersjami. Ale prawda była taka, że choć ma niezliczone wady, to w głębi duszy martwiłam się o niego. Kiedy przyszły ciężkie czasy i nikt nie chciał mnie zatrudnić, Vinnie to zrobił. Dobra, zmusiłam go szantażem, ale jak by nie patrzeć, dał mi pracę.

– Chciałabym pomóc – zapewniłam. – Ale nie mam takiej forsy.

To było gigantyczne niedopowiedzenie. W ogóle nie miałam forsy. Zalegałam miesiąc z czynszem, mój samochód nadawał się tylko na złom, a pies mojego chłopaka zjadł mi adidasa. Określenia „chłopak” używam raczej w luźnym tego słowa znaczeniu. Facet nazywa się Joe Morelli i nie jestem pewna, jak właściwie określić nasz związek. Czasami oboje jesteśmy pewni, że się kochamy, czasami uważamy, że ta relacja to po prostu obłąd. On jest gliniarzem w dochodzeniówce, ma własny dom, babkę z piekła rodem, smukłe muskularne ciało i brązowe oczy, które potrafią przyspieszyć rytm mego serca.

Dorastaliśmy razem, na wiele sposobów, ale wszystko wskazuje na to, że on dorósł bardziej niż ja.

– Nie mówiłam o pieniądzach – uświadomiła mnie Connie. – Jesteś łowcą nagród. Znajdujesz ludzi. Musisz tylko znaleźć Vinniego i przyprowadzić go z powrotem.

– O nie. Nie, nie, nie. Zły pomysł. Mówimy o Bobbym Słoneczniku! Jest wredny! Nie spodobałoby mu się, gdybym mu ukradła zakładnika!

– Laska – odezwała się Lula – jak czegoś nie zrobisz, to Vinniemu sprawią dodatkową wentylację w głowie. A wiesz, co by z tego wynikło.

– Żadnych nowych butów?

– Ażebyś wiedziała!

– Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć! – zaproponowałam.

– Możesz zacząć od Komandosa – podsunęła. – On wie wszystko i jeszcze ma słabość do ciebie.

Komandos jest drugim mężczyzną w moim życiu. I gdy mój związek z Morellim można opisać jako zagmatwany, to związku z Komandosem nie umiem opisać w ogóle. Komandos kiedyś służył w siłach specjalnych, teraz jest współwłaścicielem firmy ochroniarskiej, zabójczo przystojnym w ten latynoski, mroczny sposób, i chodzącym wcieleniem seksu. Jeździ drogimi czarnymi wozami, ubiera się tylko w czarne ciuchy i śpi nago. Wiem z doświadczenia. Wiem też, że wystawianie się zbyt długo na działanie Komandosa jest niebezpieczne. Komandos może uzależnić, a to nie byłoby dobre uzależnienie dla kobiety wychowanej w tradycyjnych wartościach jak ja, bowiem w jego życiowych planach nie ma miejsca na małżeństwo. No a jeśli wziąć pod uwagę, ilu narobił sobie wrogów, jego życiowe plany mogą nie uwzględniać nawet życia.

– Masz jakieś inne sugestie?

– Jasne. Mam mnóstwo sugestii. Mickeya Marudę będzie łatwo znaleźć, Vinnie ma go wpisanego w swoim odjazdowym adresowniku. Co ja gadam, Maruda ma pewnie własną stronę internetową i jest na Facebooku.

– A wiesz, gdzie mieszka? Gdzie prowadzi interesy? Gdzie może trzymać Vinniego?

– Nie. Tego to nie wiem – odpowiedziała Lula. – Hej, czekaj chwilę, coś wiem. Wiem, gdzie prowadzi interesy. W swoim samochodzie. Jeździ czarnym mercedesem. A rejestrację ma podświetloną takim fioletowym światłem, jak alfons. Czasami widuję go na parkingu przed 7-Eleven na Marble Street. To jest dobre miejsce, blisko stamtąd do

budynków rządowych. Jak się cały dzień pracuje w państwowym biznesie, to potem chce się albo palnąć sobie w łeb, albo kupić los na loterii.

– A Bobby Słonecznik? – spytałam.

– Nikt nie wie, gdzie on się kręci. Jest jak duch, przychodzi i rozwiewa się jak dym.

– No to chyba posiedzimy przed 7-Eleven i będziemy rozglądać się za Marudą – stwierdziłam.

– Moment – odezwała się Connie. – Niech go wrzucę w program. Jeśli ma samochód, to znajdę ci adres zamieszkania.

Telewizja utrwałała w ludziach ten stereotyp łowcy nagród, który ściga zbiegów w mrocznych alejkach i kopniakiem wyważa drzwi po nocy. Wprawdzie ganiałam kilku gości w ciemnych uliczkach, ale nigdy nie opanowałam sztuki wyważania drzwi kopem. Zwykle prawdziwi łowcy nagród znajdują ludzi przy użyciu komputera i podstępnych telefonów, podając się za ankietera albo dostarczyciela pizzy. Era informacji elektronicznej jest zachwycająca. A Connie ma takie programy w komputerze, które mogłyby każdemu umożliwić poznanie arkusza ocen sąsiada, gdy chodził do trzeciej klasy podstawówki.

– Mam kilka adresów Marudy – oznajmiła po chwili. – Jeden to jego adres domowy, drugi to adres jego siostry. Ma na imię Jean i wychodzi na to, że jest samotną mamą. Pracuje w wydziale komunikacji. Mam sześć firmowych adresów Bobby’ego Słonecznika. Lombard, warsztat, myjnia samochodowa, slums do wynajęcia na Stark, bar ze striptizem i kostnica.

Co w wolnym tłumaczeniu oznaczało, że Słonecznik zajmował się paserką, rozbieraniem na części kradzionych samochodów, praniem pieniędzy, stręczycielstwem, a kostnica najprawdopodobniej miała zapewnić działający piec do kremacji.

– Czyli musimy dopilnować, żeby Vinnie nie trafił do kostnicy Bobby’ego – podsumowała Lula.

– A co z moimi otwartymi sprawami? – spytałam Connie. – W zeszłym tygodniu dałaś mi sześciu gości, którzy nie stawili się w sądzie. A wcześniejszych mam jeszcze więcej. Nie możemy szukać zbiegów i Vinniego jednocześnie.

– Jasne, że możemy – zapewniła mnie Lula. – Pewnie połowa tych idiotów przesiaduje w barze Słonecznika. Moim zdaniem powinniśmy zacząć obserwację, ale najpierw wpadnijmy do cukierni. Zmieniłam zdanie co do tej kanapki śniadaniowej. Teraz jestem w bardziej pączkowym nastroju.

Wyszłam z biura za Lulą i trzy minuty później parkowałyśmy już pod Słodkim Ciasteczkiem.

– Wezmę tylko jednego pączka – oświadczyła Lula, wysiadając z firebirda. – Jestem na nowej diecie, gdzie wszystko można jeść tylko po jednym. Na przykład jednego groszka. I jednego szparaga. I jeden bochenek chleba.

Weszłyśmy do cukierni i zamilkłyśmy, gdy tylko poczułyśmy słodki aromat pączków i cukru pudru. Gapiliśmy się na te wszystkie torty i ciasta, ciasteczka, bułeczki cynamonowe, pączki i rozmaite wypełnione kremem przysmaki.

– Nie wiem, co chcę – powiedziała Lula. – Jak mam wybrać? Jest tego za dużo, a ja mogę zjeść tylko jednego pączka. Nie mogę się pomylić. To sytuacja krytyczna. Mogę sobie kompletnie zrujnować resztę dnia, jeśli wybiorę nie tego pączka.

Zapłaciłam i odebrałam swoje pączki, a Lula wciąż jeszcze nie podjęła decyzji, wyszłam więc na zewnątrz nacieszyć się porannym słońcem. Zastanawiałam się właśnie, którego pączka zjeść najpierw, gdy przede mną zatrzymał się zielony SUV Morellego.

Morelli wysiadł i podszedł do mnie. Jego czarne włosy skręcały się na karku i nad uszami, nie tyle z uwagi na obowiązującą modę, co raczej z zaniedbania. Był w jeansach, adidasach i błękitnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Miał metr osiemdziesiąt sześć, czyli przewyższał mnie o pół głowy, co znaczyło, że jeśli stanął wystarczająco blisko, mógł bez trudu zajrzeć mi w dekolt.

– Pracujesz? – spytałam.

– Taa. Jeżdżę w tę i z powrotem, odwalając swoją robotę gliniarza. – Zahaczył palcem o dekolt i zajrzał mi za koszulkę.

– Jezzu!

– No co, trochę czasu minęło. Musiałem się upewnić, że wszystko jest na miejscu.

– Mogłeś zapytać!

– Jeśli zgadnę, co masz w torebce, to dostanę jednego pączka?

– Nie.

– Masz pączka z kremem budyniowym i pączka z marmoladą.

Zmrużyłam oczy.

– Skąd wiesz?

– Zawsze to kupujesz.

Drzwi piekarni otworzyły się z rozmachem i wytoczyła się z nich Lula.

– Dobra – oznajmiła. – Jestem gotowa ratować Vinniego. – W tym momencie uświadomiła sobie, że obok mnie stoi Morelli. I zatrzymała się w pół kroku. – Ups.

– Ratować Vinniego? – zainteresował się Morelli.

– Jest zaginiony, w pewnym sensie – odpowiedziałam.

Morelli wyjął z torebki pączka z budyniem, zjadł połowę i oddał mi resztę.

– Chodzą słuchy, że spora grupa ludzi nie jest z Vinniego zadowolona. Ponoć wisi im kupę forsy. Potrzebujesz pomocy?

– A musiałabym zgłosić jego zaginięcie na policję?

– Nie, ale musiałabyś mi oddać resztę pączka.

– Dzięki za propozycję, ale mam kilka tropów. Trochę się pobłąkam na własną rękę i zobaczę, co z tego wyniknie.

Morelli dał mi całusa i odbiegł do swojego wozu.

Dopiero teraz popatrzyłam na dwie torby, które trzymała Lula.

– Myślałam, że kupisz tylko jednego pączka.

– I dokładnie tak zrobiłam. Kupiłam po jednym z każdego rodzaju. Mówię ci, to jest superdieta.

Siadłyśmy przy niewielkim stoliku przed cukiernią i zjadłyśmy pączki, dodatkowo przeczytałam wszystkie materiały, jakie miałyśmy na temat Marudy i Słonecznika.

– Mamy adres Mickeya i jego siostry, ale jakoś nie wydaje mi się, żeby tam trzymał Vinniego – powiedziałam Luli. – Czyli zostają nam interesy Słonecznika. Lombard jest na Market Street, myjnia w okręgu Hamilton, reszta na Stark. No to przejedźmy się obok nich i zobaczmy, czy coś nam wyskoczy,

– Możemy zacząć od myjni – zgodziła się Lula. – Jak mi podpasuje, to może nawet pozwolę im umyć firebirda.

Dwa

Myjnia Bobby'ego Słonecznika znajdowała się zaraz obok knajpki Figaroa Diner. Nic nie wskazywało na to, że jest tam dość miejsca, by przetrzymać zakładnika, ale reklama mówiła o bezszcotokowym myciu i osobistej uwadze, więc Lula ustawiła się w kolejce.

– No nie jestem przekonana co do tej myjni – mruknęłam do Luli. – Nie podobają mi się pracownicy.

– Chodzi ci o to, że machają na nas językami i cmokają?

– Taaa. – No i jeszcze o liczne kolczyki, tatuaże, niedorzecznie opuszczone spodnie i byłam niemal pewna, że jeden z nich miał wzwód.

– Oni się zachowują jak chłopcy i tyle – uspokoiła mnie Lula.

Zajrzałam do torby, żeby sprawdzić, czy mam gaz pieprzowy i paralizator.

Stado idiotów podeszło do nas kołyszącym krokiem i jeden zajrzał w okno po stronie Luli.

– Hej, mamuśka – odezwał się. – Tak ci umyjemy samochodzik, jak nikt go jeszcze nie umył.

– To nie jest zwykły samochodzik – zapowiedziała Lula. – To jest moja dziecina. Nie chcę zobaczyć nawet ryski, jak skończycie.

– Jak będziesz miła dla mnie i chłopaków, to ci umyjemy samochodzik ręcznie.

– A jak bardzo miła muszę być? – spytała Lula.

– Naprawdę miła – odpowiedział, uśmiechając się tak szeroko, że mogliśmy zobaczyć, że miał diamenty przemysłowej klasy wstawione w zepsute zęby.

– To ohydne – oznajmiła Lula. – Powinniście okazywać trochę szacunku i zachowywać się jak profesjonaliści. Zabieraj swoją głowę z mojego okna.

– Się mi coś wydaje, że ja i chłopcy będziemy musieli pokazać ci, co mamy, i może ciebie nauczyć szacunku.

Lula wyciągnęła z torebki glocka i wycelowała mu w twarz.

– Masz dziesięć sekund, zanim odstrzelę ci nos.

– Jo, mamuśka! – wrzasnął tamten.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę i odbiegli. Lula posłała za nimi sześć kulek i

udało jej się chybić za każdym razem, choć strzelała praktycznie z przyłożenia.

– Hmpf – powiedziała, podnosząc szybę i wyjeżdżając z parkingu myjni. – Teraz już nie robią takich pistoletów jak kiedyś. Wierzyć się nie chcę, że nie trafiłam żadnego z tych głupków.

Następny na naszej liście był lombard. Lula zaparkowała przy ulicy, po czym wysiadłyśmy, żeby się rozejrzeć. Nad lombardem znajdowało się mieszkanie i z tego, co wiedziałam, nie należało do Słonecznika. Po jednej stronie lombardu był komis, po drugiej pizzeria.

– Nie wygląda obiecująco – powiedziałam do Luli – ale i tak wejdę i zobaczę, co i jak.

– A ja jestem kim? – chciała wiedzieć Lula. – Dobrym gliną czy złym gliną?

– Nikim. Nie ma żadnych gliniarzy. Tylko się rozglądamy i wychodzimy.

– *No problemo*. Dam radę. Jestem świetną rozglądaczką.

Weszłyśmy do lombardu, Lula podeszła do lady, spojrzała na wystawione pod nią przedmioty i zawołała obsługującego.

– Nie żebym potrzebowała pieniędzy czy coś, ale ciekawa jestem, ile dostałabym za ten pierścionek. – Pokazała mu dłoń. – Jak pan widzi, ma w środku rubin, a naokoło kawałki diamentów. I obsada jest z prawdziwego złota.

– Kamień jest prawdziwy? – spytał.

– No jak, kurna, nie, jak tak. Dostałam ten pierścionek od gentlemana za pewne przysługi. Kupił go dla żony, ale potem uznał, że ja na niego zasłużyłam.

– Podejrzewam, że nie ma pani do niego dokumentów, jak na przykład wyceny.

– Że co?

– No to chyba mógłbym dać za niego czterdzieści pięć.

– Czterdzieści pięć setek? – uściśliła Lula.

– Nie, po prostu czterdzieści pięć. Rany Julek, paniusiu, czy ja wyglądam na durnia?

– Nie, tak właściwie na niezłe ciacho. – Lula wyłożyła swój biust na ladę. – Co tam masz na zapleczu, cukiereczku?

– Nie ma żadnego zaplecza, tam jest toaleta, z której nawet ja nie korzystam.

– No to spadam – powiedziała Lula, zakręciła się na pięcie i kołysząc biodrami, wyszła z lombardu.

Dziesięć minut później stałyśmy przed autoserwisem Słonecznika na Stark. Był to parterowy budynek z cegły, z trzema zatokami dla samochodów, a prowadzące do nich

bramy były otwarte na oścież.

– Jakoś nie widzę, żeby tam przetrzymywali Vinniego – powiedziała Lula. – Za dużo ludzi się tu kręci i właściwie nie ma miejsca, żeby kogoś schować.

Następny był bar topless. Neon nad wejściem mrugał wesoło, ze środka sączyła się elektroniczna muzyka. Nawalony gość w workowatej białej koszulce opierał się o ścianę pokrytą graffiti. Palił. Spojrzał na nas przez szparki powiek i Lula natychmiast pojechała dalej.

– Tam możemy znaleźć tylko kłopoty – wyjaśniła.

Zaparkowałyśmy przed kostnicą i obie zagapiłyśmy się na brązowy jednopiętrowy budynek. Okna na piętrze były zaczernione. Wejście osłaniała bordowo-czarna markiza z napisem „Zakład Pogrzebowy Melona”.

– Nie wiem, co jest bardziej dołujące, ten ponury dom pogrzebowy czy bar z cyckami rano – stwierdziła Lula.

– Może w barze serwują śniadania.

– A na to nie wpadłam, bo to by w sumie było w porządku.

– Tylko to miejsce nadaje się do przetrzymywania zakładnika. Weszłabym tam i udała, że jestem klientem, ale nie wyglądam na kogoś, kto mieszka w okolicy.

– Chodzi ci o to, że jesteś jedyną białą laską na całej ulicy? Wliczając te martwe?

– Właśnie.

– Rozumiem, ale ja też tam nie wejdę. Nienawidzę domów pogrzebowych, a umarłaków jeszcze bardziej. Mam gęsią skórę od samego siedzenia tutaj i wyobrażania sobie, że tam wchodzę.

– Dobra, załatwimy to później. Obejrzyjmy sobie tę kamienicę.

Kamienica była pół przecznicy dalej i wyglądała jak Wieża Strachów. Trzypiętrowa, czarna od brudu i lekko jakby przechylona.

– Jezusie święty. – Luli aż oczy wyszły na wierzch. – Zaraz się chyba zesram ze strachu. W takim miejscu mieszkałby Drakula, jakby nie miał kasy i był ćpunem. Założę się, że pełno tam wściekłych nietoperzy, zabójczych węży, włochatych pajaków wielkich jak talerze.

Moim zdaniem dom wyglądał, jakby był pełen rozpacz, szaleństwa i zepsutej hydrauliki. Tak czy inaczej, nie było to miejsce, które chciałabym odwiedzić. Niestety, było to doskonałe miejsce, by przetrzymywać Vinniego.

– Jak bardzo chcemy znaleźć Vinniego? – zapytałam Luli, nie mogąc oderwać wzroku od piekielnego budynku.

– Jak to widzę tak: albo znajdziemy Vinniego, albo będę pracować przy frytkownicy w Gdaczącym Kubelku. Nie żebym miała coś przeciwko frytkownicy, ale cały ten tłuszcz fruwający w powietrzu fatalnie zepsuje mi włosy. A jeśli już mają kogoś, kto pracuje przy frytkownicy? Co, jeśli nie znajdę pracy i przyjdą mi zarekwirować moje Via Spigi?

I co, jeśli nie dam rady, a oni zabiją Vinniego? Jak miałabym potem z tym żyć? Pomyślałam.

Zadzwoiłam na komórkę Komandosa. Komandos odebrał i przez chwilę w słuchawce panowała cisza, jakby wyczuwał mnie po drugiej stronie i z daleka sprawdzał temperaturę ciała i tętno.

– Słonko – powiedział wreszcie.

– Znasz tę kamienicę na Stark, która należy do Bobby’ego Słonecznika?

– Tak, jest w tym samym kwartale, co jego dom pogrzebowy.

– Ta sama. Zamierzam tam kogoś poszukać. Jeśli nie odezwę się za pół godziny, to może wyślesz kogoś, żeby sprawdził, co i jak.

– Czy to mądre?

– Pewnie nie.

– Przynajmniej o tym wiesz – powiedział Komandos i się rozłączył.

– Zostały mi jeszcze dwa pączki i zamierzam je zjeść, zanim wejdę, na wypadek gdybym nie wyszła – oznajmiła Lula.

Wydostałam się z firebirda.

– Zabierz je ze sobą, jeśli nie wejdę tam teraz, to stchórzę.

Drzwi wejściowe były uchylone, za nimi znajdował się ciemny korytarz ozdobiony wymalowanymi symbolami gangów. Po lewej schody, po prawej skrzynki na listy. Nie dostrzegłam nazwiska choćby na jednej, a większość i tak była otwarta i pusta. Niektóre zostały otwarte permanentnie. Przekaz był jasny: jeśli tu mieszkasz, nie dostajesz poczty.

Z korytarza wychodziło dwoje drzwi. Lula i ja posłuchałyśmy pod nimi chwilę. Nic. Spróbowałyśmy nacisnąć klamkę pierwszych. Zamknięte. Za drugimi znalazłyśmy schody prowadzące do piwnicy.

Lula wsunęła głowę za drzwi.

– No są schody w dół, ale nic nie widać. Ciemniej niż w nocy. I nie pachnie za dobrze.

– Coś tam zgrzyta – stwierdziłam.

– Ta, słyszę, popiskuje jakby.

I wtedy prawdziwe tsunami szczurów popłynęło w górę schodów i przelało się przez nasze stopy.

– Szczury! – wrzasnęła Lula. – SZCZURY!

Zamarłam, zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Lula tańczyła, kwicząc i wymachując ramionami. Masa szczurów kłębiła się nieustannie, wypełniając korytarz od ściany do ściany.

– Zabij je! Zabij! – krzyczała Lula. – Pomocy! Policja! Dzwon na dziewięćset jedenaście!

Wyrwałam jej z ręki torbę z cukierni i rzuciłam jednego pączka jak mogłam najdalej przez drzwi frontowe. Szczury pomknęły za pączkiem, a ja zatrzęsłam za nimi drzwi.

Lula oparła się o ścianę.

– Czy wyglądam, jakbym miała zawał? Pogryzły mnie? Mam już pchły? – Odebrała mi torbę i zajrzała do środka. – Przynajmniej nie wyrzuciłaś tego z marmoladą. Zachowywałam go sobie na koniec.

Zamknęłam drzwi do piwnicy i ruszyłam schodami w górę. Na pierwszym piętrze znalazłam troje drzwi. Dwoje zabite dechami na krzyż, nie dochodził z nich żaden dźwięk. Trzecie – otwarte, ale w mieszkaniu nie było ludzi ani mebli, za to pełno śmieci.

– Jak to skończymy, wracam do domu się umyć – oświadczyła Lula stanowczo. – Mam wrażenie, że weszki mnie oblażyły.

Na drugim piętrze też znajdowało się troje drzwi i wszystkie były zamknięte.

– Potrzebny nam plan – powiedziałam.

– Masz na myśli coś w rodzaju „duża harcerka sprzedaje ciasteczka”?

– No.

– A co, jeśli Vinnie jest tam z jakimiś goryłami Słonecznika? Zastrzelimy ich, nie?

– Tylko jeśli będziemy musiały.

Lula wyciągnęła z torebki glocka i wsunęła za pasek spodni z tyłu. Potem popatrzyła na mnie.

– A ty co? Nie chcesz sobie przygotować broni?

– Nie mam broni.

– A co masz?

– Lakier do włosów.

– Mocne utrwalenie? Może mi się przydać, jak tu skończymy, w zależności od tego, gdzie będziemy jeść lunch.

Zesłam kilka stopni w dół i ścisnęłam w dłoni lakier, na wypadek gdyby Lula potrzebowała wsparcia. Lula zapukała do pierwszych drzwi, otworzyły się i na progu stanął niechlujny grubas o czerwonych, zażawionych oczach. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, potrzebował golenia, długiego prysznica i mniejszej ilości alkoholu.

– Ta? – zapytał.

– Sprzedaję ciasteczka dla mojego zastępu – odpowiedziała mu Lula, zaglądając do środka mieszkania nad jego ramieniem.

– A nie jesteś trochę za stara, żeby być harcerką?

– To akurat nie jest twoja sprawa, a robię to dla mojej siostrzenicy – wyjaśniła Lula. – Ma kłopoty żołądkowe i nie może sama sprzedać wystarczającej ilości. To jej pomagam.

– A co masz w tej torebce z cukierni?

– To też nie jest twój interes, kupujesz ciasteczka czy nie?

Facet wyrwał Luli papierową torebkę, zatrasnął drzwi i zamknął na klucz.

– Hej! Oddawaj torbę! – zawołała Lula i przyłożyła ucho do drzwi. – Słyszę, jak szeleści! Lepiej nie obmacuj tego pączka! – Rąbnęła w drzwi pięścią. – Oddawaj pączka albo pożałujesz.

– Za późno – powiedział grubas przez drzwi. – Zjadłem go.

– Ach tak? To zżryj też to! – Lula wyciągnęła glocka i wpakowała w drzwi kilka pocisków.

– Jasna dupa! – wrzasnęłam, przyskakując do niej. – Przestań strzelać. Nie możesz komuś strzelać w drzwi z powodu pączka. Mogłaś go zabić.

– Cholera – mruknęła Lula. – Skończyły mi się naboje. – Zaczęła przeszukiwać zawartość swojej torebki. – Gdzieś tu muszę mieć zapasowy magazynek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, grubas popatrzył na nas i przeładował shotguna z oberżniętą lufą. Wycelował i wtedy psiknęłam go solidnie lakierem.

– Auu! – zawył, trąc oczy. – Kurwa, to piecze!

Razem z Lulą pomknęliśmy w dół schodów. Pokonałyśmy jeden bieg, zakręciłyśmy i wpadłyśmy na dwóch ludzi od Komandosa, którzy właśnie wchodzili na górę. Uderzyłyśmy w nich z siłą wystarczającą, by zbić obu z nóg, i wszyscy poleciliśmy na łeb i szyję aż na

sam dół.

– Jezzzu – jęknęłam, wstając. – Przepraszam, nie spodziewałam się nikogo na tych schodach.

Znałam jednego z tych gości, miał na imię Hal, był naprawdę słodki, ale zbudowany niczym stegozaur.

– Komandos nas wysłał, żebyśmy sprawdzili, co z tobą – wyjaśnił. – Właśnie dotarliśmy na miejsce i usłyszeliśmy strzały.

– Jakiś debil zjadł mojego pączka – powiedziała Lula. – No to do niego strzeliłam.

Hal odruchowo spojrzał w górę.

– Jak źle to wygląda? Chcesz, żebyśmy, no wiesz, pozbyli się czegoś?

– Że niby ciała? – spytałam.

– No.

– Dzięki, ale nie trzeba. Lula strzeliła przez drzwi, a debil ruszył za nami z obrzynem.

– Chwytam – zapewnił Hal. – Przekażę Komandosowi.

Hal i jego partner wsiedli do swojego lśniącego czarnego SUV-a, a ja i Lula do firebirda i się rozjechaliśmy.

– Niedobrze, że nie sprawdziłyśmy wszystkich mieszkań – stwierdziła Lula. – Normalnie miałam mocne przecucia co do tego miejsca. Już widziałam, jak tam trzymają Vinniego.

Moim zdaniem kamienica to miejsce trochę zbyt oczywiste. Nie znałam osobiście Bobby'ego Słonecznika, ale z tego, co słyszałam, nie był głupi. A skoro on zgarnął Vinniego, to nie przetrzymywał go raczej we własnym budynku. Ludzie tacy jak Słonecznik maczali swoje palce w niejednym interesie. I tam należało szukać Vinniego... w interesie Słonecznika.

– I co teraz? – chciała wiedzieć Lula.

– Podrzuc mnie do KomandoMan.

Trzy

Firma KomandoMan mieści się w sześciopiętrowym biurowcu na cichej ulicy w centrum Trenton. Jeśli się nie przyjrzyysz, to nie zobaczysz brązowej tabliczki przy drzwiach, na której napisane jest jedynie „KomandoMan”. Nie ma żadnych oznaczeń, z których można by wnioskować, czym się zajmuje. Prywatne lokum Komandosa znajduje się na najwyższym piętrze. Dwa niższe przeznaczone są dla pracowników, a w pozostałej części budynku działa firma ochroniarska. KomandoMan obsługuje prywatne rezydencje i firmy klientów, którzy wymagają ochrony na najwyższym poziomie. Do tego od czasu do czasu KomandoMan świadczy usługi w zakresie ochrony osób, poszukiwania osób i prawdopodobnie eliminowania osób.

Komandos był moim mentorem, gdy zaczęłam pracę u Vinniego. Chyba nadal jest moim mentorem, ale też przyjacielem, obrońcą, od czasu do czasu pracodawcą i przy jednej, niezwykle pamiętnej okazji był moim kochankiem. Mam klucz elektroniczny, który otwiera podziemny garaż w KomandoMan i prywatny apartament Komandosa, tak samo jak wszelkie inne pomieszczenia w budynku, jednak dzisiaj pozwoliłam, by gość na dole w recepcji wpuścił mnie do środka. Pojechałam windą do pokoju operacyjnego i przeszłam między boksami i konsolami, machając do ludzi, których znałam.

Do biura Komandosa trzeba było iść kawałek dalej korytarzem. Komandos siedział przy komputerze i gdy weszłam, przywitał mnie uśmiechem. W jego wykonaniu to naprawdę coś, bo nie uśmiecha się zbyt często. Miał na sobie firmową czarną koszulkę, bojówki i adidas. Wszyscy w budynku tak się ubierali, ale na Komandosie te ciuchy leżały najlepiej. Prawdopodobnie dlatego, że stał zaraz w pierwszym szeregu, gdy Bóg rozdawał ciała wysokiej jakości. Można było ubrać Komandosa w plastikowy worek na śmieci, a i tak wyglądałby seksownie.

– Potrzebuję korepetycji z tropienia – oznajmiłam. – Ty zawsze wiesz, gdzie ja jestem, chcę umieć zrobić to samo. Chcę wiedzieć, jak przyczepić ten namierzający dynks do czyjegoś samochodu.

– Mogę ci dać dynks – odparł Komandos. – I pokazać, jak go zainstalować, ale nic ci to nie da, jeśli nie możesz odebrać sygnału. Byłoby znacznie łatwiej i taniej, gdybyś pozwoliła mi wytropić tę osobę dla ciebie.

– Byłoby bosko. Muszę wiedzieć, gdzie bywa Mickey Maruda. Porwał Vinniego, a ja chcę Vinniego z powrotem.

– Dlaczego?

Westchnęłam ciężko.

– Bo tak należy postąpić.

Komandos otworzył szufladę, wyjął z niej kluczyki do samochodu i rzucił do mnie.

– Potrzebujesz samochodu.

– Więc mi go dajesz?

– Tak należy postąpić.

KomandoMan ma całą flotę błyszczących nowych samochodów dla swych pracowników. W większości są to SUV-y. Kilka F150 i kilka vanów. Osobisty samochód Komandosa to porsche turbo, a ja w samochodowej loterii KomandoMan wylosowałam jeepa wranglera.

Dochodziło południe, gdy zaparkowałam go przed biurem. Lula i Connie siedziały nad dwoma otwartymi pudełkami z pizzą.

– Mnóstwo pizzy, jak na kogoś, kto je tylko po jednym ze wszystkiego – powiedziałam Luli.

– Nic nie ruszam z pudełka Connie – zapewniła mnie Lula. – Mam pizzę dla siebie i tylko to jem, ale jak chcesz kawałek, to się częstuj.

Lula miała pizzę ze wszystkim, co możliwe, a Connie tylko z serem i pepperoni. Ponieważ miałam nastrój na ser i pepperoni, sięgnęłam po kawałek od Connie.

– Niech zgadnę, skąd masz ten błyszczący czarny samochodzik – odezwała się Lula. – Od Komandosa.

– To pożyczka.

Lula wzięła sobie kolejny kawałek pizzy.

– A wiesz, co ja myślę? Że ten facet z jednej strony jest przerażający i supertwardziel, a z drugiej cały miękki i sentymentalny.

Znałam Komandosa całkiem nieźle i nie byłam pewna, jaki właściwie jest z tej drugiej strony, ale wiedziałam, że na pewno nie miękki i sentymentalny.

– Dowiedziałaś się czegoś od Marudy? – spytałam.

– Nie. Dostałam telefon rano, a potem już nic. Pewnie Mickey zadzwonił do Lucille. Lucille zadzwoniła do Harry’ego, Harry popytał tu i ówdzie i dowiedział się o dziwce. I

gdy ja zadzwoniłam do Lucille, zmieniała właśnie zamki w domu, a Harry ciskał gromy. Odniosłam wrażenie, że ta strona rodziny ma gdzieś, czy Maruda wykończy Vinniego.

– A to szkoda – mruknęłam. – Wiem, że Vinnie jest sam sobie winien, ale to i tak smutne. Zjadłam dwa kawałki pizzy, przepiłam butelką wody i zarzuciłam torbę na ramię.

– Gdzie idziesz? – zainteresowała się Lula.

– Komandos śledzi dla mnie Mickeya, więc pomyślałam, że ja z kolei spróbuję znaleźć Dirka McCurdle. Nie stawiał się na rozprawie.

– Myślałam, że nazywa się McCuddle[*].

– To przezwisko.

Gazety ochrzciły go McCuddle, bo poślubił cztery kobiety, zanim stan New Jersey nabrał rozumu i go aresztował. No i poza oskarżeniem o bigamię McCurdle'a przyłapano na kradzieży bardzo kosztownej damskiej bielizny. Twierdził, że pieniądze z opieki społecznej nie wystarczają mu na prezenty z okazji rocznic ślubu.

– Na zdjęciach w gazetach wyglądał jak taki miły staruszek – stwierdziła Lula.

Dirk McCurdle miał siedemdziesiąt dwa lata, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, rzadkie białe włosy, twarz o różowych policzkach niczym cherubinek, a do tego był przyjemnie zaokrąglony.

– Mam przecucie, że pan McCurdle jest z jedną ze swoich żon – oznajmiłam. – Jedna mieszka w Grajdole, jedna na Cherry Street, a dwie w okręgu Hamilton.

– Momencik – zatrzymała mnie Lula. – Pojadę z tobą na wypadek, gdyby jedna z tych żon wyrwała się spod kontroli i potrzebowałaś wsparcia.

Zajrzałam do teczki, którą dała mi Connie. Pierwsza żona była w wieku naszego zbiega, pozostałe dobiegały osiemdziesiątki. Prawdopodobnie dałabym sobie z nimi radę sama.

– Poza tym nigdy nie widziałam żony bigamisty – dodała Lula. – Chcę zobaczyć, jak wyglądają.

Zaczęłam od najświeższej żony. Margaret McCurdle miała mieszkanie z ogrodem w Hamilton. Budynki w tym kompleksie wzniesiono z czerwonej cegły, wszystkie miały jedno piętro i białe drzwi i żaluzje. W każdym budynku znajdowało się dziesięć mieszkań. Pięć na parterze, pięć na piętrze. Margaret mieszkała na parterze, na końcu korytarza.

– Wygląda normalnie – stwierdziła Lula, wysiadając z jeepa i przyglądając się kolumnom w kolonialnym stylu, które zdobiły front budynku. – Nie wygląda na kryjówkę

bigamisty. Mam nadzieję, że nie będę rozczarowana. Nienawidzę rozczarowań.

Przeszyliśmy przez parking i zadzwoniłam do drzwi.

Kobieta, która nam otworzyła, miała jakieś metr pięćdziesiąt dwa i krótkie blond włosy. Jej makijaż skojarzył mi się z obrazkami japońskich gejsz. Twarz biała jak naleśnik, zbyt duży dzióbek wyrysowany błyszczącą czerwoną szminką i cienkie kreski brwi. Ubrana była w brązowy dres i białe tenisówki.

– Pani Margaret McCurdle? – spytałam.

– Tak. Nie jesteście kolejnymi żonami, prawda?

– Nie.

– Dzięki Bogu! – stwierdziła. – Nie mogę się ich już doliczyć. Nie wiem, jak Dirk to robi. Żony mu wyskakują nawet z lodówki.

Podaliśmy jej wizytówkę.

– Jestem agentką do spraw poręczeń – wyjaśniłam. – Szukam Dirka.

– Powodzenia – westchnęła Margaret. – Ja już przestałam. Wyszedł po lody dwa tygodnie temu i nigdy nie wrócił, a teraz okazuje się, że jestem żoną numer cztery. Przeczytałam o tym w gazecie. Pewnie powinnam nająć prawnika, ale to tak dużo kosztuje.

– Jak to jest być żoną bigamisty? – zapytała Lula.

– Doskonale – odparła Margaret. – Powiedział mi, że nadal zarządza swoją firmą w Des Moines, więc będzie przyjeżdżał w czwartki wieczorem, żeby wystawić śmieci na piątkową wywózkę. I że będzie wyjeżdżać w sobotę rano. Był bardzo uważający, doskonały gentleman. I świetny w łóżku.

– Bez jaj. Pani i McCuddle uprawialiście mnóstwo seksu? – zdumiała się Lula.

– Nie, ale rozmawialiśmy na ten temat.

– A wie pani, gdzie on jest teraz? – spytałam.

– W więzieniu?

– Jeszcze nie.

Pożegnałyśmy Margaret McCurdle i przejechałyśmy pół mili, by odwiedzić Ann McCurdle, przy Sycamore Street. Ann mieszkała w parterowym domku, w dzielnicy parterowych domków. Jej pomalowany był na kolor jasnoszary, miał błękitne drzwi i okiennice. Podwórko było czyściutkie i najwyraźniej ktoś niedawno rozsypał torf wokół krzaków azalii.

– To mnie fascynuje – powiedziała Lula. – Bo studiuję ludzką naturę. Dlatego byłam

taką dobrą prostytutką. Interesowałam się moimi klientami. A teraz widzę, że te żony bigamisty mieszkają w zupełnie innych domach. Nie fascynuje cię to?

Prawdę powiedziawszy, ta kwestia nie była jakoś szczególnie wysoko na liście rzeczy, które mnie fascynowały, ale pomyślałam sobie, że to fajnie, że Lula jest zafascynowana.

Lula wisiła nade mną, kiedy dzwoniłam do drzwi Ann. Zadzwoniłam raz jeszcze i dopiero wtedy w progu stanęła żylasta staruszka z pędzlem w dłoni. Miała siwe włosy, które kolorem i teksturą przypominały wełnę stalową, na nosie przekrzywione dwuogniskowe okulary, a na nogach białe buty ortopedyczne. Do tego ubrana była w bezkształtny bawełniany strój, coś między suknią a szlafrokiem.

– Pani McCurdle? – spytałam.

– Taa. Ja i wszyscy inni. – Przechyliła głowę, żeby zajrzeć za plecy Luli. – To nie jest kolejny wywiad do telewizji? Właśnie maluję kuchnię i mam niezrobione włosy.

Przedstawiłam się, wręczyłam jej wizytówkę.

– Szukam pani męża – wyjaśniłam. – Ma pani jakiś pomysł, gdzie mógłby być?

Odgarnęła z twarzy pukiel włosów i zostawiła na niej smugę cytrynowej farby.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest, i jeśli go znajdziecie, to chcę wiedzieć, żebym mogła go dopaść i skręcić mu kark. Zaczął mi malować kuchnię na ten durny żółty kolor trzy tygodnie temu i nie wrócił, żeby dokończyć.

– Będzie ślicznie wyglądać, jak pani skończy – zapewniła ją Lula.

– Mam gdzieś takie ślicznie – burknęła Ann McCurdle. – Za każdym razem, jak na nią spojrzę, to mi ciśnienie skacze. Jem pigułki jak M&M'sy.

– Znaczący poślubienie bigamisty nie wyszło pani na dobre – powiedziała Lula.

– Mogło być gorzej. Jak już go miałam powyżej uszu, to akurat wyjechał w dwutygodniową służbową podróż. Na tym polega tajemnica utrzymania magii w małżeństwie – wyjaśniła. – Nie widzicie się za często. Mężczyźni i tak mają tylko jedno w głowie. S-E-K-S. A jak to dostaną, to zasypiają i chrapią.

– Też to zauważyłam – stwierdziła Lula.

Podziękowałam Ann za pomoc i wróciłyśmy z Lulą do jeepa.

– Może bigamiści nie są tacy fascynujący, jak myślałam – powiedziała, zapinając pas. – Z tego, co piszą gazety, żadna z tych żon nie miała pojęcia o pozostałych. A teraz jak je spotykam, to już widzę, że to było możliwe.

Wykręciłam z podjazdu i wjechałam na Klockner Boulevard.

– Jego pierwsza żona mieszka w Grajdole. Myślę, że teraz do niej pojedziemy, bo mamy po drodze do biura.

Grajdoł jest kawałkiem Trenton o dziwnym kształcie, wyznaczonym przez Hamilton Avenue, Liberty Street, Chambers Street i Broad Street. Mieszkałam w Grajdole całe dzieciństwo, moi rodzice nadal tam mieszkają. Domy są tam niewielkie, podwórka wąskie, samochody duże, a okna zawsze czyste. To dzielnica ciężko pracujących Amerykanów w drugim pokoleniu. Rodziny są tu mocno rozgałęzione i dumnie dysfunkcyjne. Aczkolwiek w Jersey dysfunkcje może być ciężko zmierzyć.

Tomasina McCurdle mieszkała przeczną od Hamilton w domku jednorodzinny z brązowym oszalowaniem i brązowym wykończeniem.

– Ten dom wygląda jak kupa – stwierdziła Lula. – Jak ktoś może mieszkać w domu, który jest cały brązowy?! Normalnie codziennie masz wrażenie, że wchodzisz w gówno. Jak dla mnie, strasznie dołujące. No bo jakbyś zaprosiła gości, to co byś im powiedziała? Normalnie jakbyś dawała wskazówki, jak dojechać, tobyś powiedziała: „Skręćcie z Hamilton i zaparkujcie przed domem, który wygląda jak kupa”.

Musiałam przyznać, widok nie był zbyt atrakcyjny, ale porównanie do kupy wydało mi się nadto dosadne. Prawdę powiedziawszy, dolna połowa domu moich rodziców też była brązowa, i jeśli miałabym być szczerą, to ich dom też nie wyglądał szczególnie dobrze.

Zapukałam do drzwi i otworzyła nam krzepka starsza pani. Miała niewiele ponad siedemdziesiątkę, krótkie czarne włosy przetykane srebrem, na nosie okulary w drucianej oprawie, w uszach wielkie perłowe kolczyki, a ubrana była w zielony kostium ze spodniami i mnóstwo perfum.

– Tomasina McCurdle? – spytałam.

– To ja – odpowiedziała. – I wiem też, kim ty jesteś. Jesteś wnuczką Edny. Tą, która spaliła dom pogrzebowy.

– To nie była moja wina – oświadczyłam. – Ludzie do mnie strzelali.

– Zakładam, że szukasz mojego głupiego męża bigamisty?

– No jasne, że szukamy – odpowiedziała Lula. – I jeśli mogę zapytać, jak to było być żoną bigamisty?

– Tak samo jak żoną kogokolwiek innego.

– To rozczarowujące – podsumowała Lula.

Tomasina zacisnęła wargi w wąską kreskę.

– Nie trzeba mi tego mówić. Byłam żoną tego idioty przez pięćdziesiąt jeden lat, a dziesięć lat temu nagle postanowił poślubić kogoś innego. A potem poślubił każdą lafiryndę, jaka mu się nawinęła. Co on sobie myślał, do licha?

– Wie pani, gdzie mogę go znaleźć? – spytałam.

– Zakładam, że jest u jednej z tych burzycielek ogniska domowego.

– A jeśli nie u burzycielek, jakiegokolwiek inne miejsce przychodzi pani do głowy? Może u krewnych? U przyjaciela?

– U krewnych to ja go raczej nie widzę. Jego brat zmarł w zeszłym roku. Jego rodzice nie żyją. Nasz syn mieszka w Delaware, ale powiedziała by mi, gdyby Dirk się u niego zjawił. Jego najlepszym przyjacielem jest Ernie Wilkes, ale żona Erniego nie ścierpiałaby Dirka w ich domu.

– Ale jest pani wystrojona – zauważyła Lula. – Gdzieś się pani wybiera?

– Nie. Dopiero wróciłam. Byłam u Stivy na czuwaniu Karen Shishler. – Tomasina odwróciła się w moją stronę. – Twoja babcia tam jest i robi sceny z powodu zamkniętej trumny. Czuwanie się skończyło, ale ona nie chciała wyjść, póki nie otworzą trumny.

– Dziękuję – powiedziałam. – A jeśli pani zobaczy Dirka, proszę do mnie zadzwonić.

* *Cuddle* – przytulać się; w wymowie McCuddle brzmi podobnie do McCurdle (przyp. tłum.).

Cztery

Trzy minuty później parkowałyśmy już przed domem pogrzebowym Stivy. Od czasów Stivy dom miał już trzeciego właściciela, a jednak dla wszystkich pozostał domem Stivy.

– Chyba pójdziesz po swoją babcię – zasugerowała Lula.
– Taa. Tylko sprawdzę, czy jeszcze tu jest.
– Poczekam w samochodzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie żebym się bała truposzy czy coś, ale zaraz mam ciarki.

Zakład pogrzebowy Stivy mieści się w dużym kolonialnym domu przy Hamilton. Frontowe schody, pokryte wykładziną zewnętrzną w kolorze trawy, prowadzą do werandy, która rozciąga się na całą szerokość budynku. Weszłam do przestronnego westybulu i usłyszałam babcię wyklócającą się z dyrektorem w sali numer trzy.

– A skąd mam wiedzieć, czy ona tam jest, jeśli nie chcecie podnieść wieka? – pytała babcia.

– Daję pani słowo honoru – zapewnił ją właściciel.

Właścicielem domu był obecnie Mitchell Shepherd. Kupił go rok temu i teraz najpewniej szczerze żałował swojej decyzji. Ludzie z Grajdoła bardzo poważnie podchodzą do kwestii domów pogrzebowych. A ponieważ w Grajdole nie ma kin czy galerii handlowych, dom pogrzebowy jest zazwyczaj pierwszym wyborem, gdy chodzi o rozrywkę. Shepherd, mężczyzna po pięćdziesiątce, niemal całkowicie łysy, miał okrągłą twarz i okrągłe ciało. Ubrany był w swój mundur pogrzebowy: granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w granatowe paski.

– Tylko zerknę – nie ustępowała babcia. – Nikomu nie powiem.

– Nie mogę. Rodzina życzy sobie, żeby trumna była zamknięta.

Babcia Mazurowa zamieszkała z moimi rodzicami, gdy dziadek Mazur udał się do tego miejsca, gdzie jedzący bekon, pijący whiskey i kochający tłuste żarcie ludzie udają się po śmierci. Babcia w swoje dobre dni ma metr sześćdziesiąt pięć, siwe włosy zaondulowane w ciasne koczki, ciało, które jest właściwie luźną skórą na kościach, i sposób bycia, na jaki tylko starsza pani może sobie pozwolić.

– To ja się wysiliłam, przychodząc tu dzisiaj, i co z tego mam, jeśli nie mogę zobaczyć

zmarłej? – burczała babcia. – Następnym razem pójdę do Mortona. Oni nigdy nie zamykają trumny.

Shepherd wyglądał tak, jakby był gotów zapłacić babci za pójście do Mortona. Zerknął w moją stronę i niemal osłabł z ulgi.

– Stephanie! Jak miło cię widzieć!

– No na litość boską – powiedziała babcia. – Patrzcie, kto przyszedł. Matka przysłała cię za mną?

– Nie. Usłyszałam, że robisz zamieszanie, i sama przyszłam.

– Akurat na czas, żeby mnie podrzucić do domu – oświadczyła babcia. – Nie ma sensu zostawać tu dłużej, skoro pan Supersztwygniak nie chce dla mnie podnieść wieka.

Wyprowadziłam babcię z domu pogrzebowego i aż się zatrzymała na widok jeepa.

– No i czy to nie jest śliczne cacko? – rzuciła. – Supcio samochodzik. Zawsze chciałam się takim przejechać. Jak ja mam, u licha, do niego wsiąść?

Lula przeszła na tylne siedzenie i wyciągnęła rękę do babci, a ja ujęłam babcię pod pachy i jakoś wyhejupsaliśmy ją na miejsce pasażera.

– Dobrze, że się pojawiłaś akurat teraz – pochwaliła mnie babcia. – Zanimbym doszła do domu pieszo, byłabym spóźniona na obiad, a dzisiaj mamy pieczeń. Niedobrze jest spóźniać się na pieczeń.

– Uwielbiam pieczeń – odezwała się Lula. – Założę się, że macie do tego sos i purée ziemniaczane. Uwielbiam purée i sos pieczeniowy.

– Musisz zostać na obiad – zdecydowała babcia. – Zawsze mamy więcej, niż nam potrzeba.

– Jeśli to nie będzie kłopot – krygowała się Lula. – Nie chciałabym się narzucać. I nie zjem za dużo, bo jestem na nowej diecie i mogę jeść wszystkiego tylko po jednym. Jeden kawałek pieczeni, jedna porcja purée i jeden groszek.

– I schudłaś? – zainteresowała się babcia.

– Jeszcze nie, ale dopiero zaczynam. Ciągłe jeszcze obczajam, jak to ma być. Znaczy jak zjesz sałatkę? Znaczy że zjadłaś jedną sałatkę? Czy to znaczy na przykład, że zjadłaś jeden kawałek sałaty i jeden kawałek pomidora? Nie żeby to miało jakieś wielkie znaczenie, ja to w ogóle nie rozumiem tej obsesji z sałatkami. Sałata w ogóle mi nie wygląda na jedzenie. Jak masz ochotę na pomidora, to najlepiej wsadź go w burgera.

Moi rodzice mieszkają w bliźniaku, którego drugą część zajmuje pani Markowitz, od

kiedy sięgam pamięcią. Jej mąż zmarł lata temu i teraz mieszka sama, piecze babki i ogląda telewizję. Pomalowała swoją część domu na kolor limonkowej zieleni. Moi rodzice zawsze swoją część malowali w ten sam sposób: dolna połowa na brązowo, górna na musztardowo. Nie wiem dlaczego. To chyba coś związanego z Trenton.

Przez te wszystkie lata dom niewiele się zmienił. Dostawał nowe wyposażenie, gdy trzeba było. Nowe zasłony. Jest zatłoczony wygodnymi nijakimi meblami, wypełniony zapachami kuchennymi i dobrymi wspomnieniami.

Moja mama zawsze była prawdziwą gospodynią domową. Jest młodszą, bardziej wypełnioną wersją babci Mazurowej i czasem wydaje mi się, że ja też zostałam skrojona po części z tego samego materiału. Mam ich dobrą przemianę materii, owalną twarz i niebieskie oczy.

Mój tato jest emerytowanym urzędnikiem pocztowym, a teraz jeździ taksówką na kawałek etatu. Moje nieposłuszne włosy dostałam od jego części rodziny. Tak samo jak zбочzonego kuzyna Vinniego.

Stół zastawiony był dla trzech osób, ale mama szybko dodała dwa nakrycia i kilka minut później ojciec już pochylał się nad talerzem, zgarniając mięso i ziemniaki, a moja mama po drugiej stronie stołu starała się nie gapić na wściekle czerwone włosy Luli i jej top w lamparcie cętki, tak malutki, że odsłaniał jakieś pół kilometra rowka między piersiami.

– Czy to nie miło. – Babcia rozejrzała się po biesiadnikach. – Uwielbiam, jak mamy gości. Zupełnie jakby było przyjęcie. A co wyście w ogóle robiły w okolicy? – spytała mnie. – Szukałyście niebezpiecznych przestępców?

– Szukałyśmy Dirka McCurdle – odpowiedziałam.

– No czy to nie był skandal? – ucieszyła się babcia. – Wyobraźcie sobie, cztery żony. Nikt nawet nie podejrzewał. To taki miły mężczyzna. Widywałam go w domach pogrzebowych, gdy Rycerze Kolumba zjawiali się na ceremonię.

– Masz pomysł, gdzie mógłby się ukrywać?

– A sprawdziłaś wszystkie żony? – podsunęła babcia. – Któraś może jeszcze mieć do niego słabość.

– Została mi jedna.

– A jak to nie pomoże, wypróbuj butelkę od Pipa.

Moja matka westchnęła, ojciec wymamrotał coś, co brzmiało jak „zwariowany stary nietoperz”.

– Mówisz o tej czerwonej butelce? – zainteresowała się Lula. – Tej, która wygląda jak butelka po piwie?

Babcia nałożyła sobie ziemniaków.

– Pip święcie wierzył w tę butelkę. Mówił, że to szczęśliwa butelka.

– Jak ona działa? – chciała wiedzieć Lula. – Wystarczy ją posiadać? Czy trzeba ze sobą nosić? A może potrzeć, jak lampę Aladyna?

– Dokładnie to nie wiem – odpowiedziała babcia. – Nigdy nie widziałam, żeby Pip jej używał. – Spojrzała na mnie. – Nie było do niej instrukcji?

– Nie.

– A to szkoda – stwierdziła babcia.

– Ta butelka jest tyle warta, co końskie łajno, ot co – oznajmił mój ojciec. – Pip był pomyłony. Własnego tyłka nie potrafił znaleźć bez mapy.

– A jak wygrał dziesięć kawałków na loterii? – spytała babcia. – Jak to wyjaśnisz?

– Głupi ma szczęście – uciął ojciec.

– No właśnie! – wykrzyknęła babcia. – To była szczęśliwa butelka.

– A jak się odlał w trakcie burzy i poraził śmiertelnie prądem? – spytał ojciec. – To też było szczęście?

– Pewnie nie miał ze sobą butelki – uznała babcia.

– Co się stało z moją pieczenią? – spytała Lula.

– Zjadłaś ją – odparła babcia.

Lula obejrzała talerz, sprawdziła kolana i podłogę.

– Naprawdę zjadłam? Bo nie pamiętam.

– Widziałam – zapewniła ją babcia. – To była pierwsza rzecz, którą zjadłaś.

– Myślicie, że zjedzenie czegoś się liczy, jak się tego nie pamięta?

Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Ojciec też nie zamierzał tego komentować.

Lula raz jeszcze spojrzała na talerz. Miała na nim łyżeczkę purée i groszek.

– Co na deser? – spytała. – Lepiej, żeby to nie były winogrona.

Jechałyśmy z Lulą jeepem na Stark, żeby rzucić okiem na dom pogrzebowy Słonecznika. Dochodziła ósma i słońce wisiało już nisko. Wstąpiłam po drodze do domu po bluzę, a Lula uparła się, żebyśmy zabrały też butelkę.

– Wujek Pip do dzisiaj pewnie by żył, gdyby zabrał ze sobą szczęśliwą butelkę –

powiedziała mi. – Mógłby choćby do niej nasikać zamiast na ten kabel.

– Mało prawdopodobne – powstrzymałam jej dywagacje. – Nie mogę korka wyjąć.

– Daj mi popatrzeć. Może ja coś wymyślę.

Zatrzymałam się na światłach i wyciągnęłam butelkę z dużej skórzanej torebki.

Lula przez chwilę pracowała nad korkiem, ale bezskutecznie.

– Masz rację – przyznała. – Ten frajer utknął tu na dobre. – Potrząsnęła butelką przy uchu. – Nie słyhać, żeby w środku coś było. – Spróbowała zajrzeć do środka, podnosząc butelkę pod światło ostatnich promieni słońca. – Nic tam nie widzę... Szkło jest za grube.

Szczęście to moim zdaniem dziwna sprawa. Ciężko powiedzieć, czy sobie na nie pracujesz, czy może po prostu błąka się za tobą. I mam wrażenie, że równie dobrze może być to pech, a nie szczęście. To nie jest jakaś stała zdolność czy umiejętność, jak gra na pianinie czy usmażenie doskonałego omleta.

Przejechałam obok domu pogrzebowego i popatrzyłyśmy, co się tam dzieje. Przy ulicy parkowało kilka samochodów, grupka starszych mężczyzn w garniturach pod krawatami stała w otwartych drzwiach, rozmawiając. W środku paliły się światła. Melon urządził czuwanie.

Zaparkowałam jakieś pół kwartału dalej.

– Poczekam tu, a ty się rozejrzyj – powiedziałam do Luli.

– Dlaczego ty zostajesz w wozie? – dopytywała się Lula. – To ja nienawidzę umarłaków. To ja powinnam poczekać.

– Nie możesz tu czekać. Jesteś przyjaciółką zmarłego.

– Dobra. Ale sama nie idę. Musisz jakoś wtopić się w otoczenie. Odstaw się trochę i wszyscy pomyślą, że jesteś panienką, która przyszła z wizytą.

Potargałam włosy i pomalowałam usta wyraźniejszą szminką, zdjęłam bluzę i podwinęłam koszulkę tak, żeby było widać trochę ciała.

– Nic więcej nie zrobię – oznajmiłam.

– Wcale nie jesteś taka seksowna – powiedziała Lula. – Z takim wyglądem nigdy nie zarobisz żadnych pieniędzy.

– Pewnie, że zarobię. Jestem dziewczyną z sąsiedztwa.

– Ty to nic nie wiesz. Żeby odgrywać dziewczynę z sąsiedztwa, musisz mieć krótką spódniczkę i włosy związane w dwie kitki.

– A ja myślałam, że to by była uczennica szkoły katolickiej.

– Uczennica szkoły katolickiej ma spódniczkę w kratę i plisowaną.

Włożyłam butelkę Pipa z powrotem do torby, którą zawiesiłam od razu na ramieniu, i wyskoczyłam z jeepa. Minęliśmy grupkę mężczyzn i weszliśmy do środka. Grupa starszych pań stała wokół stolika z termosami z kawą i kubkami. Zajrzawszy do pokoju obok, zobaczyłam jeszcze więcej kobiet i kilku mężczyzn. Tutaj też znajdowała się trumna. I na tym, z tego, co widziałam, kończyła się część dostępna wizytującym.

– Mały ten dom pogrzebowy – powiedziałam do Luli.

– Balsamowanie odbywa się chyba na górze, skoro tam są wszystkie okna zamalowane, a my wiemy, że Bobby Słonecznik w piwnicy lubi trzymać szczury – stwierdziła Lula.

– Chcę zobaczyć, co jest w tym korytarzu po lewej. Stań tak, żeby nikt nie zobaczył, że tam weszę.

Korytarz nie był długi. Prowadził do niewielkiej kuchni i wejścia na górę, były tu również dwie pary drzwi. Otworzyłam jedno i znalazłam schody prowadzące w dół. Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam przez chwilę. Żadnych pisków. Zapaliłam światło i szepnęłam: „Halo?”. Żadnej odpowiedzi. Nie chciałam uratować Vinniego aż tak bardzo, żeby zejść na dół. Zamknęłam drzwi do piwnicy i otworzyłam te drugie. Wychodziły wprost na alejkę za budynkiem i niewielki wybrukowany parking. Stały tam karawan i czarny lincoln limuzyna. Wyszłam na zewnątrz, żeby obejrzeć sobie tył budynku i drzwi się za mną zamknęły. Złapałam za klamkę. Zatrzaśnięte.

Dom pogrzebowy stał pośrodku kwartału, między kolejnymi budynkami nie było żadnych przerw. Musiałam pójść alejką do rogu i wyjść na Stark. Normalnie powiedziałabym: nic wielkiego, ale to akurat nie była okolica, gdzie dziewczyna ma ochotę spacerować po zmroku.

Znów spojrzałam na tyły budynku. Cztery okna na piętrze. Wszystkie zaczernione i okratowane, tak jak z przodu. Zadzwoiłam do Luli.

– Gdzie ty jesteś, do diabła? – chciała wiedzieć.

– Zatrzasnęłam się przez przypadek na zewnątrz. Jestem w alejce na tyłach, możesz mnie wpuścić?

– Nie. Bobby Słonecznik właśnie zszedł tymi schodami z góry, stoi w korytarzu i rozmawia z jakimś idiotą, który z daleka wygląda na zabójcę.

– Idź i spytaj, czy mają na górze Vinniego.

– Ale śmieszne – prychnęła Lula. – Może potrzyj swoją butelkę i poproś o oczy z

rentgenem.

– Czy ty może kpisz z mojej szczęśliwej butelki?

– Ta, ale bardzo żałuję. To nie jest dobry pomysł, żeby okazywać brak szacunku szczęśliwej butelce. Spotkamy się przy jeepie. Dobrze, że masz przynajmniej swój lakier do włosów, na wypadek jakbyś spotkała któregoś z tutejszych mieszkańców.

Pięć

Krokiem godnym chodździarzy ruszyłam alejką, starając się trzymać cieni w nadziei, że nikt mnie nie zobaczy. Wypadłam za róg i kiedy już znalazłam się na Stark, byłam bliska zawału. Wzięłam kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, zanim wsiądę do samochodu, w przeciwnym razie będę musiała wysłuchiwać gadania Luli, jak to powinnam nosić ze sobą broń. No dobrze, może po części miała rację, ale naprawdę nienawidziłam broni i nigdy nie mogłam zapamiętać, gdzie wsadziłam naboje.

Komandos miał w jeepie zainstalowane zdalne otwieranie drzwi, więc użyłam pilota i wpuściłam nas do samochodu. Siedziałyśmy, patrząc na zakład pogrzebowy.

– Znasz Bobby’ego Słonecznika? – spytała Lula.

– Nie.

– To ten wysoki, co właśnie wyszedł.

– Słonecznik to jego prawdziwe nazwisko?

– Z tego, co wiem.

Bobby Słonecznik miał jakieś metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, smukłą sylwetkę, pociągłą twarz i długie dobierane warkoczyki, które przylegały płasko do czaszki, a potem opadały mu do ramion. Ubrany był w prążkowany garnitur i białą koszulę rozpiętą do połowy piersi, do tego nosił mnóstwo złotych łańcuchów wokół szyi, a jego diamentowy pierścień widziałam z daleka. Towarzyszyło mu dwóch gości, którzy wyglądali na niezbyt bystrych mięśniaków. Stali dwa kroki za Słonecznikiem, który rozmawiał z gościem o posturze hydrantu w źle dopasowanym garniturze.

– A to jest dyrektor zakładu pogrzebowego Melon – wyjaśniła Lula. – Przyglądałam mu się wewnątrz.

Pod domem pogrzebowym zatrzymał się czarny cadillac escalade z przyciemnianymi oknami, Słonecznik zostawił Melona i wsiadł na tylne siedzenie. Jeden z mięśniaków dosiadł się do szefa, drugi zajął miejsce obok kierowcy i cadillac ruszył.

Wrzuciłam bieg i pojechałyśmy za nim. Trzymałam się z daleka, pilnując, by było między nami jakieś pół kwartału. Cadillac dotarł do końca Stark, skręcił w State Street i w Broad i tam go zgubiłam. Na Broad panował zbyt duży ruch. Zatrzymałam się na światłach,

a oni mi zniknęli.

– Mam złe przeczucia odnośnie Bobby’ego Słonecznika – powiedziała Lula. – Niektórzy ludzie budzą w tobie w środku lęk i on jest jednym z takich ludzi.

Zjechałam z Broad i wróciłam przez Grajdoł na Hamilton do biura. Wysadziłam Lulę przy jej samochodzie i ruszyłam do domu. Dzielił mnie od niego jakiś kwartał, gdy nagle Mickey Maruda minął mnie, jadąc w przeciwnym kierunku. Czarny mercedes z fioletowymi światłkami alfonsa wokół tablicy rejestracyjnej. Ciężko go było przeoczyć. Zgasiłam światła i wykonałam zawrotkę na Hamilton, dopilnowałam, by między mną a Marudą znalazł się samochód, i włączyłam światła.

Maruda skręcił w Olden, przejechał przez tory, zakręcił i wjechał w Stark, a potem w alejkę za domem pogrzebowym, zaparkował obok limuzyny i wysiadł. Ja zatrzymałam się za rogiem, po ciemnej stronie ulicy, ze zgaszonymi światłami. Maruda podszedł do tylnych drzwi i zapukał. Ktoś mu otworzył, Maruda wszedł do środka i drzwi się zamknęły.

Spojrzałam we wsteczne lusterko i zobaczyłam, że za jeepem parkuje samochód. Puls mi przyspieszył i już miałam nacisnąć gaz, gdy zobaczyłam, że z tego wozu wysiada Komandos.

Też wysiadłam, stanęłam obok niego i puls nie zwolnił mi nawet na chwilę. Bliskość Komandosa na ciemnej wyludnionej uliczce każdą kobietę przyprawiałaby o szybsze bicie serca.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłeś – poinformowałam go. – W pierwszej chwili nie wiedziałam, że to ty.

– Chet monitoruje flotę, zobaczył, jak zawracasz i jedziesz za Marudą.

– A ty po prostu byłeś w okolicy.

– Nie. Złapałem kluczyki i przyjechałem sprawdzić, co robisz. – Obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Jakiś nowy styl?

– Byłyśmy tu wcześniej z Lulą i uznała, że będę lepiej pasować do otoczenia jako dziwka.

Komandos położył mi dłonie w talii i przesunął po nagiej skórze w górę, do miejsca, gdzie wsadziłam podwiniętą koszulkę za stanik. Opuścił materiał i wygładził.

– Wyglądasz, jakby ci było zimno.

Byłam niemal pewna, że ta uwaga odnosiła się do stanu moich sutków, a ponieważ miałam do czynienia z Komandosem, byłam też niemal pewna, że on doskonale zdaje sobie

sprawę, że zimno nie miało tu nic do rzeczy.

– Widziałam, jak Bobby Słonecznik wychodził stąd jakieś czterdzieści pięć minut temu. A teraz Maruda przyjechał – relacjonowałam.

Komandos popatrzył na tylną ścianę budynku.

– I myślisz, że Vinnie tam jest?

– Okna na piętrze są zaczernione. Początkowo myślałam, że tam jest pomieszczenie do balsamowania, ale Lula zobaczyła, jak Słonecznik stamtąd schodzi. – Sięgnęłam do wnętrza jeepa po bluzę. – Nie miałam okazji obejrzeć miejsc poza tymi ogólnodostępnymi.

Komandos spojrzął na zegarek.

– Godziny czuwania dobiegły już końca, zewnętrzne światła od frontu są pogaszone, widziałem, jak przejeżdżałem. Możemy chwilę się tu pokręcić i zobaczyć, co się dzieje.

Zapięłam bluzę i razem z Komandosem oparłam się o burtę jeepa. Nie był facetem, który uprawia pogawędki o niczym, i zdążyłam się już przyzwyczaić do milczenia. Staliśmy tak z dziesięć minut, gdy drzwi otworzyły się ponownie i Maruda wyszedł z budynku. Za nim wyłonił się jeszcze jeden facet. Zgasił światło w środku domu pogrzebowego i niewielki parking firmowy utonął w ciemnościach. Usłyszeliśmy szcęk zamykanych drzwi, potem trzasnęły drzwiczki samochodu. Komandos odciągnął mnie od jeepa, pod osłonę budynku. Pochylił się ku mnie, osłonił swoim ciałem. Ubrany był jak zawsze, na czarno. Czarna koszulka, czarna wiatrówka, czarne bojówki, czarne adidas, czarny pistolet. Włosy miał ciemne, skórę jasnobrązową. Komandos był cieniem.

Usłyszeliśmy dwa silniki, błysnęły światła. Mercedes przejechał pierwszy. Za nim przetoczył się wielki lincoln. Jeden po drugim skręciły w Stark.

Komandos nadal przyciskał mnie do ściany, rękę trzymał na mojej talii, oddychał równomiernie. Jego usta musnęły moje ucho, policzek, odnalazły moje wargi i natychmiast każdą część mnie wypełniły żar i pożądanie. Ponieważ staliśmy na ulicy, w tej części miasta, gdzie morderstwa były na porządku nocnym, podejrzewałam, że poza pocałunek się nie posuniemy.

– Bawisz się? – zapytałam.

– Tak. Ale to się jeszcze może zmienić.

Poczułam, jak moje palce zaciskają się na jego koszulce, i zmusiłam się, by je rozprostować. Odsunęłam go na odległość kilkunastu centymetrów i wygładziłam zagniecenia na koszulce, które zrobiłam chwilę wcześniej.

– Muszę znaleźć Vinniego – oznajmiłam.

Komandos popatrzył na budynek zakładu pogrzebowego.

– Wracaj do samochodu i zablokuj wszystkie drzwi. Ja tam pójde i się rozejrzę.

– Na pewno mają alarm.

– Nawet w przypadku najlepszych alarmów zawsze jest to dziesięcio-, piętnastominutowe okno, zanim ktoś się zjawi. A w tej części miasta zjawiają się jakby później... o ile w ogóle.

Komandos podbiegł do tylnych drzwi, otworzył je bez najmniejszego trudu, wślizgnął się do środka i kilka minut później usłyszałam alarm. Złapałam oburącz za kierownicę i wpatrywałam się w budynek, licząc minuty. Pięć minut przeszło. Dziesięć. Zagryzłam wargę i myślałam tylko: wyłaź, wyłaź, wyłaź! Drzwi otworzyły się ponownie po czternastu minutach. Komandos wyszedł sam i podbiegł do samochodu.

– Pojadę za tobą do domu. Tu nie chcę rozmawiać – powiedział.

Ruszyłam i kiedy dojechałam do rogu, przed domem pogrzebowym zatrzymał się długi lincoln, wysiadło z niego trzech facetów i ruszyli do drzwi. Komandos i ja minęliśmy ich i wyjechaliśmy ze Stark.

Komandos odprowadził mnie do mieszkania i wszedł ze mną do środka.

– Jak widać, Vinniego nie przetrzymują u Melona – powiedziałam.

– Pomieszczenie do balsamowania jest w piwnicy i do przyjemnych nie należy. Pokoje na górze są wykorzystywane do zbierania i przechowywania kasy. W jednym jest stół do liczenia i sejf. Pozostałe służą jako przechowalnie. Ani śladu Vinniego.

– A Mickey Maruda? Zatrzymywał się gdzieś jeszcze?

– Sprawdziłem u Cheta. Mickey wyszedł od Melona i pojechał prosto do domu. Najwyraźniej zakończył działania na dzisiaj. – Komandos rozpiął mi bluzę. – My możemy jeszcze podziałać.

Cofnęłam się o krok.

– Jesteś w rodzinnym nastroju?

Kąciki jego ust uniosły się w najdelikatniejszym z uśmiechów.

– Jestem w przyjacielskim nastroju. – Jednym krokiem zlikwidował dystans między nami, zdjął mi torbę z ramienia i nagle jego uwaga przeniosła się ze mnie na torbę.

– Masz broń? – zapytał. – Torba jest ciężka.

– To przez butelkę.

Wyjęłam z torby butelkę wujka Pipa i postawiłam na blacie w kuchni. Rex wyszedł ze swojej puszkę po zupie i popatrzył na butelkę przez szklaną szybę akwarium. Czarne koralikowe oczka zalśniły, wąsiki zadrżały i Rex oparł różowitkie łapki o szybę. Mrugnął raz i uciekł do puszkę.

– Dlaczego nosisz ze sobą butelkę? – zainteresował się Komandos.

– To jest butelka, którą dostałam w spadku po wujku Pipie. Ponoć przynosi szczęście i Lula zdecydowała, że powinniśmy ją ze sobą zabrać... na wszelki wypadek.

Uśmiech Komandosa stał się szerszy.

– Nie zaszkodzi.

– Dziś raczej nie miałam z niej wielkiego pożytku.

– Noc jeszcze młoda – powiedział Komandos. – Może ci się poszczęścić.

Praca agenta do spraw poręczeń prawie nigdy nie wymaga nastawiania budzika. Przestępcy są zbiegami dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc mogę sobie sama wybrać, w jakich godzinach będę na nich polować. Lula zazwyczaj pojawia się w biurze około dziewiątej, a ja zazwyczaj zaraz po niej. Ten rano był taki jak zazwyczaj.

Poprzedniego wieczoru wysłałam Komandosa do domu, ponieważ doszłam do wniosku, że nie jestem gotowa na to, żeby mi się poszczęściło. Noc z Komandosem była niezwykle kuszącym pomysłem, ale słono by mnie kosztowała. Mój związek z Morellem był akurat w zawieszeniu. Poranna kłótnia w kuchni Morellego, która miała miejsce parę tygodni temu, stanęła na tym, że może powinniśmy zacząć spotykać się z innymi ludźmi, ale w rzeczywistości żadne z nas tego nie robiło. Nie miałam nic przeciwko odrobinie flirtu i może jakiemuś pocałunkowi, ale nie czułamby się dobrze, przekraczając te granice z jakimkolwiek mężczyzną.

– Hej, dziewczyno – przywitała mnie Lula z kanapy w biurze. – Jakie plany na dzisiaj?

– Dirk McCurdle i gość od prochów nazywany Obrzynem.

– I Vinnie – przypomniała mi Connie.

– Taa – zgodziłam się. – I Vinnie.

– Masz jakieś tropy? – pytała Connie.

– Wiem, gdzie go nie ma. I chciałabym znać adres najlepszego przyjaciela Dirka, Ernego Wilkesa. Została mi jeszcze ostatnia pani Curdle. Jeśli mi nie pomoże, pogadam z

Erniem.

Connie postukała w klawiaturę i komputer wypłuł adres Erniego. Zapisała go na kawałku papieru.

– Jest emerytowanym pracownikiem fabryki guzików, więc powinien być w domu – poinformowała, wręczając mi karteczkę.

Zadzwonił telefon i Connie odebrała.

– Ta. Ta, ta, ta. Zaraz będę. – Rozłączyła się i chwyciła za torebkę. – Muszę wypisać kaucję za Jimmiego Leonarda. A to znaczy, że muszę zamknąć biuro na godzinę.

– Możemy zostać i zaopiekować się telefonami – zaproponowała Lula.

– Nie ma mowy – zaprotestowała Connie. – Chcę, żebyście szukały Vinniego. Nie mogę zarządzać biurem i wyciągać ludzi za kaucją w tym samym czasie. Wiem, że Vinnie to szumowina, ale jego obecność tutaj ma znaczenie... przynajmniej czasami.

Tylko Connie i Vinnie mogli podpisywać umowy o kaucję i na ich podstawie wyciągać ludzi z aresztu, by na rozprawę czekali na wolności. Ja pracowałam jako łowca nagród i podpisywałam tylko takie umowy, które dawały mi uprawnienia do szukania przestępców, którzy Nie Stawili się w wyznaczonym dniu rozprawy. Lula nie miała żadnych uprawnień, więc robiła, co tylko chciała.

Connie ruszyła do sądu, a my z Lulą do jeepa. Stella McCurdle mieszkała w północnym Trenton. Ernie Wilkes i jego żona zaledwie kilka przecznic dalej. Jak dla mnie bomba. Zaczynało mi brakować pieniędzy na benzynę i wcale mi się nie uśmiechało jeździć dookoła świata, żeby znaleźć McCurdle'a. Zaparkowałam przed domem Stelli i razem z Lulą ruszyliśmy do drzwi.

– No o tym mniej więcej mówiłam – stwierdziła Lula – to wygląda jak dom bigamisty.

Stałyśmy przed wąskim piętrowym domkiem jednorodzinny, pomalowanym na kolor lawendowy z różowymi wykończeniami. Dlaczego Lula uważała, że bigamista mieszka w lawendowym domku, nie miałam pojęcia.

– No. To wygląda jak dom bigamisty bez dwóch zdań – powiedziałam.

– Mam ogromne nadzieje co do tej żony – oznajmiła Lula.

Stella McCurdle otworzyła drzwi w obcisłych lawendowych getrach, szpilkach bez pięty i elastycznej bluzce w kwiatowe wzory, która odsłaniała sporą część za bardzo opalonego biustu o fakturze krepy. W uszach miała masywne kolczyki, a na palcach masywne pierścionki, mnóstwo makijażu i włosy w odcieniu niemalże kanarkowej żółci,

natapirowane w stylu lat siedemdziesiątych.

– Łał – powiedziała Lula na jej widok. – To jak „Soul Train” dla seniorów!

Stella pochyliła się ku nam.

– Co mówisz, kochaniutka? Słuch mi trochę nawala. Mam uszy zatkane woskowiną. Akurat się wybierałam do lekarza.

– Szukamy pani męża – powiedziałam.

– Co?

– Pani męża!

– Nie, dziękuję. Nie potrzebuję.

– To musi być od groma woskowiny – skomentowała Lula.

– Dirk – wrzasnęłam. – Gdzie jest Dirk?!

– Dirk! Nie wiem. Nie obchodzi mnie to – odpowiedziała Stella. – Już zamknęłam tamten etap. Znajdę sobie nowego chłoptysia do zabawy. Dirk i tak był dla mnie zbyt stary.

– To jest właściwe podejście – pochwaliła Lula.

– Co? Co mówiłaś? – spytała Stella.

Wywrzeszczałyśmy „do widzenia” i wróciłyśmy z Lulą do samochodu, żeby pojechać do domu Erniego. Nie sądziłam, że znajdę tam Dirka, ale podejrzewałam, że Ernie może utrzymywać z nim kontakt.

– Która godzina? – zapytała Lula. – Chyba potrzebuję pączka. Czy to już pora na pączka?

– Rozważam zmianę diety na zdrowszą – oznajmiłam. – Więcej warzyw. Mniej pączków.

– O co teraz chodzi?

– Nie wiem. Tak mnie naszło.

– Zły pomysł. Jak ja wyglądam, jak Ogórek Zielony Garniturek? Jak to by brzmiało, gdybym powiedziała, że jest pora na warzywa? Ludzie pomyśleliby, że jestem pomyłona. A jestem na diecie. Co ja zrobię z jedną marchewką i jednym szparagiem? One w ogóle nie poprawiają nastroju, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Wiem, o czym mówisz, ale na trasie stąd do domu Erniego raczej nie natkniemy się na zbyt wiele pączków.

– No chyba mogę trochę poczekać. No i może masz trochę racji z tym zdrowym żywieniem. Zjem pączka z ciasta marchewkowego.

Przejechałam przecznicę, zatrzymałam się i zadzwoniłam do Erniego. Miałam takie przeczucie, że bardziej mi pomoże, jeśli uda mi się z nim pogadać z dala od żony. Na moje jego żona nie byłaby szczęśliwa, gdyby się dowiedziała, że on wciąż kręci się z Dirkiem bigamistą.

Ernie odebrał, a ja się przedstawiłam.

– Pańska żona jest w domu? – spytałam.

– Tak – odparł.

– A byłaby zdenerwowana, gdyby się dowiedziała, że nadal przyjaźni się pan z Dirkiem McCurdle'em?

– O co chodzi?

– Mogę przyjść do pańskiego domu i porozmawiać z panem w obecności żony albo możemy spotkać się gdzieś za parę minut. Muszę znaleźć Dirka.

– Dobrze.

– Niech pan wsiądzie do samochodu albo pójdzie na spacer, a ja pojedę za panem.

– Dobrze.

I się rozłączył.

Pięć minut później z podjazdu Wilkesów wyjechał samochód i ruszył w kierunku Olden. Trzy przecznice dalej wóz zatrzymał się przy krawężniku i wysiadł z niego Ernie.

– Nic nie wiem na temat Dirka – powiedział od razu. – Kiedyś się przyjaźniliśmy, ale nie widuję go za często.

– Kiedy po raz ostatni z nim pan rozmawiał? – spytałam.

Ernie zawahał się przez chwilę.

– Dawno temu.

– Proszę spróbować raz jeszcze – odpowiedziałam.

Ernie westchnął z rezygnacją.

– Kilka dni temu. Ma nową żonę. Przynajmniej mówił, że to żona.

– Wie pan, jak ma na imię? Gdzie mieszka?

– Na imię ma Dolly. Nie znam nazwiska. Ponoć spotkali się w Centrum Seniora przy Greenwood. Mówił, że ona ma tam gdzieś dom.

– A Dirk ma jakiś dom albo mieszkanie?

– Nic nie wiem na ten temat. – Ernie potrząsnął głową. – Zawsze mieszkał u swoich żon. Mówię wam, prawdziwy z niego aparat.

Podziękowałam Erniemu i wręczyłam mu wizytówkę, po czym ruszyliśmy w stronę Greenwood.

– Zatrzymaj się tutaj – odezwała się Lula. – Zaraz po prawej jest piekarnia, założę się, że mają zdrowe pączki. Na przykład wianuszek pełnoziarnisty z zieloną fasolą.

Sześć

Zatrzymałam się na niewielkim parkingu i czekałam na Lulę, która wbiegła do środka. Miałam opuszczone okno i byłam w fazie, gapiłam się na piekarnię, nie myśląc w ogóle. Nagle skóra na karku zaczęła mnie mrowić i poczułam w brzuchu falę gorąca. Doleciał mnie aromat żelu pod prysznic Bulgari Green i już znałam przyczynę tego żaru. Komandos.

Schylił się lekko do otwartego okna.

– Mam problem w biurze w Atlancie – powiedział. – Właśnie jadę na lotnisko. Powinienem wrócić jutro, do tego czasu dzwoń do Czołga, gdybyś potrzebowała pomocy. Kazałem Chetowi wysłać informacje o ruchach Marudy bezpośrednio do ciebie.

Czołg był zastępcą Komandosa. To on był tym gościem, który pilnował pleców Komandosa. A imię mówiło wszystko.

– Dzięki. I uważaj na siebie.

Uśmiechnął się. Ciężko było stwierdzić, czy uśmiecha się, bo ktoś martwił się o niego na tyle, by kazać mu uważać na siebie, czy też samą koncepcję uznał za zabawną.

Minutę po tym, jak Komandos się oddalił, Lula wsiadła do jeepa.

– Jedyne, co dostałam, to pączka z jagodami – oznajmiła. – Nie mieli żadnego z warzywami. Wzięłam jeszcze takiego z dżemem truskawkowym i o smaku korzennym i bananową bułeczkę. Czekać tylko. Korzenie to warzywa? To się liczy?

– W tej torbie masz jak nic osiemset kalorii.

– No tak, ale według diety mogę mieć po jednym ze wszystkiego.

– Jeden pączek! A nie po jednym z każdego rodzaju!

– Nie wiesz tego na pewno.

– A schudłaś na tej diecie?

– Nie, trochę przybrałam, ale chyba zatrzymuję wodę.

Centrum Seniora to wielki stary dom, przebudowany tak, by pomieścić wielbicieli bingo. Jest otwarte w dzień i w nocy i pachnie krakersami. Z doświadczenia wiem już, że najlepiej stawiać samochód w najdalszym kącie parkingu. Przynajmniej połowa seniorów, którzy przyjeżdżali tu na garybaldkę i bingo, była całkiem ślepa z powodu zwyrodnienia

plamki żółtej i parkowali swe auta, wyczuwając drogę zderzakami.

Zostawiłam Lulę w jeepie z pączkami i przeszedłszy przez parking, skierowałam się prosto do biura administracji centrum. Za biurkiem siedziała starsza pani w turkusowym kielku. Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

– W czym mogę pomóc, kochaniutka?

– Szukam przyjaciółki mojej babci, Dolly.

– Na pewno chodzi o Dolly Moliński. Dzisiaj jej nie ma. Po prawdzie to nie widziałam jej już jakiś czas.

– Wie pani, gdzie ona mieszka? Może ma pani numer telefonu?

– Nie. Niestety nie. Nie mamy takich informacji. Wiem, że mieszka blisko, bo jak jest ładna pogoda, przychodzi na bingo piechotą.

Wróciłam do jeepa i zadzwoniłam do Connie.

– Dolly Moliński. Możesz znaleźć mi adres?

Kilka minut później znów usłyszałam w słuchawce głos Connie.

– Mieszka na Stanley Street czterysta jeden.

– Nie wiem, gdzie jest Stanley. Jestem przy Centrum Seniora. Możesz mnie pokierować?

– Dwie przecznice dalej. Jedź Applegate i skręć w Stanley.

Przejechałam dwie przecznice Applegate, skręciłam w Stanley i zaparkowałam przed numerem czterysta jeden. Był to niewielki mały domek, z trawniczkiem wielkości znaczka pocztowego, na którym stał metrowej wielkości krasnal. Podeszłyśmy wraz z Lulą do drzwi i zapukałam. Otworzyła mi starsza pani niewiele wyższa od krasnala. Miała śnieżnobiałe krótkie włosy, miłą okrągłą twarz, a na sobie oślepiająco różowe spodnie do jogi i koszulkę pod kolor.

– Tak? – zapytała.

– Szukam Dirka McCurdle'a – powiedziałam. – Jest tutaj?

– Tak. Ale śpi. Naprawdę, nie wiem, jak ten człowiek może tak spać. Byłam już na zajęciach tai chi, wstawiłam gulasz na mały gaz, nakarmiłam koty.

– Muszę z nim porozmawiać w bardzo ważnej sprawie. Może go pani obudzić?

– Mogę spróbować, ale on bardzo mocno śpi.

Pomknęła w głąb domu, a my weszłyśmy za nią do salonu. Pełno tu było wyjątkowo grubo wyściełanych mebli i kotów. Rudy kot na kanapie, pręgowany kot obok rudego, czarny na oparciu krzesła i drugi pręgowany rozciągnięty na podłodze.

– O, wszędzie są koty – stwierdziła Lula. – A ja mam alergię na koty. Dostanę kociego ataku.

Dolly wróciła do salonu.

– Wciąż śpi – oznajmiła. – Może przyjdziecie kiedy indziej?

– Dirk! – wrzasnęłam. – Agencja poręczycielska. Musimy porozmawiać.

Nic.

– Jest pani pewna, że on tu jest? – spytałam Dolly.

– Oczywiście, że jest. Jest wtorek. Nie chcę być niegrzeczna, ale jestem naprawdę zajęta. Już mam zaległości. Muszę wyczyścić kocie kuwety, zaprowadzić samochód do warsztatu i spotykam się z dziewczętami na lunchu.

– Ma pani coś przeciwko, żebym sama spojrzała?

– Nie, proszę bardzo. Obudziłabym go, ale naprawdę nie mam czasu. To wspaniały człowiek. Najlepszy w bingo, ale rankiem rusza się równie szybko, co melasa. Sypialnia jest na tyłach.

Minęłam Dolly i przeszłam na tył domu do głównej sypialni, odsuwając sobie z drogi koty. Kątem oka widziałam, jak trzymająca się za nos Lula ogania się od nich.

Ostrożnie weszliśmy do pokoju i spojrzaliśmy na Dirka.

– O-ho – powiedziała Lula.

Zagryzłam dolną wargę.

– Jak długo Dirk tak śpi? – krzyknęłam do Dolly.

– Od wczoraj. Wcześniej się położył. Brzuch go bolał.

Wyciągnęłam z torebki komórkę i zadzwoniłam na dziewięćset jedenaście.

– Proszę o przysłanie policjanta na Stanley Street, numer czterysta jeden. I karetki. Ale proszę sobie darować syreny.

– Coś jest nie tak? – spytała Dolly.

– Bardzo mi przykro, ale jestem pewna, że Dirk nie żyje – odpowiedziałam.

Dolly przyjrzała mu się uważniej i dźgnęła go palcem.

– No martwy, zupełnie. Cholera. To już trzeci mąż, jaki mi umarł w tym roku. Muszę zacząć wychodzić za młodszych. Dobrze, że nie wzięłam jego nazwiska. Straszny potem kłopot z tą całą biurokracją. – Wygładziła kosmyk cienkich włosów na czaszce McCurdle'a. – Dobrze się z nim bawiłam – stwierdziła. – Będzie mi go brakowało w poniedziałki i wtorki.

Lula kichnęła.

– Przekłete koty. Mam alergię niemal na wszystko, co tu jest, koty, umarlaki, a do tego zaraz będzie tu pełno gliniarzy.

Dolly zerknęła na zegarek.

– Powinnam chyba odwołać wizytę w warsztacie.

– Raczej tak – zgodziła się Lula. – Ale jeśli się pospieszymy, to zdąży pani na ten lunch.

– Powinniśmy wyjść i poczekać na policję – oznajmiła Dolly. – Nigdy jakoś nie mogą znaleźć tego domu. Nie mam pojęcia dlaczego. To jest ten dom z krasnałem, na litość boską!

– Widać, że ma pani w tym wprawę – zauważyła Lula.

– Mąż przed Dirkiem umarł pięć miesięcy temu, niech spoczywa w pokoju. A przed nim był George.

Wyszliśmy powoli z domu i stałyśmy w promieniach późnego porannego słońca.

Na ulicy pojawił się radiowóz i wysiedli z niego Carl Constanza i Duży Pies. Carl i ja razem przystępowaliśmy do pierwszej komunii, w dorosłym życiu przyjaźnił się z Morellim. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Daję głowę, że to będzie coś dobrego.

– Mam tam nieżywego NS-a – powiedziałam.

– Zabiłaś go?

– Nie. Na moje oko zmarł z przyczyn naturalnych, ale co ja tam wiem. Dolly mówi, że się po prostu nie obudził.

Carl założył gumowe rękawiczki.

– Będziesz potrzebował czegoś więcej tam w środku – ostrzegła go Lula. – Tam są koty.

– Kichnęła i puściła bąka jednocześnie. – Przepraszam.

Zza rogu wyłoniła się karetka i Duży Pies pomachał w jej stronę.

– Później wpadnę na posterunek po moje papiery – powiedziałam do Carla.

– Nie spiesz się. Najpierw muszę skończyć ze swoimi.

– Przykro mi z powodu pani straty – zwróciłam się do Dolly.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Miło było was poznać.

Wsiadłyśmy z Lulą do jeepa i zawróciłyśmy w stronę Greenwood.

– To było przygnębiające – stwierdziłam.

– No, strasznie rozczarowujące po tak długim oczekiwaniu, żeby zobaczyć bigamistę.

– Nie mogę się zdecydować, czy bardziej mnie przygnębia, że Dirk umarł czy że Dolly nie wiedziała, że umarł.

– Ja podchodzę do tego filozoficznie, jako obserwator ludzkiej natury – powiedziała Lula. – Musisz znaleźć właściwe podejście do takich spraw. Weź taką Dolly na przykład. Dolly miała zamiar iść na swój lunch, co jest dobre, bo życie toczy się dalej. A Dirk nawet martwy wyglądał, jakby się uśmiechał.

– Rzeczywiście wyglądał, jakby umarł z uśmiechem.

– Widzisz, wszystko to jest część kręgu życia – oznajmiła. – I niedługo my też będziemy martwe, ty szybciej, bo jesteś ode mnie starsza.

– Zostały ci jakieś pączki? Potrzebuję pączka.

– Wszystkie zjadłam. Ale możemy znowu zatrzymać się przy piekarni. Mieli tam kilka babeczek, zrobionych, jestem pewna, z sokiem z buraków. Albo z barwnikiem numer trzynaście.

Skręciłam w lewo na parking przed piekarnią i kupiłam sobie pączka z lukrem i kolorową posypką.

– To jest szczęśliwy pączek – powiedziałam do Luli.

– No jak, kurwa, nie, jak tak – potwierdziła z mocą. – Ale z drugiej strony nigdy nie widziałam smutnego pączka.

Zjadłam pączka i poczułam się o niebo lepiej, pojechałam więc Greenwood do Hamilton, potem obok biura do budynków rządowych przy rzece. Dochodziła pora lunchu i doszłam do wniosku, że Mickey Maruda będzie kręcił się w okolicy.

– O rany – mruknęła Lula, gdy wjechałam na parking przed 7-Eleven przy Marble Street.

– Zamierzasz zrobić, co myślę, że zamierzasz zrobić?

– Zamierzam pogadać z Marudą.

Zauważyłam jego samochód zaparkowany nieco z boku. Żadnych innych wozów w pobliżu. Było jeszcze wczesnie. Przerwa na lunch jeszcze się nie rozpoczęła. Zaparkowałam obok i przyciemniona szyba w jego wozie zjechała w dół.

Mickey miał jasne, wręcz białe włosy, ostrzyżone na beatlesa z lat sześćdziesiątych, małe świńskie oczka ukryte zawsze za ciemnymi okularami, głowę niczym wielki ziemniak i obwisłe ciało. Dobiegał pięćdziesiątki i był żywym dowodem, że w przestępczym świecie w Trenton każdy mógł odnieść sukces, jeśli tylko się postarał.

– Czego? – spytał.

- Chcę pogadać o Vinniem.
 - Co z nim?
 - Nikt nie chce dać za niego kasy.
 - Nie dziwota. To gnojek. Nie zrozum mnie źle. Lubię Vinniego. Od lat robiliśmy razem interesy, ale to nadal gnój.
 - Może dobijemy targu?
 - Jakiego?
 - No ty go nie zabijesz, a on przedstawi plan spłat.
 - Słuchaj, gdyby chodziło o mnie, byłoby spoko. Ale to nie o mnie chodzi. Ja już nie mam z tym nic wspólnego. To sprawa Bobby’ego Słonecznika i jest o wiele bardziej skomplikowana, niż myślisz.
 - Jak skomplikowana?
 - Po prostu skomplikowana. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Źli ludzie są w to zamieszani. Gorszi niż Bobby Słonecznik. – Wychylił się lekko. – Czy to Lula? Hej, mamuśka.
 - Nie hejmamuśkuj mi tu – odparowała. – Zostanę bez pracy, jak wykończą Vinniego, i co wtedy? Mam rachunki do płacenia. Mam standardy.
 - Ja mam dla ciebie pracę – odpowiedział Maruda.
 - Hunh – powiedziała Lula. – Już tego nie robię, ty mała polska parówo.
- Przyciemniana szyba podjechała do góry. Wrzuciłam bieg i wyjechałam z parkingu.

Siedem

zisiaj jakoś nieźle idzie – stwierdziła Lula. – Nikt do nas nie strzelał. Masz butelkę?

D

– Nie. Zostawiłam ją w domu.

– Wyobraź sobie, jakbyś miała butelkę.

– Mam w torbie teczkę Obrzyna – powiedziałam. – Wyciągnij i przeczytaj adres. To chyba gdzieś od South Broad.

– Nie jestem pewna, czy chcę chwytać kogoś, kto ma ksywkę Obrzyn – oświadczyła Lula. – A jak się dorobił tej ksywki, odrąbując palce u rąk i nóg? Nie chcę tracić swoich. Nie mogłabym nosić butów z odsłoniętym czubkiem. To by znacznie ograniczyło mój potencjał modowy.

– W teźce jest coś napisane o palcach?

Lula przejrzała zawartość folderu.

– Nie. Naprawdę nazywa się Mortimer Gonzales, ale ponoć wszyscy nazywają go Obrzyn. I że ma zwierzaka o imieniu Pan Dzwoneczek, i że trzeba się wystrzegać Pana Dzwonka. Mam nadzieję, że to nie kot. Imię pasuje do kota. Jak tylko o tym pomyślę, to wszystko mnie swędzi.

– Był już karany?

– I to nie raz. Zawsze za to samo. Za handlowanie prochami. Nie ma napadów z bronią w rękę. Wygląda na to, że to biznesmen. Średniego szczebla.

– Connie załączyła mapkę?

– Ta. Musisz skrócić z Broad na Cotter Street.

Jechałam Broad i myślałam o Mickeyu Marudzie. Powiedział, że jego to nie dotyczy. Miałam nadzieję, że to nie oznacza, że nie doprowadzi mnie do Vinniego. I co to miało, do cholery, znaczyć, że sprawa jest skomplikowana, a źli ludzie są w nią zamieszani? Myślałam, że chodzi o długi hazardowe.

– Hej! – krzyknęła Lula. – Właśnie minęłaś właściwą ulicę!

Zawróciłam i pojechałam na Cotter.

– Myślałam o tym, co powiedział Mickey. Jak bardzo zły musiałby być ktoś, żeby być gorszym od Bobby’ego Słonecznika?

– Chwytam – odpowiedziała Lula. – Tak sobie myślę, że tym razem Vinnie wpakował się w prawdziwe kłopoty.

Przejechałam jedną przecznicę i Lula zaczęła sprawdzać numery.

– Tutaj. Mieszka za tym magazynem z hydrauliką. To musi być poddasze albo coś w tym stylu.

Zabudowania przy Cotter stanowiły dziwną mieszaninę domów mieszkalnych i budynków industrialnych. Skromne domki jednorodzinne dla ludzi o niskich dochodach stały na przemian z warsztatami samochodowymi, blacharniami, niewielkimi magazynami i różnymi budynkami gospodarczymi. Przejechałam kawałek dalej, żeby zobaczyć, czy na tyły magazynu nie prowadzi jakaś uliczka. Prowadziła, wjechałam w nią i siedziałam przez chwilę w samochodzie, patrząc w okna mieszkania.

– Jak chcesz to załatwić? – spytała Lula. – Harcerskie ciasteczka? Dostawa pizzy? Ankieta?

Schody prowadziły do niewielkiego podestu i tylnych drzwi. Właściwie drzwi nie były tylne, a na tyłach budynku, bo z tego, co widziałam, było to jedyne wejście.

– Jestem w nastroju, żeby tam wejść i wywalić mu te drzwi z kopa – odpowiedziałam.

– Ja też. To miałam zaproponować jako następne. – Lula obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. – A nauczyłaś się wykopywać drzwi?

– Nie. Myślałam, że ty to zrobisz.

– Mam puszczałskie buty na dziesięciocentymetrowym obcasie. Nie mogę wykopywać drzwi w takich butach. Tak się po prostu nie robi. Musisz mieć glany, żeby wykopać komuś drzwi, wszyscy to wiedzą.

– No to w takim razie chyba pójdziemy, zadzwonimy i się przedstawimy.

– Wszystko jedno – burknęła Lula.

Zaparkowałam za zardzewiałą furgonetką Ecoline i weszłyśmy z Lulą po schodach na podest. Dzwonka nie było, więc zapukałam. Cisza. Zapukałam raz jeszcze. Nadal cisza. Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer Obrzyna. Słyszaliśmy dzwonek za drzwiami, ale nikt nie odbierał.

– Szkoda, że nie wiemy, jak mu wyważyć drzwi – stwierdziła Lula. – Pewnie chowa się pod łóżkiem.

Stałam na palcach, obmacałam futrynę i znalazłam klucz.

– Gdybym ja mieszkała w tej okolicy i miałabym w domu schowane prochy i kasę z

dilerki, tobym nie zostawiła tak klucza – stwierdziła Lula.

– Może ma system alarmowy.

Wsunęłam klucz w zamek, wstrzymałam oddech i pchnęłam drzwi. Cisza. Rozejrzałam się, sprawdzając, czy przy drzwiach nie ma klawiatury do wyłączania alarmu. Nie było.

– Najwyraźniej jest bardzo ufnym człowiekiem – stwierdziła Lula. – To takie odświeżające w tych czasach. Szczególnie wśród kryminalistów.

Znalazłyśmy się w sporym pomieszczeniu, po drugiej stronie widziałam wąski aneks kuchenny wyposażony dość skromnie, w pokoju stał stół, a przy nim cztery krzesła, za nim kanapa i dwa fotele przed wielkim, płaskim telewizorem. Po prawej dostrzegłam drzwi, zapewne prowadziły do łazienki.

– To zdumiewające, jak bardzo normalny może być kryminalista – stwierdziła Lula. – To wygląda jak mieszkanie przeciętnego człowieka. Wiadomo, trzeba handlować prochami, żeby pozwolić sobie na taki metraż, ale poza tym, musisz przyznać, jest naprawdę normalne. – Rozejrzała się. – Nie widzę Pana Dzwoneczka. I to raczej nie kot, bo nie kicham. To na pewno jakiś słodki szczeniaczek albo coś.

– Nie widzę miski ani zabawek dla psa.

– Chodź tu, Panie Dzwoneczku – zawołała Lula. – Chooodź! No chodź do Luli.

Coś zaszeleściło za kanapą i wylazł zza niej dwumetrowy aligator. Skupił spojrzenie gadzich oczek na Luli i szurnął do przodu.

– Ło! – Lula zatoczyła się, wpadając na mnie. – Pomocy! Uważaj. Zejdź mi z drogi.

W mgnieniu oka znalazłam się po drugiej stronie pokoju, z Lulą na plecach. Wypchnęła mnie z mieszkania i zatrzasnęła za nami drzwi.

– Chyba zmoczyłam spodnie! – stwierdziła. – Zobacz, zmoczyłam?

Nie byłam w stanie zobaczyć, czy ma mokre spodnie. Trzymałam się za serce, spazmatycznie łykając powietrze, a puls dudnił mi tak mocno, że aż wzrok mi się mącił.

– No chyba skończyłyśmy – wysapałam.

– No, żebyś, kurwa, wiedziała. I nie zapomnij odłożyć klucza, bo Obrzyn nie będzie w stanie wejść i nakarmić Pana Dzwoneczka, jeśli zatrzaśnie się przypadkowo na zewnątrz.

Odłożyłam klucz, a aligator uderzył w drzwi z drugiej strony. Popędziłyśmy po schodach tak szybko, że nie zdołałyśmy utrzymać równowagi i pół drogi przebyłyśmy na tyłkach. Wstałyśmy i aligator raz jeszcze uderzył w drzwi. Z krzykiem popędziłyśmy do jeepa.

Dziesięć minut później parkowałam już za firebirdem Luli przed biurem.

– Najwyraźniej dlatego Obrzyn nie potrzebuje alarmu – powiedziałam, wreszcie odzyskawszy głos.

– Co za człowiek trzyma w domu krokodyla!? Tak się po prostu nie robi. Gdzie on sra? Pomyślałaś o tym? I ma tupet, żeby nazwać to coś takim słodkim imieniem jak Pan Dzwoneczek. To imię to oszustwo. I to wszystko twoja wina, bo nie zabrałaś butelki.

Zadzwonił telefon i po drugiej stronie odezwał się Morelli.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmił. – Dostałem sprawę McCuddle’a. Jestem pewien, że autopsja wykaże przyczyny naturalne, ale musisz mi wypełnić trochę papierów. Jeśli spotkasz się ze mną u Pina za dziesięć minut, postawię ci lunch.

– Stoi.

– O co chodziło? – zainteresowała się natychmiast Lula.

– Lunch z Morellem, przypisali mu McCuddle’a i ma moje papiery.

Pino serwuje włoskie żarcie w stylu Grajdoła. Tłustą pizzę, którą musisz zwinąć, żeby zjeść, kanapki z klopsikami i kanapki z kielbasą, spaghetti z czerwonym sosem, bezwartościowe, mało ciekawe sałatki z sałatą lodową i bladymi pomidorkami, budweisera z kegi i wino stołowe. U Pina jest ciemny, rzeźbiony mahoniowy bar i salka dla rodzin i par, które nie chcą oglądać hokeja w telewizorze wiszącym nad kolekcją butelek.

Morelli czekał na mnie przy stoliku, najwyraźniej nie chciał, żeby powtórki z rozgrywek ESPN go rozpraszały. Przed nim stała cola i koszyk z pieczywem.

Zamówiłam kanapkę z kurczakiem i parmezanem, Joe kanapkę z kielbasą, a kiedy kelnerka odeszła, Morelli podał mi plik papierów.

– Nie musisz się spieszyć – powiedział – ale wiem, że musisz je oddać, żeby dostać swoją kasę za zbiega.

Wrzuciłam papiery do mojej listonoszki.

– To był szok znaleźć go w tym stanie.

– Taa, ale w sumie wyglądał na zadowolonego.

– Lubił być żonaty.

Morelli się uśmiechnął.

– Za bardzo lubił.

– Mam do ciebie pytanie czysto hipotetyczne. Gdyby Bobby Słonecznik był zamieszany w coś z ludźmi gorszymi od niego, to kto to by był?

– Przychodzi mi do głowy parę osób. Możesz być jakoś dokładniejsza?
– Przypuśćmy, że Vinnie też jest w to zamieszany.
– To niczego nie zawęża. Vinnie był zamieszany w mnóstwo nielegalnych spraw. W prostytutkę, hazard, rekreacyjne używanie narkotyków. Na jego obronę dodam, że z tego, co wiem, tylko kupował, nigdy nie sprzedawał.

– Ograniczmy to zatem do hazardu.
– To trudne. To Słonecznik raczej załatwia sam. – Morelli wyjął z koszyka chlebowy paluch. – Domyślam się, że to pytanie tak całkiem hipotetyczne nie jest. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Miałybyś problemy z policją.
Morelli odchylił się na krześle i spojrzał mi w oczy. Bardzo poważnie.
– Mam nadzieję, że mi powiesz, jeśli będziesz w niebezpieczeństwie.
– Wszystko w porządku. Nie licząc spotkania z aligatorem dziś rano, wszystko jest pod kontrolą.

– Byłaś w zoo?
– Na Cotter Street.
– A, pewnie mówisz o aligatorze Obrzyna. Jak jest już duży?
– Ma ze dwa metry.
– Nie widziałem go nigdy, ale słyszałem opowieści.

Posmarowałam chleb masłem.
– Prehistoryczna bestia. Wystraszył mnie na śmierć. Wskoczył zza kanapy i kłapnął szczękami na Lulę. Uciekłyśmy i zleciałyśmy z połowy schodów, i wrzeszczałyśmy, póki nie znalazłyśmy się samochodzie. Teraz jak sobie pomyślę, to to było trochę żenujące.

– Zatrzymałyście Obrzyna?
– Nie, nie było go w domu.
– Ale zostawił drzwi otwarte?
– Coś w tym rodzaju.

Morelli rozejrzał się za kelnerką.
– Może powinienem zamówić drinka.
– Masz potrzebę się napić?
– Taa, ty na mnie tak działasz. Najbardziej boję się, że kiedyś przyjadę, żeby dokonać aresztowania, i to będziesz ty.

– Aresztowałbyś mnie?

Morelli przestał się rozglądać i rozparł wygodniej na krześle.

– Założyłbym ci kajdanki.

– A co potem? – spytałam.

Usta wygięły mu się w lekkim uśmiechu, a oczy pociemniały.

– Chcesz usłyszeć szczegóły?

Ja też się uśmiechnęłam.

– Nie tutaj.

– Drocysz się ze mną – stwierdził Morelli. – Podoba mi się.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Oboje rozważaliśmy następny ruch. Tak łatwo byłoby wrócić do związku z Morellem. Był zabawny, seksowny i łatwy we współżyciu. I lubiałam jego psa. Potrafił być też cholernie trudny we współżyciu. Nienawidził mojej pracy. Upierał się przy sprawowaniu kontroli nad pilotem. Mieliśmy za sobą długą historię zerwań i powrotów. To chyba pasowało do stylu życia każdego z nas. Zarazem jednak kształtowało naprawdę złe nawyki.

– Pamiętasz, dlaczego zerwaliśmy? – spytał.

– Potrzebowałeś przestrzeni.

– Potrzebowałam tosta. Zjadłaś ostatni kawałek chleba i nie kupiłaś nowego.

– Byłam zajęta i zapomniałam.

– Powinnaś pamiętać o takich rzeczach. Jesteś kobietą.

– Powinnam pamiętać o toście?

– Tak.

– A ty? O czym ty powinieneś pamiętać?

– O prezerwatywach.

I to właśnie było w tym wszystkim straszne. Jego koncepcja wydawała mi się w jakiś sposób sensowna.

– Co nowego u ciebie poza sprawą McCurdle’a? – zapytałam. – Jakież interesujące morderstwa?

– Właściwie to McCurdle jest najlepszy. Poza nim to, co zwykle. Egzekucje członków gangu, wypadki samochodowe ze skutkiem śmiertelnym, zgony w wyniku uderzenia tępym narzędziem.

Kelnerka przyniosła nam kanapki i zaczęliśmy jeść.

– A co mi możesz powiedzieć o Obrzynie?

– To personel średniego szczebla w handlu prochami. Kiedyś pracował w haraczach dla Ariego Santiniego. Jak ktoś zalegał z wpłatami, Obrzyn przychodził i skracał mu palec. Tak się dorobił tej ksywki. Jednego dnia skrócił niewłaściwy palec i zmiądzżyli mu rękę kijem bejsbolowym. Ciężko mu było złapać dobrze narzędzia do obcinania, więc przerzucili go do sprzedaży.

Bosko. Lula miała rację.

– Jakies pomysły, jak mogę go złapać?

– Unikałbym jego mieszkania.

Gruba kropla sosu pomidorowego spłynęła z mojej kanapki i wylądowała mi na gorsie.

– Cholera – zaklęłam, patrząc na plamę.

Oczy Morellego pociemniały nieco i przez chwilę miałam wrażenie, że zliże mi ten sos. Ale już w następnej chwili nie byłam pewna, czy dlatego, że to był sos pomidorowy, czy może jednak dlatego, że był na mojej piersi.

– Co do unikania mieszkania to już sama do tego doszłam – stwierdziłam, wycierając koszulkę serwetką. – Co jeszcze?

– Nie wiem. On raczej nie należy do moich przyjaciół. – Morelli wystukał numer na komórce i zapytał o Obrzyna, a kiedy skończył rozmawiać, zapisał mi na serwetce kilka adresów. – Przed południem będzie w śródmieściu – powiedział. – Zmienia miejsca, ale zwykle można go znaleźć na Stark. Jeździ czarnym lexusem. Zazwyczaj handluje w porze lunchu w fast foodach w okolicy Areny. Potem jedzie do domu, żeby zostawić forszę i wziąć towar. Wczesnym wieczorem dyżuruje w galerii Quaker Bridge i tam zazwyczaj kręci się w okolicy restauracji, potem jedzie na parking przed multipleks. Zazwyczaj gdzieś w okręgu Hamilton.

– Ogrania spore terytorium.

– Owszem – zgodził Morelli.

– A aligator pilnuje prochów i pieniędzy.

– Na to wygląda.

– Dwa pytania. Pierwsze: skoro wiecie, gdzie sprzedaje, dlaczego go nie aresztujecie?

– Zrobiliśmy to. I wyszedł za kaucją. Poza tym to nie takie łatwe. Jest przebiegły.

– Dobra, pytanie drugie. Dlaczego nikt nie pójdzie do jego mieszkania, nie zastrzeli aligatora i nie weźmie kasy?

Morelli przestał jeść i spojrzał na mnie.

– Chyba nie zamierzasz tego zrobić?

– Oczywiście, że nie. To było pytanie hipotetyczne. Naprawdę myślisz, że zastrzeliłabym aligatora?

– Nie – przyznał Morelli. – Ale Lula by mogła.

– Lula nie trafiłaby w aligatora, gdyby leżał u jej stóp i już był martwy. Ja strzelam z zamkniętymi oczyma i jestem lepszym strzelcem niż ona.

Komórka Morellego zawibrowała, więc zerknął na wyświetlacz.

– Muszę iść.

– Stało się coś złego?

– Jestem detektywem w wydziale zabójstw. Jeśli mnie wzywają, to nigdy nie oznacza niczego dobrego. – Rzucił na stół dwie dwudziestki. – To powinno wystarczyć. Zadzwoń, jeśli poczujesz się samotna.

– Co to ma być za zaproszenie? – spytałam.

– Miało być przyjacielskie, ale nie nachalne.

Odsunęłam się od stołu i też wstałam.

– Udało ci się.

Osiem

Wstąpiłam do domu, żeby zmienić koszulkę, i w ostatniej chwili zdecydowałam się zabrać butelkę. Znaczący noszenie jej przecież nie mogło zaszkodzić, prawda? Wyszedłam z mieszkania i pojechałam w kierunku Areny. Objechałam okolicę dwa razy, szukając samochodu Obrzyna w okolicach fast foodów, które wypisał mi Morelli. Kręciłam się tam aż do drugiej, ale nie trafiłam na żadnego czarnego lexusa SUV-a. Pojechałam Broad do Cotter i znów wjechałam w alejkę za budynkiem, w którym mieszkał Obrzyn. I zobaczyłam czarnego SUV-a. Obrzyn był w domu z Panem Dzwoneczkiem.

Wróciłam na Broad i już niemal dojechałam do Hamilton, gdy zadzwonił Chet.

– Maruda odjechał spod 7-Eleven i wybrał się na drugą stronę rzeki. Teraz jest w wolno stojącym domu, jakieś pół mili za Lower Bucks Road. Od dziesięciu minut. Wrzucę namiar w twoją nawigację.

– Dzięki. Sprawdzę to.

– Potrzebujesz wsparcia?

– A mam jakiś wybór w tej kwestii?

W słuchawce zaległa cisza.

– Nie – powiedział Chet po długiej chwili.

Kiedyś strasznie irytowało mnie, że Komandos śledzi mój każdy ruch, ale jakoś się przyzwyczaiłam, i przez większość czasu ignoruję ten fakt. Prawda jest taka, że nie jestem najlepszym łowcą nagród i nadopiekuńczość Komandosa uratowała mi życie więcej niż raz.

Zatrzymałam się przed biurem, żeby zabrać ze sobą Lulę, i wpadłam na Waltera „Człowieka Zakreconego” Dunphy’ego, który wychodził z antykwariatu obok. Zakręt jest w moim wieku, ale żyje na zupełnie innej planecie. Jest szczupły, a jasnobrązowe włosy z przedziałkiem pośrodku głowy sięgają mu do ramion. Miał na sobie koszulkę Metalliki vintage, jeansy z dziurami na kolanach i czarno-białe trampki.

– Lalka – powiedział na mój widok. – Kupę czasu cię nie widziałem. Jak żyjesz?

– Nieźle – odpowiedziałam. – A u ciebie co nowego?

– Mam nowy *casa*. To jest *el loco mobile casa*.

Zajął mi chwilę, zanim zrozumiałam, że domem nazywa zardzewiałego kampera przy krawężniku.

– Mieszkasz w kamperze?

– Tak jest. Odłot, nie? No i feng shui jest super. Jak odbieram złe wibracje, to parkuję to cacko w innym kierunku. I mam talerz, więc nie muszę rezygnować z mojego stanowiska w Kosmicznym Przymierzu.

Nie miałam pojęcia, co rozumiał przez Kosmiczne Przymierze, i teraz nie chciałam do tego dochodzić.

– To świetnie – powiedziałam tylko. – Muszę lecieć do roboty.

– Taa, ja też.

– Pracujesz?

– Trzeba karmić mój Autobus Miłości. Nie jeździ na powietrze, lalka.

– I co robisz?

– Wyprowadzam psy. Przyjeżdżam po nie, zabieram do parku, czekam, aż wysrają se mózg, i odwożę.

Dał mi wizytówkę. „PSIE USŁUGI ŻŁOTA AURA. Poznasz szczęśliwego po czynach jego”.

– Nieźle – oceniłam.

– Jestem piekielnie przedsiębiorczy – oznajmił Zakręt. – To dar.

Wsunęłam wizytówkę do kieszeni i weszłam do biura.

– Maruda jest w domu w hrabstwie Bucks – poinformowałam Lulę. – Chcesz się ze mną przejechać?

– Jasne – odpowiedziała. – Nie mam nic lepszego do roboty.

– A co z wkładaniem teczek do kartoteki? – spytała Connie.

– To nie jest nic lepszego – zaprotestowała Lula. – Od układania teczek mam skurcze w głowie. Osobiście uważam, że powinnaś wyrzucić te wszystkie teczki. Jaki jest z nich w ogóle pożytek? Kiedy ostatnio do którejś zajrzałaś?

– Zagłądałabym, gdybym mogła je znaleźć – odparła Connie, po czym obróciła się w moją stronę. – A jak o teczkach mowa, to mam dla ciebie następną. Lenny Pickeral. To powinno być proste zatrzymanie.

– Tylko czekaj, aż usłyszysz – zapowiedziała Lula. – To jest dopiero odłot. Facet kradł papier toaletowy z toalet przy autostradzie. Miał to być protest przeciwko papierowi

marnej jakości, jaki wykładają w tamtych toaletach.

Nie było to jakieś straszne przestępstwo.

– Za to go aresztowali?

– Aresztowali go za to, że zawrócił przez pas trawy pośrodku – wyjaśniła Connie. – Kiedy sprawdzili jego bagażnik, okazało się, że jest pełen papieru toaletowego. A kiedy poszli do niego do domu, okazało się, że też jest pełen papieru toaletowego. Gość kradł papier wzdłuż autostrady niemal od roku.

– A teraz jest NS-em?

– Pewnie dalej kradnie papier w tym czasie, jak my tu rozmawiamy – wysunęła przypuszczenie Lula. – Jak dla mnie, to brzmi jak uzależnienie.

Wcisnęłam teczkę do torby.

– *Adiós*, idę szukać Vinniego.

– Ja też – dołączyła się Lula. – Tak go poszukam, że się nie pozbiera.

Przejechałam rzekę Delaware i znalazłam się w Pensylwanii. Wpatrując się w ekranik nawigacji, ruszyłam Lower Bucks Road, dość ruchliwą dwupasmówką, prowadzącą wzdłuż rzeki. W tej okolicy można było zobaczyć luksusowe domy, skromne domy i las. Nie za wiele budynków firmowych czy użyteczności publicznej.

Dziesięć minut później nawigacja kazała mi zjechać na szosę prowadzącą w las. Wiedziałam, że dom znajduje się niecały kilometr dalej. Jechałam w żółtym tempie, żeby nie wzbijać tumanów pyłu. Wreszcie zobaczyłam dom, piętrowy, z brązowym szalunkiem, typowy wiejski dom. Duży. Jakies sześćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Posiadłość w hrabstwie Bucks. Otoczenie ukształtowane ręką profesjonalisty. Podjazd w kształcie pętli. Wszystko w świetnym stanie. Vinnie zapewne wcale nie chciał być ratowany. Najpewniej miał w środku jacuzzi i łóżko z baldachimem. Z drugiej strony w piątek zamierzali go zabić.

Pojechałam dalej, minęłam dwa domy i droga nagle się skończyła. Zawróciłam i raz jeszcze przejechałam obok brązowego domu. W zatoczce zaparkowany był mercedes Mickeya, a obok dwa inne samochody. SUV i ferrari.

– Ciężko uwierzyć, że mieliby takiego zbrojnego jak Vinnie przetrzymywać w takim eleganckim domu jak ten – stwierdziła Lula. – Może to jest dom Bobby'ego Słonecznika, a to by oznaczało, że siedzimy na podjeździe Bobby'ego, a to może szkodzić zdrowiu.

– Słuszna uwaga.

Wróciłam na drogę, zjechałam na bok i zaparkowałam. Pół godziny później na szosie pojawił się wóz Marudy i skręcił w stronę Trenton. Za nim podążyło ferrari.

Zadzwoiłam do Cheta, przepredykowałam mu tablice ferrari i poprosiłam, żeby znalazł mi właścicieli samochodu i domu. Oddzwonił po pięciu minutach.

– Samochód należy do Bobby’ego Słonecznika – poinformował mnie. – Dom należy do holdingu, a holding do Słonecznika.

– Czy możesz mi sprawdzić, czy ten holding jest właścicielem jakichś innych nieruchomości?

– Jasne. Zaraz zadzwonię.

– Normalnie jakbyś miała własną agencję detektywistyczną – zauważyła Lula. – Komandos prowadzi rejestr takich usług? Musisz zapłacić tak czy inaczej na koniec miesiąca? Mówię ci, ja bym nie miała nic przeciwko temu. On jest tak seksowny, że może przyprawić o zawał. Jakbym miała szanse, tobym go połała sosem i potraktowała jak żeberko.

Myśl o traktowaniu Komandosa jak żeberka sprawiła, że oblałam się zarem, który zamrowił od czubka głowy aż do moich niewymownych.

– Normalnie zrobiłaś się czerwona – oznajmiła Lula. – Nigdy nie widziałam, żebyś zrobiła się taka czerwona.

– To od tego gadania o żeberkach.

– Taa – powiedziała Lula. – Też mi się tak robi od gadania o żeberkach. Musimy zajrzeć do Tonny’ego, jak wrócimy do miasta. Tonny robi zajebiste żeberka.

Siedziałyśmy jeszcze przez kilka minut, czekając na przejazd SUV-a, ale bezskutecznie.

– Zostawię tu wóz i pójde pieszko do tamtego domu – powiedziałam.

– Idę z tobą. Dobrze, że założyłam sportowe buty.

Obrzuciłam Lulę szybkim spojrzeniem. Miała na sobie różowe trampki na koturnie, całe niemal pokryte kryształkami, bardzo krótką jeansową spódniczkę i o wiele za małą różową koszulkę ozdobioną brokatem tak grubo, że cały czas się osypywał. Ja z kolei byłam w jeansach i koszulce z dekoltem w szpic. Żadnego brokatu. Żadnych plam po sosie również.

– Plan jest taki – powiedziałam, wpatrując się w szosę. – Jeśli usłyszymy silnik samochodu, uciekamy z drogi i chowamy się w krzakach.

– Jasne, mogę tak zrobić – zapewniła mnie Lula. – Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musiały, bo wiesz, ja mam problemy z nadmiarem roślinności. Nie lubię tego całego życia

na łonie natury. Pamiętasz, jak byliśmy w Pine Barrens? Nienawidziłam całego tego gówna. Ja jestem dziewczyną z miasta. Lubię beton. Jakby mnie ktoś pytał, to można by zacementować całe to miasto wszerz i wzdłuż.

– Może chcesz zostać w jeepie?

– To mógłby być niezły pomysł. Zostanę i upewnię się, że go nie ukradną.

Po obu stronach twarde ubitej ziemi ciągnął się las. Korony drzew przesiewały promienie słońca, a powietrze pachniało początkiem lata. Ten spacer byłby bardzo przyjemny, gdybym nie była przerażona, że Bobby Słonecznik wróci i mnie przejedzie.

Zesłam z drogi między drzewa, gdy tylko dom znalazł się w zasięgu wzroku. Jeśli chodzi o łono natury, to nie jestem tak beznadziejna jak Lula, ale też żadna ze mnie leśna nimfa. Widziałam, jak Komandos przekrada się przez krzaki, nie powodując najmniejszego szelestu. Ja, chociaż naprawdę starałam się iść cicho, poruszałam się raczej jak młockarnia. Zakradłam się do granicy posiadłości, próbując dostrzec jakiś ruch w domu. SUV nadal stał obok wejścia. Zasłony nie zostały zaciągnięte. Nie byłam w stanie stwierdzić, do kogo należał samochód ani czy Vinnie jest tam w środku. Wróciłam do jeepa i wspierałam się za kierownicę.

– No i? – spytała Lula.

– Nie mam pojęcia. W domu niczego nie było widać. I nikt stamtąd nie wyszedł.

– Masz przy sobie butelkę?

– Tak.

– Huh, można by się spodziewać, że butelka coś dla ciebie zrobi.

Przekręciłam kluczyk i wrzuciłam bieg.

– Nie złapali mnie.

– To prawda – przyznała Lula. – Może butelka działa.

Było po czwartej, gdy wróciliśmy do biura. Connie malowała paznokcie i nie wyglądała na szczęśliwą.

– No? – zapytałam.

– O drugiej zadzwonił Bobby Słonecznik. Powiedział, że zaczyna się niecierpliwić. I dał Vinniego do telefonu, a Vinnie błagał mnie, żebym zdobyła pieniądze, i wtedy ktoś zaczął wrzeszczeć, zakładam, że Vinnie. I połączenie zostało zerwane.

– O drugiej Bobby Słonecznik był w domu w Pensylwanii – powiedziała Lula. – Teraz

już wiemy, gdzie trzymają Vinniego.

– Jego samochód tam był – poprawiłam ją. – Nie widziałyśmy Bobby’ego.

– Ten człowiek nie pozwoliłby nikomu prowadzić swojego ferrari – obstawała przy swoim Lula. – To osobiste ferrari.

To mogła być prawda.

– Mają Vinniego w tym domu w Pensylwanii – Lula zwróciła się do Connie. – Wiemy dokładnie gdzie. Musimy go teraz uratować. Zaraz będę musiała zapłacić rachunek z karty kredytowej. Nie możemy ryzykować.

Rzecz w tym, że kiedy szukałam Vinniego, to wszystko było bardzo szlachetnym pomysłem. A teraz, kiedy go znalazłyśmy, być może, i planowałyśmy odbić w ogniu walki, to już... nie brzmiało tak dobrze. Morelli mógłby dokonać czegoś takiego, ale nie mogłam go prosić, nie angażując przy tym policji. Komandos wyciągnąłby Vinniego w mgnieniu oka, ale Komandos był w Atlancie. A nawet gdyby tu był, to raczej nie byłoby w porządku prosić go, żeby wykonał za mnie brudną robotę.

– Może zamiast odbijać Vinniego, powinniśmy spróbować zebrać te pieniądze – podsunęłam.

– Dobra – zgodziła się Connie. – Jak?

Wszystkie zaczęłyśmy się zastanawiać.

– Mogłybyśmy urządzić sprzedaż wypieków – zaproponowała Lula.

– Ty nie umiesz piec, Stephanie nie umie piec, a ja nie chcę piec – powiedziała Connie.
– A potrzebujemy prawie osiemset kawałków. To mnóstwo pieczenia. Plus odsetki, które rosną każdego dnia.

– Teraz jak o tym pomyślę – stwierdziła Lula – to gdybym miała taką kasę, nie potrzebowałabym tej pracy.

– Agencja należy do Wellington Company. Ostatnio jak sprawdzałam, nie byli zadowoleni z naszych postępów. Nie sądzę, żebyś miała ochotę kołysać naszą małą łódką i prosić ich o pożyczkę.

– Uratujmy go i miejmy to z głowy – powiedziała Lula. – Jakie to w końcu może być trudne? Na podjeździe stał jeden SUV. Na moje Vinnie siedzi przywiązany do krzesła w kuchni i jakiś goryl siedzi w salonie i ogląda telewizję.

– I? – spytałam.

– I wejdziemy, zastrzelimy goryla, uratujemy Vinniego i wrócimy do domu.

– Nie podoba mi się to strzelanie do goryla – zaproponowałam. – I nie jesteśmy na sto procent pewne, że Vinnie jest w tym domu.

– Ja wiem – odezwała się Connie. – Śmierdziel. Wrzucimy im śmierdziela, wszyscy wybiegną i w zamieszaniu uratujemy Vinniego.

– Podoba mi się – pochwaliła ją Lula. – Rany, ale jesteś dobra. Normalnie jakbyś już to robiła.

– W szkole – przyznała Connie. – Byłam królową cuchnących bomb. Raz zbombardowałam dom dyrektora, a on przypisał to Jimmy’emu Rubinowskiemu.

– I co stało się z Jimmym Rubinowskim? – chciała wiedzieć Lula.

– Nic. Był w drużynie futbolowej. Był nietykalny.

– Ten śmierdziel zniszczy dom? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała Connie. – Trzeba kilku dni, żeby smród wywietrzał, ale nic poza tym. No poza oknem, które się wybiło, wrzucając śmierdziela.

– Nie chcę psuć waszych planów, ale nie bardzo chcę to robić bez pewności, że Vinnie jest w tym domu – powiedziałam.

Luli i mnie zdarzało się czasem popełnić drobne wykroczenie, gdy ścigałyśmy zbiegów, ale zazwyczaj miałyśmy dokumenty upoważniające nas do szukania i pojmania. Wszyscy wiedzieliśmy, że Bobby Słonecznik to podła szumowina, ale to nie dawało mi prawa wrzucać mu śmierdziela przez okno.

– To nie jest żaden wymysł – odpowiedziała mi Lula. – Mamy silne poszlaki. Poza tym mówimy o Bobbym Słoneczniku. Najpewniej cały czas go obrzucają śmierdzielami.

– No to może tak – zaproponowała Connie. – Pójdę do siebie i przygotuję śmierdziela. A potem pojedziemy do tego domu, podkradniemy się bliżej i zajrzemy przez okna. A jak Vinnie tam będzie, to wystrzelimy śmierdziela do środka z bazooki.

– No tak chyba może być – zgodziłam się. – O ile w tym domu nie ma rodziny Słonecznika.

– On nie ma rodziny – powiedziała Lula. – W tym domu znajdziemy tylko jego uzbrojonych goryli i może dziwkę albo dwie.

– Słońce zachodzi około ósmej trzydzieści. Spotkamy się w biurze kwadrans po ósmej. I wszystkie ubieramy się na czarno – zarządziła Connie.

– W czarnym mi nie do twarzy – oznajmiła Lula.

Dziewięć

Z biura pojechałam do Quaker Bridge i tam od razu udałam się do części z restauracjami. Miałam fotografię Obrzyna i nauczyłam się całkiem nieźle dostrzegać dealerów. No i miałam ze sobą szczęśliwą butelkę. Może więc szczęście dopisze mi na tyle, że zgarnę Obrzyna. Kupiłam cheeseburgera i waniliowego shake'a i usiadłam przy stoliku, w takim miejscu, żeby obserwować niemal cały teren restauracyjny.

Zgodnie z fotografią i opisem w teczce Obrzyn był Latynosem, średniej budowy ciała, o wzroście metr siedemdziesiąt pięć. Żadnych kolczyków czy tatuaży. Zmiażdżona prawa ręka. Czterdzieści pięć lat. Jedna brew.

Skończyłam burgera i shake'a i siedziałam przez chwilę, próbując wyglądać na kogoś, kto czeka na spotkanie. Wstałam i trochę pospacerowałam. Kupiłam ciastko z czekoladą. Usiadłam przy innym stoliku. Znowu obeszałam teren restauracji. Ani śladu Obrzyna. Kupiłam sobie porcję lodów w wafelku, usiadłam i zjadłam je. Nadal ani śladu Obrzyna. O siódmej miałam już dosyć jedzenia z restauracji w galerii, pojechałam więc do domu i przebrałam się w czarny strój komandosa. Czarne jeansy, czarna koszulka, czarna bluza.

Kiedy zajechałam do biura, Lula i Connie już na mnie czekały. Connie była ubrana tak samo jak ja. Lula wyglądała jak reklama ubrań sadomaso dla kobiet w rozmiarze XXL. Czarne skórzane buty do uda, czarna elastyczna sukienka, która sięgała jakieś pięć centymetrów poniżej tyłka, elastyczna bluzka koszulowa.

– Mam pistolet, paralizator, gaz pieprzowy i latarkę – powiadomiła nas Lula. – I jeszcze drugi pistolet i nóż do chleba.

– Ja mam uzi i śmierdzące bomby – dołączyła Connie.

Popatrzyły na mnie.

Miałam lakier do włosów i pilniczek do paznokci, ale te wypadały blado w porównaniu z pistoletami i śmierdzielami.

– Mam szczęśliwą butelkę – powiedziałam.

– No to to rozumiem – pochwaliła mnie Lula.

Connie złapała torebkę i wyszła z biura, a my za nią.

– Mam samochód mojego brata Tony'ego – poinformowała nas Connie. – To gówniany

explorer i nikt nie zwróci uwagi, jak będzie stał na poboczu.

Lula i Connie siadły z przodu, ja z tyłu razem z pudełkiem pełnym śmierdzieli. Zmodyfikowana bazooka na śmierzące bomby leżała za mną. Gdy przejeżdżałyśmy przez most do Pensylwanii, zapadł już zmierzch, gdy dojechałyśmy do drogi gruntowej, było ciemno jak w dziupli. Ani śladu księżyca. Niebo zaciągnięte było chmurami. Connie zjechała na pobocze i zaparkowała przy Lower Bucks Road tuż przed naszym zjazdem. Wysiadłyśmy i odczekałyśmy, aż Connie załaduje wyrzutnię śmierdzielem.

– To duży dom – zauważyła Lula. – Ile tych bomb będziemy musiały odpalić?

– Jedna pewnie wystarczy – odpowiedziała Connie, przewieszając uzi przez ramię. – Ale możemy uderzyć w piętro i w parter, jeśli chcemy mieć pewność, że obejmiemy cały dom.

– Jak to śmierdzi?

– Ta, którą zrobiłam dzisiaj, śmierdzi jak połączenie kociego moczu i sraczkę – odpowiedziała Connie, wręczając mi skrzyneczkę z resztą bomb. – No i może z odrobiną wymiotów.

Oddaliłyśmy się od samochodu jakieś sześćset metrów i nie miałyśmy pojęcia, gdzie właściwie jesteśmy.

– Nie wiem, czy jestem na środku drogi, czy może pośrodku lasu – stwierdziła Lula. – Nic nie widzę. Nie ma ani odrobiny światła. Tu... ups!

– Nic ci nie jest? – spytałam.

– Nie, w porządku, siedzę na tyłku i znalazłam kraniec drogi, bo siedzę w krzaku. Gdzie, do cholery, jesteście?

– Zatrzymajcie się, póki oczy nam się nie przyzwyczają do ciemności – zakomenderowałam.

– A ile to potrwa? – chciała wiedzieć Lula.

– Kilka minut, tak mi się wydaje – odpowiedziałam.

– Kilka minut to już minęło – stwierdziła Lula. – I nie jestem przyzwyczajona. Coś mi się wydaje, że to przyzwyczajanie to kupa łajna.

– Daj sobie jeszcze minutę – zachęciłam ją.

Odczekałyśmy minutę, ale nadal nic nie widziałyśmy.

– Ja ci pokażę dostosowanie – oznajmiła Lula i zapaliła latarkę.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o skradanie się niepostrzeżenie.

Szłyśmy za Lulą i jej latarką, aż dotarłyśmy do trawy za domem. Kiedy już nie otaczały nas drzewa, byłyśmy w stanie przynajmniej dostrzec zarys kształtów w ciemności. W kilku oknach posiadłości paliło się światło. Na dole migotał telewizor. Ktoś przechodził z jednego pomieszczenia do drugiego. A przy wejściu nadal stał SUV.

– Musimy podejść bliżej – stwierdziła Connie. – Ktoś musi przebiec przez trawnik i zajrzeć do środka przez okno.

– Ktoś? – spytałam.

– Ta – odpowiedziała Connie. – Ty.

– Dlaczego ja?

– Bo to twoja robota. Ja jestem osobą pracującą w biurze, a ty jesteś osobą, która się skrada i ściga bandytów.

– A Lula? Dlaczego Lula nie może być skradającą się osobą?

– Właśnie – włączyła się Lula. – Co ze mną? Mogłabym się skradać do obesrania!

– No to powiedzmy sobie otwarcie – zwróciła się Connie do Luli. – Ty jesteś tą osobą, którą zostawia się na pastwę losu.

– No jeśli tak stawiasz sprawę, to widzę teraz, że Stephanie ma umiejętności niezbędne do wykonania tego zadania – powiedziała Lula.

Wywróciłam oczami, czego i tak nikt nie widział, bo było cholernie ciemno. Odłożyłam skrzyneczkę śmierdźli na ziemię, na niej położyłam torebkę i podbiegłam przez trawnik do domu. Przedarłam się przez wielgachne krzaki azalii, stanęłam na palcach i zajrzałam w okno. Jakiś facet po pięćdziesiątce siedział na kanapie i oglądał telewizję. Nogi w samych skarpetach położył na stoliku, obok wielkiej paczki chipsów i piwa. Drugi facet siedział rozwalony w fotelu.

Wylazłam z azalii i zaczęłam powoli obchodzić dom, zaglądając w okna i słuchając rozmów. Dotarłam do kuchni i na kredensie zobaczyłam tacę z brudnymi naczyniami i wywróconą puszką po coli. Przy zlewie też stało trochę brudnych naczyń, trochę sztućców i dwie szklanki. Mogło to oznaczać, że dwie osoby zjadły w kuchni, a trzeciej zanieśono posiłek na tacy. Nie był to rozstrzygający dowód, że przetrzymywali tu Vinniego, ale z pewnością wskazówka warta rozważenia.

Wróciłam do dziewczyn i powiedziałam im, co odkryłam.

– Proponuję, żebyśmy ich zbombardowały, i zobaczymy, co z tego wyniknie – zaproponowała Lula.

– A jak wyjdą tylko ci, co oglądali telewizję? – zapytałam. – Ktoś wejdzie do środka i upewni się, że Vinniego tam nie ma?

– To będziesz ty – odpowiedziała mi Lula – bo jesteś przecież świetna w znajdowaniu ludzi.

– Nie. – Pokręciłam stanowczo głową. – Nie, nie, nie, nie. Ja już swoje zrobiłam. Teraz kolej kogoś innego. Nie zamierzam wejść do domu, który śmierdzi kocimi szczynami i rozwolnieniem.

Stałyśmy na skraju lasu, wyklócając się, gdy nagle na drodze gruntowej błysnęły światła. Jakiś samochód zmierzał w stronę domu od Lower Bucks Road z taką prędkością, że niemal znalazł się przy nas, zanim zorientowałyśmy się, co się dzieje. Padłyśmy płasko na brzuchy, ukryte w cieniu. Samochód z rykiem wpadł na podjazd, zatrzymał się przed domem i BANG! odpalił coś, co wybiło okno na parterze. Kolejne BANG i okno na piętrze rozsypało się z brzękiem. Samochód syknął zwirom spod kół i pomknął z powrotem ku drodze. Był to ciemny SUV, w mroku nie dostrzegłam marki ani tym bardziej tablic. Podniosłyśmy się i stałyśmy przez chwilę oszołomione.

– Co to miało być, do cholery? – chciała wiedzieć Lula.

Kilka sekund później uzyskałyśmy odpowiedź, bo dom stanął w płomieniach, a z wybitych okien popłynęły kłęby czarnego dymu.

– Bomby zapalające – stwierdziła Connie.

Rzuciłyśmy się w kierunku domu, żeby się upewnić, że wszyscy stamtąd wyszli, i dobiegłyśmy akurat w chwili, gdy trzech facetów nadbiegło z różnych stron. Wskoczyli do SUV-a przed domem i odjechali. Wszystko stało się tak szybko, że nie umiałyśmy nawet powiedzieć, czy jednym z nich był Vinnie. Ze środka domu rozległa się eksplozja, wywaliło okna, z jednego z nich wystrzeliły płomienie i łapczywie polizały ścianę budynku.

– Musimy się stąd wynosić – oznajmiła Connie. – Musimy dotrzeć do samochodu, zanim pojawi się policja albo straż pożarna. Policja od razu się zainteresuje wozem na poboczu.

Złapałam torebkę, pudełko ze śmierdzielami i ruszyłam drogą za Lula, która prowadziła z zapaloną latarką.

– O rany, Bobby Słonecznik jest wyjątkowo niepopularną osobą – zauważyła Lula. – Trzeba się ustawiać w kolejce, żeby mu dom zbombardować.

Szłyśmy bardzo szybko. Oblewałam się potem, skrzyneczka ze śmierdzielami ciążyła mi

w dłoniach i słyszałam ciężki oddech Luli. Niemal dotarliśmy do Lower Bucks Road, gdy usłyszałyśmy syreny.

– Szlag! – zaklęła Connie. – Jakim cudem dotarli tu tak szybko?

Poprawiłam torbę na ramieniu.

– Na pewno dom miał alarm, a sygnał o pożarze idzie od razu do policji i do straży.

Pierwszy pojawił się radiowóz. Wjechał na drogę gruntową i natychmiast wskoczyłyśmy między drzewa. Drugi samochód był zaraz za nim, ale zwolnił i zatrzymał się za autem Connie.

– Mam przesrane – stwierdziła Connie.

Gliniarze siedzieli w radiowozie przez całą chyba wieczność. Wreszcie otworzyły się drzwi po stronie kierowcy, jeden z nich wysiadł i podszedł do samochodu. Widziałyśmy promień latarki omiatający explorera. Wszystkie trzy znieruchomiałyśmy i wstrzymałyśmy oddech. Minął nas wóz straży pożarnej. Za nim pojechała karetka. Gliniarz wrócił do radiowozu, a ten skręcił ku płonącemu domowi.

Connie zadzwoniła na policję i zgłosiła kradzież samochodu.

– Zaparkowałam przy Quaker Bridge i właśnie wyszłam z Macy's, a wozu nie ma – relacjonowała kłamliwie.

Podawała wszystkie niezbędne informacje i powiedziała, że ktoś po nią przyjedzie, bo musi wracać do domu.

– To było błyskotliwe – pochwaliła ją Lula. – Nie byłoby dobrze, gdyby Bobby Słonecznik dowiedział się, że tu zaparkowałyśmy. Pomyślałby, że to myśmy go zbombardowały. I policja też by tak pomyślała.

– Niestety, nie możemy wrócić do domu tym wozem – powiedziała Connie. – Trzeba go będzie zostawić.

– Twój brat się wścieknie – powiedziała Lula.

Connie wzruszyła ramionami.

– Zrozumie.

Rodzina Connie dawała sobie radę ze zbrodnią bez mrugnięcia okiem. To była działalność, którą często podejmowali.

– No to jak wrócimy do domu? – chciała wiedzieć Lula. – Robi się późno i jest kilka programów w telewizji, które chcę obejrzeć.

– Mój brat Tony by po nas przyjechał, ale jego wóz stoi tu na poboczu – mruknęła

Connie.

– Ja nie mam nikogo – stwierdziła Lula. – W moim życiu chwilowo nie ma nikogo specjalnego.

Wcisnęłam rękę do kieszeni i trafiłam na wizytówkę Zakręta.

Kamper zatrzymał się przed Connie ze zgrzytliwym piskiem i Zakręt wychylił się z okna.

– Nie obawiajcie się, Zakręt przybył – powiedział.

– Co to, do diabła, jest? – Lula obrzuciła spojrzeniem pełnym wątpliwości ręcznie malowane pacyfki, wiry i gwiazdy.

– To dom na kółkach – odpowiedział Zakręt. – To jest pojazd rekreacyjny najwyższej klasy.

Connie powęszyła w powietrzu płynącym z okna kampera.

– Pachnie jak pies.

– Ta – odparł Zakręt. – I nie bez powodu.

Wlazłyśmy do środka. Ściany pokryte były materiałem w lamparcie cętki przypominającym aksamit. Kanapy i krzesła zostały wybite puszystą fałszywą zebrawą. Błaty stołu i kuchennego kredensu były z czerwonej formiki. Nawet w ciemnościach nocy ten widok przyprawiał o migrenę.

– Tu jest całkiem miło – stwierdziła Lula. – Zaskakująco pluszowo. Znaczy ja jestem osobą, która uwielbia zwierzęce wzory, więc doceniam wystrój.

– Sam to wszystko urządziłem – pochwalił się Zakręt. – Miało być królestwo zwierząt w stylu retro.

Zakręt ze zgrzytem wrzucił bieg, zawrócił kampera na gruntowej drodze i ruszył w stronę Trenton.

– Byłyście na ognisku? – spytał. – Musiało być epickie. Widziałem łunę z mostu.

– Nie byłyśmy na ognisku. Tylko jeździliśmy po okolicy i samochód nam się zepsuł – poinformowałam go.

– Mogę zawrócić mój autobus i zabrać was tam, jeśli chcecie – zaoferował Zakręt.

– Niekoniecznie – zapewniłam pospiesznie. – Jak widziałeś jedno ognisko, widziałeś wszystkie.

– Prawda – zgodził się Zakręt. – Osobiście jestem raczej człowiekiem wiatru. Wiatr rządzi.

Zakręt odstawił Connie pod dom brata, żeby mogła zabrać swój samochód, a mnie i Lulę do biura. Lula wsiadła do firebirda i odjechała, a ja wróciłam do jeepa, przy którym czekał na mnie Morelli. Opierał się o maskę, założywszy ramiona na piersi.

– No? – powiedziałam. – Co jest?

– Pytałaś o Bobby’ego Słonecznika, pomyślałem więc, że ci powiem o pożarze, który spalił jedną z jego nieruchomości do fundamentów.

– Którą?

– Dom w Pensylwanii.

– Był ktoś w tym domu?

– Za wcześnie, żeby powiedzieć. W każdym razie nikogo nie uratowano. – Morelli objął mnie i wtulił twarz w moje włosy. – Pachniesz dymem – stwierdził.

– To pewnie przez kamper Zakręta. Zabrał nas na przejażdżkę.

– Nieładnie jest kłamać – powiedział Morelli.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Naprawdę, szczerze chcesz usłyszeć prawdę? – spytałam.

Morelli myślał o tym przez chwilę.

– Nie.

Stałam na palcach i pocałowałam go w nos.

– Jest późno, muszę wracać do domu. Jutro czeka mnie mnóstwo łowienia nagród.

Nadal trzymał mnie w ramionach.

– Mógłbym iść do domu z tobą.

– Poszedłbyś do domu z kimś, kto może być kłamczuchem?

– Taa – powiedział Morelli. – Zaczynam być zdesperowany.

– To ty się chciałaś rozstać. Powiedziałaś, że nie nadaję się do związków.

– Nie powiedziałem.

– Powiedziałaś!

– Mogę to cofnąć? Nie wypilem wtedy jeszcze swojej kawy. I naprawdę potrzebowałem...

Spojrzałam na niego spod groźnie przymrużonych powiek.

– Czego potrzebowałaś?

– Tosta – odpowiedział Morelli. Westchnął. – To się dzisiaj nie stanie, co?

– Nie.

Znowu zaczynałam być wściekła. Nikt nie potrafił mnie tak wyprowadzić z równowagi jak Morelli. Znaczący dla mnie to ja miałam pamiętać o zakupie pieczywa? Dobra, tak szczerze mówiąc, uważałam, że to beznadziejnie głupi powód zerwania. I tak szczerze mówiąc, powinnam pamiętać o zakupie chleba. To nie zmieniało faktu, że byłam wściekła. Wściekłość nie jest rozsądnym uczuciem. A prawda była taka, że nie do końca potrafiłam powiedzieć, czy złościłam się na Morellego, czy na siebie.

Dziesięć

jawiałam się w biurze o dziewiątej. Connie już siedziała przy biurku. Lula jeszcze nie dotarła.

Z

– Słyszałaś coś o pożarze? – spytałam.

– Jak na razie nie znaleźli żadnych ciał. Na ulicy mówi się, że trwa wojna między Bobbym Słonecznikiem i jakimś bliżej nieznanym gościem z mafii.

– Twój brat odzyskał samochód?

– Dzisiaj odbiera go z policyjnego parkingu. Policja podejrzewa, że ukradł go ktoś związany z podpaleniem.

– Tylko irrelewantnie.

– Poważne słowo – zauważyła Connie.

– Słyszałam je w telewizji. Jestem pewna, że użyłam go prawidłowo.

Zadzwoił telefon.

– Tak – powiedziała Connie do słuchawki. – Rozumiem. – Rozłączyła się i spojrzała na mnie. – Przypomnieli mi właśnie, że zostały nam dwa dni na uzbieranie pieniędzy i teraz to już milion.

– Przynajmniej wiemy, że Vinnie nie spłonął w tamtym domu.

– Na to wygląda. To chyba dobrze, chociaż zaczynam powoli dochodzić do wniosku, że łatwiej byłoby znaleźć nową pracę.

Do biura wpadła Lula.

– Co przegapiłam? Przegapiłam coś? Zasnęłam. A potem nie mogłam się zdecydować, co na siebie włożyć. I mój ekspres do kawy się zepsuł, więc musiałam wstąpić po drodze do Starbucks, a kolejka była aż za drzwi.

– Dowiedziałyśmy się, że Vinnie nie spłonął w tamtym domu – poinformowałam ją.

– Hunh – powiedziała Lula. – No ale, jeśli wziąć pod uwagę jasne strony sytuacji, skoro Vinnie wciąż żyje, to może jeszcze będziemy miały okazję użyć śmierdzącej bomby.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – podsumowała Connie.

– Masz worki pod oczyma. – Lula popatrzyła na mnie krytycznie. – Spędziłaś noc z Morellim?

– Nie. Jesteśmy w fazie zerwania – poinformowałam ją. – To była zwyczajna bezsenna

noc.

Miałam worki pod oczyma, ponieważ całą noc się przewracałam, bo byłam wytrącona z równowagi z powodu chleba. A potem byłam wytrącona z równowagi z powodu dwóch mężczyzn w moim życiu i tego, że nie miałam pojęcia, co z nimi zrobić. Kochałam ich obu, choć każdego inaczej, a byłam zbyt wielką tradycjonalistką i za bardzo katoliczką, żeby po prostu się nimi cieszyć. Czy to nie jest popaprane? Nie byłam nawet praktykująca, a miałam poczucie winy. I ten cały zestaw zasad dotyczący związków. No i jeszcze moja matka, którą jak podejrzewałam, śmiertelnie przerażała możliwość, że skończę u boku Komandosa. I moja babcia, która najpewniej uważała, że jestem idiotką, bo nie sypiam z oboma. I mój ojciec, którego zdaniem nie było na świecie mężczyzny mnie godnego. I tak zdrzemnąłam się w nocy może na godzinę. A o siódmej zadzwonił Chet, bo dla załogi KomandoMan był już późny ranek.

– Rano zadzwonił Chet i podał mi listę nieruchomości, których właścicielem jest Słonecznik poprzez swoje firmy holdingowe – powiedziałam dziewczynom. – Zamierzam objechać wszystkie lokalne adresy.

– Piszę się na to – zgłosiła się Lula. – Jest ładnie i słonecznie. Idealny dzień na przejażdżkę. Może powinniśmy zdjąć dach w jeepie.

Większość nieruchomości znajdujących się w posiadaniu holdingów miała charakter komercyjny i prowadzono w nich najróżniejsze firmy. Supermarket, pralnia chemiczna, sklep zoologiczny, fryzjer, sklep z żywnością organiczną. Na liście znalazło się też trochę pustych działek.

– To ciekawe – zaczęła Lula – ten cały Słonecznik jest naprawdę złym gościem, ciągnie forszę z prostytucji, hazardu i prochów, a przy tym ma swoją drugą stronę pełną tych absolutnie legalnych i nudnych biznesów. Nie sądzisz, że to ciekawe? Znaczący rozumiesz, ten człowiek ma sklep z organiczną żywnością.

– On nie jest właścicielem sklepu, tylko pomieszczenia, w którym ten sklep działa.

– Na jedno wychodzi. I ma sklep ze zwierzętami i innym gównem. Wyobrażasz sobie Bobby’ego Słonecznika, jak sprzedaje szczeniaczki?

– On nie sprzedaje tych szczeniactw osobiście.

– Ale gdyby sprzedawał. To dopiero byłoby dziwne, nie?

Objechałam wszystkie nieruchomości z listy Cheta i zaparkowałam na Liberty Street.

Żadna z tych nieruchomości nie nadawała się do przetrzymywania Vinniego.

– Nie mam pojęcia, co dalej – powiedziałam do Luli. – Mam dwa dni, żeby znaleźć Vinniego, i nie mam pomysłu jak.

– Ja mam pomysły – stwierdziła Lula. – Na temat lunchu. Myślę: nachos.

– Dobry pomysł – zgodziłam się. – Znam odpowiednie miejsce.

Ruszyłam Liberty do Broad, potem z Broad skręciłam na Marble Street i w końcu zaparkowałam przed 7-Eleven. Po drugiej stronie parkingu stało auto Marudy, prowadzącego jak co dzień swoje interesy.

Dałam Luli dwudziestkę.

– Kup mi nachosy i coś do picia. Idę porozmawiać z Mickeyem.

– Jesteś pewna, że nie chcesz mnie wziąć jako wsparcia?

– Nie, dam sobie radę sama.

Poczekaliśmy, aż gość w wymiętym garniturze oddali się od samochodu Marudy. I kiedy tamten wsiadł do swojego wozu, podeszłam do mercedesa.

– Hej, dawno się nie widzieliśmy – powiedziałam.

– Jak dla mnie nie dość dawno – odparł. – Odejdź ode mnie. Jesteś jak trucizna.

– Jak to?

– Nie wiem. Przez skojarzenie.

– Mów – zażądałam.

Odpalił silnik.

– Odjeżdżam.

– Możesz pogadać ze mną tutaj albo pogadać ze mną w domu – stwierdziłam. – Wiem, gdzie mieszkasz.

Ta groźba poskutkowała w przypadku Erniego Wilkesa, doszłam do wniosku, że nie zaszkodzi wypróbować jej raz jeszcze.

– Nie zrobiłabyś tego! – powiedział Maruda.

– Owszem. Zrobiłabym.

– To nie w porządku. Dom mężczyzny jest jego twierdzą.

– Gdzie jest Vinnie?

– Nie wiem. Przysięgam. Chyba był w domu Słonecznika w Pensylwanii, ale kiedy dom zbombardowali, to chyba Vinniego przenieśli. Mówię serio. Odejdź. Niech Słonecznik zrobi z Vinniem, co musi. On się zadaje z obłąkanymi ludźmi. Nawet nie wiem, kto to taki,

a i tak jestem obesrany ze strachu.

– Muszę znać nazwisko.

– Nie znam. Nie jestem nikim ważnym w organizacji. Słyszałem, jak różni tacy powtarzali „Blutto”, ale nawet nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, czy to imię, nazwisko, czy może ksywa.

– Dzięki.

– Nie zamierzasz mnie odwiedzać, prawda?

– Nie.

– To nic osobistego, ale przyznam, że mi ulżyło.

Zostawiłam Marudę i jego interesy i wróciłam do jeepa. Lula wsiadła dwie minuty później z dwoma pudełkami nachosów i dwoma napojami w rozmiarze gigant.

– A co z twoją pojedynczą dietą? – spytałam. – Czy to nie jest tak, że możesz zjeść tylko jednego chipsa?

– W tej diecie nie jest wyszczególnione, czy mogę zjeść jednego chipsa, czy jedno pudełko. Zresztą i tak zamierzam zarzucić tą dietę. W ogóle nie działa, muszę rozejrzeć się za jakąś nową.

Skończyłam nachosy i nie mogłam się zdecydować, czy szukać Vinniego, czy ruszyć za Obrzynem. Jeśli złapię Obrzyna, to może będę mogła naprawić wóz. Uwielbiałam jeepa, ale nie należał do mnie. Koniec końców będę musiała go zwrócić Komandosowi. Szczególnie jeśli zejdziemy się z Morellim. Korzystanie z samochodu jednego faceta i sypianie w łóżku drugiego nie zdawało egzaminu. A przynajmniej nie wtedy, gdy tymi mężczyznami byli Komandos i Morelli. Oczywiście gdybym sypiała z Komandosem, mogłabym zatrzymać jeepa na stałe.

– O czym ty, do cholery, myślisz? – zapytała nagle Lula. – Mamrocześz, wywracasz oczami i wzdychasz.

– Myślałam, że muszę odnaleźć Vinniego i że zostały już tylko dwa dni.

– Myślisz, że Słonecznik naprawdę zabije Vinniego?

– Tak – powiedziałam poważnie. – Myślę, że go zabije.

– Ja też – stwierdziła Lula. – Słonecznik to zły człowiek.

Dokończyłam napój, zebrałam śmieci, pobiegłam wyrzucić je do śmietnika przy drzwiach sklepu. Wróciłam i odpaliłam jeepa.

– Dokąd jedziemy? – chciała wiedzieć Lula. – Objechałyśmy już wszystkie punkty na

liście.

– Mam przecucie. Musieli wyciągnąć Vinniego z płonącego budynku i gdzieś go umieścić. W miejscu, które było dostępne z marszu. Jak na przykład kamienica.

– Szczurzy dom.

– Właśnie.

Piętnaście minut później już parkowałyśmy przed wiadomym domem na Stark. O tej porze okolica była właściwie wyludniona, ale przed wejściem do budynku na składanym krzeselku siedział rozparty chudy facecik, który, jak przypuszczałam, miał gdzieś ukrytą wielką spluwę.

– Normalnie jakbym patrzyła na reklamę, że Vinnie tu jest – stwierdziła Lula.

– Może.

Pojechałam za róg i skręciłam w alejkę. Zatrzymałam się za kamienicą Słonecznika. Na tyłach był mały parking z wyznaczonymi sześcioma miejscami, resztę zajmował śmietnik. Na jednym z miejsc stał czarny SUV. Na parterze budynku znajdowały się tylne drzwi i zakratowane okno. Okna na pierwszym, drugim i trzecim piętrze nie miały krat. Zardzewiałe schody pożarowe wisiały niepewnie, trzymając się ściany.

– Sprawdź tamte drzwi – poleciłam Luli.

Wyskoczyła z jeepa, przeszła przez parking i złapała za klamkę. Zamknięte. Lula wróciła do samochodu.

– Co teraz? – spytała. – Wydaje mi się, że jest w środku, ale śmierdziel tu chyba nie zadziała. To miejsce już cuchnie jak śmierdząca bomba. No i mają konduktora przy drzwiach.

– Jedna z nas musi się rozejrzeć.

– Ty?

– Nie – zaprzeczyłam. – Ty.

– Dlaczego ja? Ja jestem tylko asystentką łowcy nagród i nie jestem nawet pewna, czy chcę ratować Vinniego.

– Możesz minąć tego faceta przy drzwiach. Powiedz mu, że masz coś dla tego paskudnego grubasa z drugiego piętra.

– I mam potem obejść wszystkie drzwi i sprzedawać udawane ciasteczka?

– Nie. Jak wejdiesz, rozejrzyj się tylko i posłuchaj, może ktoś tam będzie gadał.

Wysadziłam Lulę na rogu i patrzyłam, jak kołysząc biodrami, mija dom pogrzebowy i

podchodzi do faceta na krzeselku przed kamienicą. Przez chwilę z nim porozmawiała i weszła do środka. Po dziesięciu minutach zerknęłam w lusterko i zobaczyłam SUV-a z KomandoMan zaparkowanego przed barem jakieś pół przecznicy wcześniej. Tchórzliwa część mnie ucieszyła się na ten widok, ale reszta po raz kolejny doszła do wniosku, że prowadzę dziwne życie. Miałam chłopaka gliniarza, który nienawidził mojej pracy i namawiał mnie nieustannie, bym z niej zrezygnowała. Miałam też potencjalnego kochanka, eksperta od ochrony, który wprawdzie nie namawiał mnie do porzucenia pracy, ale nieustannie mnie nadzorował. Nie potrafiłam powiedzieć, co gorsze.

Lula pojawiła się w otwartych drzwiach kamienicy i strażnik złapał ją za ramię. Byłam gotowa ruszyć, gdyby tylko zanosilo się na to, że Lula jest w niebezpieczeństwie. Nie żebym nadawała się na ratownika z opresji, ale dwóch uzbrojonych po zęby, nadmiernie umięśnionych gości przyklejonych do mojego zderzaka mogło narobić sporych szkód.

Lula uwolniła się z uścisku strażnika i tym samym kołyszącym krokiem wróciła do jeepa. Wsiadła, a ja pomachałam chłopakom z KomandoMan i odjechałam.

– No i? – spytałam.

– Jest tam. W mieszkaniu wychodzącym na tylną ścianę, na trzecim piętrze. Słyszałam jego głos. Chyba grali tam w karty.

– Jakież problemy, widział cię ktoś?

– Tylko ten kretyn przy drzwiach, ale on kupił gadkę o dziwce.

Za późno było, żeby gonić za Obrzynem, a nie miałam nastroju, żeby ruszyć za rabusiem toaletowym, wróciłam więc do biura. I tak musiały pogadać z Connie. Znalezienie Vinniego to jedno, ale uratowanie go to już zupełnie co innego. I chociaż naprawdę chciałam zobaczyć, jak Connie wystrzeliwuje śmierdziela, to miałam poważne obawy, czy to jest narzędzie, które pomoże nam w uwolnieniu mojego kuzyna. Śmierdząca bomba, tak jak zapalająca bomba, wygoni wszystkich z budynku, ale niekoniecznie zagwarantuje okazję do zgarnięcia Vinniego.

Byłam już w połowie drogi, gdy zadzwoniła babcia Mazurowa.

– Chyba złamałam stopę – oznajmiła. – Tańczyłam razem z tym video do ćwiczeń i przypadkowo uderzyłam palcem od nogi w stolik do kawy, i chyba coś sobie złamałam. Początkowo myślałam, że nic się nie stało, ale teraz palec zrobił się fioletowy i spuchł.

– Gdzie mama?

– U kosmetyczki. A twój tato gra w garybaldkę w swoim klubie. A ja nie chcę wzywać

karetki, bo zaraz zrobi się przedstawienie i plotki, że wyzionęłam ducha. Po prostu podrzuć
mnie na ostry dyżur.

Jedenaście

tałyśmy z Lulą w salonie i patrzyłyśmy na stopę babci.

S – Złamana jak nic – zawyrokowała Lula. – Ale ty masz cholernie paskudną stopę, z tym że lakier do paznokci mi się podoba. Jak się nazywa?

– Gorące Czerwone Upojenie. Mam szczęście, że wczoraj pomalowałam paznokcie u nóg. Wyobraź sobie, co by było, gdybym złamała stopę i miała niezrobione palce.

– No prawda. Ja bym była nieszczęśliwa. Boli?

– Bolało, ale pociągnęłam kilka łyków jacka daniel'sa i jestem teraz całkiem zadowolona.

– Musimy jakoś wsadzić ją do samochodu – powiedziałam do Luli.

– Jasne – odparła Lula. – Chcesz ją nieść czy może ciągnąć?

– Możesz podskoczyć? – spytałam babci.

– Mogłam przed jackiem daniel'sem, ale teraz już nie jestem taka pewna.

Lula złapała babcię z jednej strony, ja z drugiej, podniosłyśmy ją i zatargałyśmy na zewnątrz do jeepa. Tym razem bałam się ją wyhejupsać, więc wciągnęłam na miejsce pasażera.

– Szkoda, że musimy jechać do szpitala – oznajmiła babcia. – Jestem w nastroju na zabawę. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pooglądać nagich mężczyzn.

– Ile tego jacka wypijaś? – zainteresowała się Lula.

– Nie potrzebuję jacka, żeby mieć ochotę na oglądanie nagich mężczyzn – odpowiedziała babcia. – Jak będziesz w moim wieku, to się przekonasz, że nie ma ku temu zbyt wiele okazji. Kiedyś zaborowałam sobie film pornograficzny w telewizji i tam były same dziewczyny. A mężczyźni pokazywali tylko od tyłu. Co z tego za pożytek?

– No właśnie – zgodziła się Lula.

Szpital Świętego Franciszka znajduje się jakieś trzy minuty od domu moich rodziców. Zajechałam na podjazd izby przyjęć, przeładowałam babcię z jeepa do wózka inwalidzkiego, zostawiłam pod opieką Luli, a sama pojechałam na szpitalny parking.

Gdy weszłam na izbę, babcię wywieziono na badania, a Lula siedziała zaczytana w kolorowych pismach.

– To jest wspiana izba przyjęć – oświadczyła. – Mają naprawdę dobry wybór magazynów. I ludzie mówili, że tutejszy personel zna się na swojej robocie, jeśli chodzi o ofiary postrzału i pchnięte nożem, bo mają naprawdę dużo praktyki.

Godzinę później babcię przytoczono do nas z powrotem z wielkim czarnym buciorem na nodze.

– Jest złamana jak nic – powiadomiła nas. – Zobaczyłam na rentgenie.

– A co masz na stopie? – chciała wiedzieć Lula.

– Kość pękła tylko trochę, więc założyli mi ten but zamiast gipsu. Mogę w nim chodzić i w ogóle.

Babcia wysiadła z wózka i wypróbowała buta.

Krok, łup, krok, łup, krok, łup.

Bucior sięgał do połowy łydki, był wyłożony gąbką i został zamocowany na nodze grubymi przylepcami. Podeszwę stanowiło pięć centymetrów twardego plastiku i gdy babcia chodziła, przechylała się na jedną stronę, bo jedna noga była teraz pięć centymetrów dłuższa od drugiej.

– W tym bucie czuję się kulawa – stwierdziła. – I pośladki mam nierówne. Jeden jest wyżej niż drugi. Nie mogę ich ścisnąć, żeby powstrzymać wiatry.

– Otworzymy wszystkie okna w drodze do domu – odpowiedziała na to Lula.

Babcia patrzyła na swoje bucisko.

– Ale poza tym jest całkiem fajny. Nie mogę się doczekać, żeby pokazać go twojej matce. Założę się, że mogłybyśmy dzięki niemu dostać tę plakietkę dla inwalidów. A ja dostałam jeszcze tabletki, mam je zażyć, gdy Jack Daniel's przestanie działać.

Przyprowadziłam jeepa pod wejście do szpitala, zapakowałam babcię i zawiozłam do domu. Zadzwoiłam po drodze do matki i już na nas czekała przy krawężniku.

– Proszę bardzo – powiedziałam, opuszczając babcię w jej ramiona. – Niemal jak nowa.

– Święty Piotrze... – powiedziała moja matka.

– Robiłam wypad i złamałam nogę – wyjaśniła babcia. – Ale jest złamana tylko trochę.

– Muszę jechać – powiadomiłam matkę. – Muszę wracać do biura.

– Możesz chodzić? – spytała matka babcię.

– Pewnie, że mogę – obruszyła się babcia Mazurowa. – Zobacz tylko.

Krok, łup, krok, łup, krok, łup.

– Ups – powiedziała babcia i padła twarzą w trawę.

Wyskoczyliśmy z Lula z jeepa i rzuciliśmy się na pomoc.

– Do kitu ten but – stwierdziła babcia. – Przez niego się wywracam.

Kiedy weszliśmy do biura, Connie siedziała przy biurku.

– Byłybyśmy wcześniej, ale miałyśmy misję miłosierdzia – poinformowała ją Lula. – Babcia Mazurowa złamała stopę, jak tańczyła ze swoją trenerką video, i musiałyśmy ją naprawić.

– Wszystko w porządku? – zatroskała się Connie.

Zajęłam swoje zwykłe miejsce po drugiej stronie biurka.

– Ta. Założyli jej taki but ortopedyczny i wysłali do domu.

– I mamy jeszcze więcej wiadomości – powiedziała Lula. – Mamy dobrą wiadomość i złą wiadomość i to jest ta sama wiadomość. Znalazliśmy Vinniego.

Brwi Connie uniosły się o kilka centymetrów.

– Poważnie?

– Trzymają go w mieszkaniu w budynku Słonecznika na Stark – relacjonowałam. – Lula słyszała go przez drzwi. W środku jest z nim jakiś facet i jeszcze jeden przy wejściu do budynku, na dole. W oknach od tyłu nie ma krat i są stare zardzewiałe schody pożarowe, ale zginęłabyś na nich, próbując uciec tamtędy z Vinniem.

– Potrzebujemy dywersji – stwierdziła Lula. – Musimy wyciągnąć strażnika Vinniego z tego mieszkania, a potem ktoś wejdzie i wywlecze bezwartościową dupę Vinniego.

– Dywersja to dobry pomysł – stwierdziłam. – Ale jak sprowadzimy Vinniego po schodach i obok strażnika na dole?

– Możemy go przebrać – powiedziała Lula. – Założyć mu perukę i sukienkę albo coś.

Spojrzałam na Connie.

– Myślisz, że to przejdzie?

– Może, gdybyśmy odwróciły uwagę faceta przy drzwiach frontowych – odparła.

– Ja mogę odwrócić uwagę faceta z przodu – zaoferowała Lula. – On mnie lubi.

– Ja będę drugim odwracaczem uwagi – oświadczyła Connie. – Zostaje Stephanie do wyciągania Vinniego.

– A jak chcesz odwrócić jego uwagę na tyle, żebym zdążyła sprowadzić Vinniego na dół? Peruka tego nie załatwi, moim zdaniem. No i przyjmijmy, że wyciągniesz go z

mieszkania, ale on zamknie za sobą drzwi? Co wtedy?

– Na tym właśnie polega twój problem, widzisz? – odpowiedziała mi Lula. – Jesteś człowiekiem, który widzi szklankę w połowie pustą. Jedną z moich wyjątkowych zalet jest optymizm. Musisz się odpowiednio przygotować, wziąć pistolet i nie zapomnieć kul.

Zaparkowałam przy krawężniku przed biurem dokładnie o dziewiątej. Connie już na nas czekała, a Lula zaparkowała za mną sekundę później. Byłam ubrana na czarno. Miałam naładowany rewolwer za paskiem jeansów. Miałam gaz pieprzowy w kieszeni. Miałam komórkę przypiętą do paska, ustawioną tak, by jak najszybciej zadzwonić do KomandoMan. I miałam przecucie nadciągającej katastrofy. Ani trochę nie wierzyłam w powodzenie tej misji. Prawda wyglądała tak, że byliśmy absolutnie beznadziejnie w takich działaniach. Jak Głupi, Głupszy i Najgłupszy na obozie dla komandosów. Postanowiłam spróbować jedynie dlatego, że wiedziałam, że gdy tylko Chet zobaczy, że pojechałam na Stark, od razu wyśle mi wsparcie.

Zebrałyśmy się przed biurem, żeby powtórzyć plan. Connie miała buty na klinie, krótką obcisłą spódniczkę i sweter, który pokazywał pół kilometra jej rowka między piersiami. Podobnie Lula, zmieniła wysokie do uda buty dziwki na pantofle na klinie.

– Myślałam o tym, co mamy zrobić – zaczęłam – i najlepiej by było, gdybyśmy jakoś zdołały otworzyć drzwi na tyłach. – Spojrzałam na Lulę. – Gdyby udało ci się otworzyć drzwi, wtedy Connie i ja wślizgnęłybyśmy się na górę i sprowadziłybyśmy Vinniego.

– Możesz na mnie liczyć – zapewniła mnie Lula. – Co z samochodami?

– Weźmiemy jeepa – zdecydowałam. – Wysadzę was na Stark i zaparkuję w alejce za budynkiem. A jak już uciekniemy z Vinniem, to przejadę ulicą i was zgarnę.

– W porządku – zgodziła się Lula. – Będę na ciebie czekać.

Załadowałyśmy się do jeepa. Gdy dotarłyśmy na Stark, mdliło mnie nieznośnie, żołądek mi się skręcał, a w gardle miałam kulę paniki wielkości grejpfruta. Lula wysiadła na rogu i do kamienicy poszła pieszo. Przed drzwiami frontowymi nadal siedział strażnik, ale to nie był ten sam gość co wcześniej. Zjechałam ze Stark i zaparkowałam jeepa w alejce za budynkiem, tak jak zaplanowałyśmy.

– Uda się, prawda? – spytałam Connie. – Nie zostaniemy złapane, zabite ani nic z tych rzeczy?

– Masz ze sobą butelkę?

– W torbie.

– Więc powinno pomóc – stwierdziła Connie.

O Jezuu, zamierzałam zdać się na butelkę.

Connie wysiadła z jeeпа i poprawiła zawartość stanika.

– Lepiej, żeby Vinnie docenił te wysiłki. To nie tak, że nie mam nic lepszego do roboty, niż ratować jego dupę.

Sięgnęłam pod fotel i wyciągnęłam kilogramową latarkę Maglite, która stanowiła standardowe wyposażenie we wszystkich samochodach KomandoMan. I najlepszą broń do rozwalenia komuś głowy.

W alejce było raczej ciemno. Latarnie stały jak trzeba, oczywiście, ale żarówki w nich zostały stłuczone. Doszliśmy do tylnej ściany kamienicy i spojrzaliśmy w górę. W oknach na trzecim zaciągnięto zasłony. Czarny SUV obok nas stał zaparkowany z nosem przy samej ścianie. Sprawdziłam drzwi. Zamknięte. Cofnęliśmy się troszkę i czekaaliśmy w cieniu, aż Lula otworzy nam drzwi.

Usłyszałam kroki. Klamka się poruszyła i zza drzwi wyrzała Lula.

– Droga wolna – zameldowała. – Głupek przed drzwiami poszedł kupić coś do palenia.

– Przedstawienie czas zacząć – oznajmiła Connie i ruszyła do środka, przez krótki korytarzyk, i natychmiast skręciła na schody.

Szłam za nią, myśląc, że robiłam już naprawdę niebezpieczne rzeczy jako łowca nagród, ale ta akcja chyba zgarnie palmę pierwszeństwa wśród najbardziej kretyńskich. Dotarłam do czwartego piętra i rozejrzałam się. Trzy pary drzwi: 4A, 4B i trzecie nieoznakowane. Przyłożyłam ucho do tych ostatnich. Cisza. Ostrożnie złapałam za klamkę. Otwarte. Składzik.

Schowałam się w składziku i niemal całkowicie zamknęłam za sobą drzwi. Usłyszałam, jak Connie puka do innych. Usłyszałam, jak się otwierają. Usłyszałam stłumione głosy. Connie wciskała facetowi bajkę o swojej nieprzytomnej koleżance na pierwszym piętrze.

– Jest zupełnie naga – mówiła. – I chyba wypiliśmy za dużo, i wydaje mi się, że jesteśmy w niewłaściwym budynku.

Usłyszałam zamykające się drzwi i kroki na schodach. Wymknęłam się ze składziku i ruszyłam pod 4B. Drzwi nie były zamknięte. Zajrzałam do środka i szybkim spojrzeniem obrzuciłam wnętrze. Znalazłam się w salonie z niewielkim aneksem kuchennym. Na blacie kredensu poniewierały się zatłuszczone pudełka po pizzy. Stolik karciany i składane

krzeselko. Ani kanapy. Ani telewizora. Nic dziwnego, że Connie tak łatwo przyszło zagadać gościa, który jej otworzył. Facet musiał dostawać tu świra. Usłyszałam szelest w pokoju obok i miałam nadzieję, że to Vinnie. Bo poprzednim razem, kiedy usłyszałam taki szelest, okazało się, że to aligator.

Zajrzałam do pomieszczenia obok i zobaczyłam Vinniego. Gruby łańcuch, którym był skuty, niknął w łazience.

– Kurwa mać! – powiedział Vinnie. – Co jest, do chuja?

Miał na sobie buty z długimi czubkami, bardzo lśniące, czarne skarpety i czarne slipy. Vinnie w ubraniu nie wyglądał najlepiej. Vinnie w czarnych skarpetach i slipach to był prawdziwy koszmar.

– Gdzie są twoje ciuchy? – spytałam.

– Nie mam. To miałem na sobie, gdy mnie zgarnęli.

I w tym momencie zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy jednak go nie zostawić.

– Wiem, co myślisz – powiedział Vinnie. – I babcia Plum, i ciocia Mim byłyby bardzo zmartwione, gdybyś zostawiła mnie tu na śmierć.

– Dobra – ustąpiłam. – Ale jak mam cię uratować, skoro jesteś przykuty do toalety?

– Nie masz uniwersalnego kluczyka? Co z ciebie za łowca nagród?

– Nie spodziewałam się, że będę musiała kogoś rozkuwać.

– Nigdy nie wiesz, kiedy się na kogoś takiego natkniesz – pouczył mnie Vinnie. – Zawsze powinnaś mieć przy sobie kajdanki. Dlatego właśnie tracę forszę.

– Stąpasz po kruchym lodzie.

– Wiem – powiedział. – Przepraszam. To bardzo miło z twojej strony, że próbujesz mnie uratować. Powinnaś wyjść, zanim Wąż tu wróci.

– Wąż?

– No co ci poradzę, tak się nazywa. I porusza się jak wąż. Straszny jest.

– Nie wyjdę stąd bez ciebie – oświadczyłam. – Napręż ten łańcuch.

Wyciągnęłam rewolwer, wycelowałam w łańcuch i strzeliłam. Łańcuch podskoczył i ogniwo pękło. Wcisnęłam broń za pasek jeansów i wybiegliśmy z Vinniem z pokoju. I gdy wpadliśmy do salonu, Wąż stanął w progu z pistoletem w dłoni. Jego spojrzenie pomknęło ku Vinniemu i w tej samej chwili zdzieliłam go w głowę latarką. Osunął się na kolana i podparł rękoma. Usłyszałam łomot kroków na schodach. Kopniakiem wywaliłam Węża z mieszkania, zatrzasnęłam drzwi i zamknęłam zasuwę.

– Zmiana planów – oznajmiłam Vinniemu. – Wychodzimy przez okno.

Vinnie podbiegł do okna, otworzył je i wyrzał.

– Zwariowałaś?! Jesteśmy na trzecim piętrze.

– Schody pożarowe – odparłam.

– Są całe zardzewiałe! To złom!

Drzwi zatrzęsły się, gdy coś uderzyło w nie od drugiej strony. Tym razem zasuwa wytrzymała.

– Idź! – Wypchnęłam Vinniego za okno. – No idź!

Metal trzeszczał i zgrzytał pod naszym ciężarem, drobne metalowe fragmenty schodów sypały się, gdy zbiegaliśmy jak mogliśmy najszybciej. Nie było czasu się nad tym zastanawiać.

– To się rozpada pod moimi nogami! – wrzasnął Vinnie.

– Dalej! – odwrzasnęłam. – Nie zatrzymuj się!

Byliśmy na drugim piętrze. Złapałam się poręczy i poręcz się urwała. Schody jęknęły przeciągle i oderwały się do ściany budynku.

– Jasna dupa! – powiedział Vinnie. – Święta Mario, Matko Boża!

Cała metalowa konstrukcja zapadała się. Nie spadaliśmy na ziemię, a raczej ześlizgiwaliśmy się ku niej. I wtedy poddał się ostatni zaczep. Minęliśmy pierwsze piętro, zaczęliśmy lecieć. Metalowa konstrukcja rąbnęła w czarnego SUV-a, a Vinnie i ja poszybowaliśmy w przestrzeń.

Z okna na trzecim wychylił się jakiś facet i strzelił. Z alejki za moimi plecami ktoś odpowiedział, strzelając dwukrotnie. Zostałam poderwana z ziemi i pociągnięta w stronę jeepa. Komandos. Zacisnął palce na moim nadgarstku i biegł, wlokąc mnie za sobą. Dopadliśmy jeepa. Komandos wciągnął mnie na miejsce pasażera, wskoczył za kółko i ruszył z piskiem opon.

– Vinnie! – wykrztusiłam.

– Czołg go ma.

– Musimy zabrać Connie i Lulę, są na Stark.

Komandos wyjechał z alejki i skręcił w Stark. Connie i Lula stały na chodniku i sprawiały wrażenie, jakby bardzo starały się zachować spokój. Strażnik sprzed wejścia zniknął. Pewnie był na trzecim piętrze. Connie i Lula wdrapały się do jeepa, i Komandos odjechał z SUV-em KomandoMan na ognie.

– Czyli chyba dobrze poszło – oceniła Lula.

Komandos rzucił mi spojrzenie z ukosa.

– Nic ci nie jest?

Pokręciłam głową. Miałam kłopot ze znalezieniem słów.

Dwanaście

Komandos zawiózł Lulę i Connie do biura i odczekał, aż wsiądą do swoich samochodów i odjadą. Jego firmowy SUV nadal stał przy krawężniku za nami. Komandos kazał przyprowadzić Vinniego do jeepa.

– Powinienem wiedzieć, dlaczego jest w samej bieliźnie? – spytał.

– Tak go złapali.

Vinnie wdrapał się na tył, podzwaniając łańcuchem przy kajdankach. Komandos wyjął z kieszeni uniwersalny kluczyk i go rozkuł.

– Domyślałem się, że pierwszy strzał, który usłyszałem, był wycelowany w ten łańcuch – powiedział do mnie.

– Nie miałam kluczyka.

– Jesteś łowcą nagród – pouczył mnie. – Zawsze nosisz kajdanki.

– Zapomniałam, ale pamiętałam o broni. I walnęłam gościa w łeb latarką.

Komandos uśmiechnął się do mnie.

– Słonko.

– Chyba powinienem wrócić do domu – oznajmił Vinnie.

– To nie najlepszy pomysł – poinformowałam go. – Lucille nie jest w najlepszym nastroju.

– Przejdzie jej – odparł. – Zawsze przechodzi.

Komandos czekał na moją decyzję.

– Zabierzmy go do domu – powiedziałam.

Vinnie mieszkał w dużym żółto-białym domu kolonialnym w Pennington. Dom wyglądał, jakby należał do jakiejś normalnej osoby, ale należał do Vinniego. Kto by pomyślał. Lucille dbała o to, by trawnik był wystrzyżony, a kwietniki wysypane torfem. W oknach wisiały białe firanki. Dochodziła jedenasta i światła w domu były pogaszone. Niebo zasnuło się chmurami i księżyc zniknął. Ale z latarni przecznicy dalej przesączało się na trawnik Lucille dość światła, by było widać porozrzucane tam rzeczy.

Komandos wjechał na podjazd i Vinnie wyskoczył z jeepa.

– Co jest, do cholery? – Zaczął rozkopywać śmietnisko przed domem. – To moja koszula. I skarpety. – Podszedł do drzwi i zadzwonił. Zadzwonił raz jeszcze. – Hej! Hej,

Lucille!

Na piętrze błysnęło zapalone światło, otworzyło się okno i Lucille wystawiła głowę.

– Vinnie?

– Taa. Zostałem uratowany. Wpuść mnie. Nie mam klucza.

– Klucz na nic ci się nie zda, palancie. Zmieniłam zamki. Zabieraj to swoje zboczone dupsko z mojego trawnika.

– To jest też mój trawnik – odparł Vinnie.

– Chyba śnisz! Mój ojciec kupił ten dom dla nas i jest zapisany na mnie.

– To wspólna własność małżeńska, cukiereczku – powiedział Vinnie. – I będziesz musiała mnie zabić, żeby dostać moją połowę.

– Nie ma sprawy – zawołała Lucille.

Zniknęła w głębi domu, a Vinnie zaczął zbierać swoje ubrania.

– Nie wierzę, że się do tego posunęła – mamrotał. – Patrzcie tylko na tę jedwabną koszulę, pobrudzona torfem. I mój ręcznie malowany krawat.

Lucille pojawiła się w oknie ponownie, tym razem miała w rękach shotguna, i strzeliła do Vinniego.

– Znajdujesz się nielegalnie na cudzym terenie – oznajmiła.

– I co zrobisz?! Zastrzelisz mnie i wezwiesz policję?! – wrzasnął na nią Vinnie.

– Nie. Zadzwońłam do ojca. Już tu jedzie.

– Jej ojciec zawiózł na wysypisko tyle ciał, że ma tam własne miejsce parkingowe – stwierdził Komandos.

Lucille strzeliła raz jeszcze i Vinnie wgramolił się do jeepa wraz z naręczem ubrań.

Komandos wrzucił bieg i wycofał wóz z podjazdu.

– Twoja decyzja – mruknął do mnie.

– Zawieźmy go do biura.

Przed biurem stał czarny SUV. Miał wielką dziurę w masce i zgnieciony dach nad bagażnikiem.

– Chyba jednak nie chcemy się tu zatrzymywać – powiedziałam do Komandosa.

– Dawaj spluwę. Zajmę się tymi dupkami – zapowiedział Vinnie.

– Dość już narobiłeś kłopotów – odparłam. – Nie dostaniesz broni. I na litość boską, załóż coś na siebie. Będę musiała zdezynfekować tamto siedzenie.

Komandos zjechał z Hamilton i zatrzymał się na jednych ze świateł w Grajdole.

– Nie sądzę, żebyś chciał go zabrać ze sobą do domu? – spytałam go.

Komandos zerknął na Vinniego w lusterku wstecznym.

– Możemy ponegocjować. Cena będzie wysoka.

– Będę musiała przebrać się za gejszę i masować ci stopy?

Komandos rzucił mi spojrzenie z ukosa.

– Nie to miałem na myśli, ale możemy właściwie od tego zacząć.

– Rany – odezwał się Vinnie z tyłu. – Może powinniście sobie zorganizować jakiś pokój.

– Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego go uratowałaś – rzucił Komandos.

Wsunęłam latarkę pod siedzenie kierowcy.

– Babcia Plum i ciocia Mim.

– Może one go przenocują – podsunął Komandos.

– Niestety, nie ma na to szans. Dzisiaj może przenocować u mnie.

Dałam Vinniemu koc i poduszkę.

– Możesz zostać tu na jedną noc. Jedną – zaznaczyłam. – Jutro musisz znaleźć sobie jakieś inne miejsce.

Vinnie rzucił poduszkę z kocem na kanapę.

– Nie mogę uwierzyć, że Lucille mnie wykopała.

– Złapali cię z prostytutką!

– Wyświadczałem Lucille przysługę. To dobra kobieta, ale strasznie wybredna. Nie rób tego, nie rób tamtego. A co ze mną? Mam swoje potrzeby. Okay, no więc jestem zbrojcem, ale zbrojcy też mają prawa. Są takie miejsca, gdzie byłbym uznany za normalnego. Borneo chyba. Atlantic City.

Dobry Boże. Będę musiała zdezynfekować całe mieszkanie środkiem na karaluchy.

– W każdym razie największym problemem nie jest Lucille, tylko Bobby Słonecznik – mówił dalej Vinnie. – Walnęłaś jego człowieka w łeb, ukradłaś mnie im sprzed nosa. Bobby'emu się to nie spodoba.

– On by cię rzeczywiście zabił, gdybym cię stamtąd nie wyciągnęła?

– Na pewno. Byłem już trupem.

– I wszystko z powodu kilku zakładów.

Vinnie włączył telewizor pilotem, przerzucił jakieś dwadzieścia kanałów i zrezygnował.

– Słonecznik ma kłopoty. Potrzebuje kasy i potrzebuje szacunku. Jest w trakcie wojny i nie może pokazać słabości.

– Jakiej wojny? Kto walczy?

– Nie wiem. Może powinienem pójść na terapię, do tych tam specjalistów od uzależnień od seksu. Myślisz, że by mi wtedy odpuścili?

– Może Lucille. Ale nie sądzę, że Harry to kupi.

Miałam podrapane ramię, dziurę w jeansach z powodu upadku. Byłoby gorzej, gdybyśmy nie uderzyli w SUV-a. Wykuśtykałam z salonu, zamknęłam za sobą drzwi i zaczęłam się rozbierać. I zobaczyłam, że mam nieodebrane połączenie od Morellego.

– Hej – powiedział Morelli, gdy oddzwoniłam.

– Tobie też hej.

– Sprawdziałem tylko, czy jesteś w domu. W kamienicy Słonecznika dzisiaj była strzelanina.

– A to coś niezwykłego?

– Słuszna uwaga – uznał Morelli. – Ale mieliśmy doniesienie, że strzelano też w domu Vinniego. Lucille twierdziła, że strzelała do szczura.

– Ta okolica całkiem już zesłała na psy.

– Powinienem się martwić? – spytał Morelli.

– Ciężko powiedzieć.

Rozłączył się, a ja pokuśtykałam do łazienki i stałam pod prysznicem tak długo, póki z moich włosów nie spłynęła cała rdza. Kiedy skończyłam, spojrzałam na butelkę szamponu. Pusta. Lodówkę też miałam pustą. Potrzebowałam pieniędzy. Musiałam schwytać kolejnego zbiega.

Vinnie znowu paradował w bieliźnie. Siedział w mojej kuchni, nieogolony, z włosami rozczochranymi po spaniu i na wpół otwartymi oczami.

– Gdzie kawa? – zapytał. – Gdzie sok pomarańczowy?

– Nie ma – odpowiedziałam. – Muszę iść na zakupy.

– Potrzebuję kawy. Lucille zawsze miała dla mnie zaparzoną kawę.

– Tu nie ma Lucille – przypomniałam mu. – Przyzwyczajaj się. A po dniu dzisiejszym nie będziesz miał też mnie. Nie możesz tu zostać.

– I gdzie pójdę?

– Zatrzymaj się u przyjaciół.

– Nie mam przyjaciół – oznajmił Vinnie. – Tylko dziwki i bukmacherów. A mój bukmacher chce mnie zabić.

– Masz pieniądze?

Vinnie zamachał ramionami.

– A wyglądam, jakby miał? Mój portfel został w portkach. Ale może powinniśmy wrócić na trawnik przed moim domem i sprawdzić, czy razem z ciuchami Lucille wywaliła gotówkę i karty kredytowe.

– A co z biurem? Nie masz tam jakiegoś zaskórniaka na drobne wydatki? Connie nie ma służbowej karty kredytowej?

– Możemy mieć niewielki problem z płynnością finansową – przyznał Vinnie.

– Jak mały?

– Milion na minusie, mniej więcej.

– Co?

– To skomplikowane – powiedział Vinnie. – Chodzi o księgowość. Mamy za dużo niezłapanych zbiegów.

– Mam stosik teczek, nad którymi pracuję, ale nie sędzę, by te kaucje sumowały się do miliona. A co z bankierami, którzy udzielają ci gwarancji?

– Nie odbierają telefonów.

O rany.

– Masz trzy minuty, żeby się ubrać – powiedziałam Vinniemu. – Zabieram cię do moich rodziców. Kiedy już będą mieli cię dość, wymyślę coś innego. Przynajmniej dostaniesz tam kawy, zanim moja matka cię wykopie.

Rozważałam, czy nie zadzwonić i ich nie uprzedzić, ale zdecydowałam, że tego nie zrobię. Jeśli porzucę go przed drzwiami frontowymi i odjadę bardzo szybko, matka będzie musiała go przygarnąć. A jeśli zadzwonię, będzie miała szansę odmówić.

Dwadzieścia minut później zatrzymałam się przed domem moich rodziców i patrzyłam znad kierownicy, jak Vinnie idzie do drzwi. Nie odjechałam od razu, bo mogło się zdarzyć, że nikogo nie będzie w domu. Vinnie nie miał komórki, nie mógłby do mnie zadzwonić. Ale jak tylko zobaczyłam, że drzwi się otwierają, ruszyłam z piskiem opon.

Przejechałam obok biura dwa razy, zanim zdecydowałam się zaparkować. Nigdzie nie

widziałam powgniatanego SUV-a ani żadnych rozzłoszczonych facetów z bronią, uznałam więc, że mogę liczyć na spokojny ranek. Connie siedziała przy swoim biurku, Luli jeszcze nie było.

– Nie przyprowadziłaś ze sobą Vinniego, co? – zapytała Connie. – Bobby Słonecznik już mi złożył rano wizytę.

Nalałam sobie kawy.

– Wcześniej wstaje.

– Chyba jest mocno zmotywowany. Chce swojej forsy albo Vinniego. Jak nie dostanie do piątku jednego albo drugiego, to wyeliminuje biuro.

– Wyeliminuje?

– Znaczący zetrze z powierzchni ziemi.

– Mogłoby być gorzej – stwierdziłam. – Z tego, co mówił Vinnie, biuro jest milion na minusie.

Connie zamarła.

– Vinnie tak powiedział?

– Taa. Nie wiedziałaś?

– Nie zajmuję się księgowością. Vinnie ma od tego człowieka.

– Może powinien porozmawiać z tym księgowym.

– Księgowy nie żyje. W zeszłym tygodniu przejechała go ciężarówka. Dwa razy.

– Niedobrze.

– Nie. To bardzo niedobrze.

– Słonecznik wie, że to myśmy wyciągnęły Vinniego?

– Taa, ale chyba jest to informacja zbyt żenująca, by chciał ją upublicznić. Wolałby raczej dostać kasę, niż podziurawić nas kulami.

Upiłam łyk kawy i poczęstowałam się pączkiem z pudełka, które stało na biurku Connie.

– Czyli musimy zebrać forszę.

– Dzisiaj to już milion dwieście.

– Obrzyn ma całkiem wysoką kaucję. Facet od papieru toaletowego nie jest zbyt wiele wart, ale chyba nietrudno go będzie złapać.

– Butch Goodey jest coś wart – dorzuciła Connie.

– Ponoć uciekł do Meksyku.

– Słyszałam, że wrócił w zeszłym tygodniu i pracuje w rzeźni.

Butch Goodey ma metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i waży jakieś sto czterdzieści kilo. Jest poszukiwany za publiczne obnażenie się przed trzynastoma kobietami w ciągu dwóch dni. Na rozprawie wstępnej stwierdził, że miały szczęście, że obejrzały Pana Magika, i że to wszystko wina środka wzmacniającego pompę, od którego miał trzydziestodwugodzinną erekcję. Sędzia, który ustalił wysokość kaucji, zapytał o nazwę środka, zapisał sobie na karteczce i wsunął do kieszeni.

– Przesunę Goodeya na początek listy.

– Na początek jakiej listy? – zainteresowała się Lula, wpadając do biura.

– Listy „Do złapania” – wyjaśniłam. – Musimy zarobić dziś jakieś pieniądze.

– Czyli idziemy złapać Butcha Goodeya? Słyszałam, że jest w Meksyku.

– Wrócił. I pracuje w rzeźni.

– Nienawidzę tego miejsca – oznajmiła Lula. – Ciarki mam zaraz. Jak przejeżdżasz tam z otwartymi oknami, to słyszysz muczenie krów. Takie coś powinno się słyszeć tylko na farmie. Znaczący wiecie, co się dzieje z tym światem, skoro w Trenton możesz usłyszeć, jak krowy muczą? I kto, do diabła, w ogóle idzie pracować do rzeźni?!

– Butch Goodey – odpowiedziałam.

Rzeźnia znajdowała się nad rzeką, w południowej części miasta, na skraju dzielnicy mieszkaniowej, gdzie mieli swoje domy robotnicy albo ludzie bez stałej roboty. Rzeźnia zajmowała jakieś pół kwartału, z czego część przeznaczona była na zagrody, gdzie przyjmowano bydło, a część na rampy załadunkowe, gdzie wydawano mięso na hamburgery.

O wpół do dziesiątej zakład pracował pełną parą. Dzień zapowiadał się wspaniały, słoneczny i ciepły, i w okolicy rzeźni rozchodził się słaby zapach krów.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy od tego tu? – spytała Lula, wyskakując z jeepa na parking. – Pomyślałam, że przydałaby mi się nowa skórzana torebka. Jak dzisiaj skończymy wcześniej, musimy wyskoczyć do galerii.

Nie spodziewałam się raczej, że skończymy wcześniej. Wręcz przeciwnie, podejrzewałam, że to będzie bardzo długi dzień. Był przecież czwartek i nie miałyśmy szans zebrać tej forszy, łapiąc kilku zbiegów. A jeśli nie zbierzemy ponad miliona dolarów do następnego ranka, to babka Plum i ciocia Mim będą nosić czerń.

Trzynaście

Weszliśmy z Lula do niewielkiej recepcji. Podałam swoją wizytówkę kobiecie za biurkiem i wyraziłam chęć porozmawiania z Butchem Goodeyem. Kobieta przeciągnęła palcem wzdłuż spisu nazwisk i zlokalizowała Butcha.

– Akurat pracuje przy rozładunku bydła – powiedziała. – Najłatwiej go panie znajdą, jak obejdą budynek dokoła od zewnątrz. Proszę wyjść tymi drzwiami, skręcić w lewo i iść, aż zobaczą panie rampy rozładunkowe. Butch powinien gdzieś tam być.

– Cieszę się, że nie musiałyśmy przechodzić przez budynek – stwierdziła Lula – bo nie chcę widzieć, jak rąbią krowy na kawałki. Lubię myśleć, że mięso rośnie w supermarketach.

Skręciliśmy za róg i dotarliśmy do miejsca, gdzie krowy przepychały się w zagrodzie.

– Jak myślisz, jakiego rodzaju to są krowy? – zapytała Lula. – Hamburgerowe czy stekowe?

– Nie wiem – odparłam. – Dla mnie wszystkie krowy wyglądają mniej więcej tak samo.

– Jasne, ale niektóre są większe niż inne, a niektóre mają rogi. Te krowy to są ciężkie czarne krowy. To są krowy mojego rodzaju – stwierdziła Lula.

Butcha próbowałam znaleźć, zanim uciekł do Meksyku, więc miałam mniej więcej pojęcie, jak wygląda. W dodatku, mając blisko dwa metry wzrostu i wagę w okolicach półtorej setki, powinien rzucać się w oczy. Rozejrzałam się i wypatrzyłam go, górującego nad wszystkimi. Pilnował bramy, przez którą krowy wchodziły z zagrody na rampę i stamtąd do budynku.

Miałam kajdanki zatknięte za pasek jeansów, ale nie byłam pewna, czy uda mi się je zatrzasnąć na nadgarstkach Butcha. Za szlufkę wsunęłam plastikowe kajdanki, ale używając plastikowych kajdanek, człowiek nie bardzo mógł popisać się przebiegłością. Miałam nadzieję, że uda mi się namówić go na wycieczkę do sądu, żeby ponownie ustalić datę rozprawy.

– Zostań tutaj, przy tej ciężarówce – poleciłam Luli. – Nie chcę wystraszyć Butcha, ruszając na niego z partnerką. Spróbuję zająć go od drugiej strony i porozmawiać.

– Jasne – zgodziła się Lula. – A co mam robić, jak się rzuci do ucieczki?

– Powal go i skuj.

– W porządku.

Butch, skoncentrowany na swojej pracy, wpuszczał na rampę krowę za krową. Obeszłam zagrodę, ominęłam ciężarówkę i zaszłam Butcha od tyłu. Kajdanki miałam w dłoni i właśnie oceniałam rozmiar tego gargantuicznego nadgarstka, gdy Butch się odwrócił i mnie zobaczył.

– Ty! – krzyknął. – Ja cię znam. Jesteś łowcą nagród.

– Tak, ale...

– Nie pójdę do więzienia. Nie zmusicie mnie. To nie była moja wina.

Wskoczył do zagrody pełnej ogłupiałyh krów i rzucił się do bramy przy ciężarówce. Lula zobaczyła, że zmierza w jej stronę, i otworzyła bramę, żeby go powalić, a dalsze wydarzenia były już żywcem wyjęte z koszmaru. Gdy skrzypnęła otwierana bramka, każda krowa uniosła łeb i powęszyła, czując zapach wolności. Butch wypadł przez bramę pierwszy i zwałił Lulę na tyłek przy płocie. A za nim ruszyło stado. Krowy wygalopowały z zagrody na parking i poszły w rozsypkę. Wystarczyło kilka sekund, by wszystkie, co do jednej zniknęły z pola widzenia.

Kierowcy ciężarówek i poganiacze krów stali z otwartymi ustami, oniemiałi, kompletnie nieruchomi przez pełną minutę.

– Co to było, do cholery? – zapytał wreszcie któryś.

Lula dźwignęła się na nogi i poprawiła torebkę na ramieniu.

– Podam za to kogoś do sądu – oznajmiła. – Mogłam zginąć. Całe szczęście, że nie zostałam stratowana. Ten zakład zaniedbuje swoje obowiązki. Dzwonię do mojego prawnika.

– To ty otworzyłaś bramę – wytknęłam jej.

– No tak, ale powinni ją zamknąć na kłódkę, albo chociaż na klucz, żebym nie mogła tego zrobić. I co w ogóle robią krowy w Trenton? Ile jeszcze razy będę musiała powtarzać to pytanie?

Ktoś wrzasnął kawałek dalej i usłyszałam tętent racic przemierzających ulice. Z zakładu wylewali się pracownicy i organizowali w grupy poszukiwawcze. Wielka czarna krowa potruchtała przez parking, trzech gości ruszyło za nią w kierunku 7-Eleven przy Broad.

– No cóż, nie mamy tu chyba nic więcej do roboty – podsumowała Lula. – Co teraz?

– Teraz pojeździmy po okolicy i spróbujemy wypatrzeć Butcha.

I znajdziemy się na parkingu, zanim ktoś sobie przypomni, że to Lula otworzyła tę nieszczęsną bramę.

– To całe kręcenie się wokół krów wzmogło mój apetyt – oznajmiła Lula, wsiadając do jeepa. – Nie obraziłabym się na burgera.

Włożyłam kluczyk w stacyjkę.

– Dopiero jak znajdziemy Butcha.

– A co z nim zrobimy, jak już go znajdziemy? – chciała wiedzieć Lula. – Przejedziesz go tym jeepem? Bo coś mi się wydaje, że to jedyny sposób, żeby go złapać. Jest tak wielki jak jedna z tych krów.

Wyjechałam z parkingu, skręciłam za róg i zatrzymałam się, żeby przepuścić krowę, która przechodziła przez ulicę.

– Założę się, że to się cały czas dzieje – stwierdziła Lula. – Ci ludzie tutaj już się pewnie przyzwyczaili, że mają krowy na podwórkach. To pewnie tak samo, jakby mieszkali obok więzienia. Założę się, że z więzienia ludzie też cały czas uciekają.

Wszystko było możliwe, ale przez ten czas, jaki mieszkałam w Trenton, czyli przez całe moje życie, nigdy nie słyszałam o tym, żeby krowy uciekły z rzeźni.

Dwóch gliniarzy przebiegło przez skrzyżowanie kawałek dalej. Słyszałam, jak krzyczeli do siebie, i słyszałam porykiwanie krowy. Spomiędzy dwóch budynków wypadł mężczyzna z krową następującą mu na pięty. Wdrapał się pospiesznie na samochód, a krowa pobiegła w innym kierunku.

Zrobiłam kółko, zawracając w stronę rzeźni, i zobaczyłam Butcha wsiadającego do samochodu. Parking był pełen oszalałych krów i oszalałych łapaczy bydła, zdecydowałam więc jechać za Butchem w nadziei, że złapię go gdzie indziej.

Butch pojechał Broad do Hamilton i tam skręcił w stronę Gdaczącego Kubełka, i prosto do okienka dla kierowców. Jeździł wiekowym białym taurusem i nietrudno go było wyśledzić.

– Normalnie zrządzenie losu – oznajmiła Lula. – Uwierzyłybyś w takie szczęście? Jedziemy za jakimś frajerem prosto do Kubełka. Akurat kiedy ja też jestem głodna. Założę się, że to za sprawą butelki. Bo masz butelkę, prawda?

– Mam.

– Wiedziałam. Butelka za nas pracuje.

Butch złożył zamówienie i podjechał do kolejnego okienka. Ja zatrzymałam się nieco

dalej.

– Ja też mam zamówienie – powiedziała Lula. – Podjedź do okienka.

– Nie utknę tutaj. Jeśli zaparkuje, możesz wejść do środka i złożyć zamówienie, a ja w tym czasie go zatrzymam. Ale jak odjedzie z żarciem, będziesz musiała wytrzymać.

– Dobra, może tak być – odparła Lula. – W takim razie mamy plan.

Butch odebrał swoje zamówienie i zaparkował przednim zderzakiem przy bocznej ścianie restauracji. Lula wyskoczyła z jeepa i pospieszyła do środka, ja zaparkowałam za Butchem, uniemożliwiając mu wyjazd. Najpierw chciałam porozmawiać z nim i przekonać, by pojechał ze mną do sądu. A jeśli to nie zadziała, miałam zamiar potraktować go paralizatorem, przykuć do samochodu i opłacić holownik, żeby zaciągnął go na policję. To i tak byłby postęp. Normalnie użyłabym paralizatora i potem razem z Lulą wcisnęłybyśmy delikwenta na tylne siedzenie jeepa. Ale ponieważ Butch ważył blisko sto czterdzieści kilo, zapasy były raczej rozwiązaniem mało praktycznym.

Podbiegłam do taurusa i schyliłam się, żeby porozmawiać z Butchem. Podskoczył na dźwięk mojego głosu, kawałek hamburgera wypadł mu z ust i Butch zapiszczał jak dwumetrowa dziewczyna.

– Chcę tylko porozmawiać – zapewniłam.

– Nie pójdę do więzienia! – wrzasnął.

Wrzucił wsteczny, potraktowałam go paralizatorem, podskoczył i pisnął, ale nic poza tym. Taurus wbił się w jeepa Komandosa i odrzucił go jakieś dziesięć stóp, wgniatając cały lewy bok. Butch zmienił bieg, taurus wskoczył na krawężnik, zakręcił ostro i wyjechał z parkingu.

Lula kołyszącym krokiem wyszła z restauracji i obrzuciła jeepa taksującym spojrzeniem.

– Masz kłopoty – stwierdziła. – Rozwaliłaś jeepa Komandosowi. – Rozejrzała się. – Gdzie Butch?

– Przepadł.

– Musi naprawdę szybko jeść.

– Podeszłam do niego i spanikował. Potraktowałam go paralizatorem, ale bez żadnego efektu.

– Bez jaj – powiedziała Lula. – Na niego potrzebujemy elektrycznego pastucha.

Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Komandosa.

– Słonko.

– Złe wieści – powiedziałam. – Tak jakby zniszczyłam jeepa.

– To była tylko kwestia czasu – odpowiedział. I się rozłączył.

Pięć minut później na parking wtoczył się SUV KomandoMan, wysiedli z niego Hal i jeszcze jeden z ludzi Komandosa. Uśmiechali się.

– Z całym szacunkiem, ale tym razem się nie postarałaś – powiedział Hal.

Miał rację. Kiedyś, gdy jeździłam porsche Komandosa, zostało zgniecione na naleśnik przez śmieciarkę. Ciężko było to przebić.

– Raphael zajmie się jeepem – poinformował mnie Hal. – Ja jestem do twojej dyspozycji. Gdzie byś chciała pojechać?

– Do agencji poręczycielskiej – zdecydowałam. – Musimy się przegrupować.

– Jak poszło? – spytała Connie. – Złapałyście kogoś?

– Nie – odpowiedziała Lula. – Ale skasowałyśmy Komandosowi jeepa. I jeszcze inne rzeczy zrobiłyśmy, ale chyba nie chcę o tym rozmawiać.

Connie rzuciła mi pytające spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Lula otworzyła bramę w rzeźni i wypuściła na wolność mnóstwo krów – wyjaśniłam.

– Teraz są już pewnie w Bordentown.

– Zupełnie jak Elza z afrykańskiego buszu, ale z krowami – dodała Lula.

– Czyli w temacie zbierania forsy nie stoimy najlepiej – podsumowała Connie.

Usiadłam na pomarańczowym krzeselku po drugiej stronie jej biurka.

– Może trzeba wezwać policję?

– Albo wysłać Vinniego do Brazylii – podsunęła Lula. – Możemy go zapisać do tego programu od świadków.

Zadzwoiła moja komórka. Aż jęknęłam, gdy zorientowałam się, że to matka.

– Kiedy po niego przyjedziesz? – chciała wiedzieć.

– Po kogo?

– Wiesz, po kogo! Siedzi w fotelu twojego ojca, pije kawę i ogląda telewizję.

– Lucille go wywaliła.

– I słusznie – oceniła matka. – Też bym go wywaliła, ale nie mogę go wyciągnąć z tego fotela. Kiedy po niego przyjedziesz?

– Słuchaj, chodzi o to – powiedziałam matce – że on nie ma gdzie mieszkać.

– Tu nie może zostać. I przysięgam, już nigdy nie zrobię ci ciasta ananasowego, jeśli go

stąd nie zabierzesz.

– Zaraz będę. – Złapałam za torbę. – Musimy odebrać Vinniego – powiedziałam Luli. –
Moja matka ma go dość.

– Tu go nie możesz przywieźć – zastrzegła Connie.

– Mogę go zostawić u ciebie w domu.

– Ani na chwilę.

Popatrzyłam na Lulę.

– Nie-e – odpowiedziała Lula. – Ja go nawet nie lubię. Jak tylko zostanie sam, będzie
mierzył wszystkie moje wyjątkowe sukienki. – Uwaga Luli przeniosła się na ulicę za
oknem. – Jest i Zakręt.

Zakręt otworzył drzwi i powitał nas gestem pokoju.

– Szanowne panie, jak leci? – spytał.

– Nie najgorzej – odparłam. – A co u ciebie?

– A nie wiem. Chyba zeszłej nocy dołożyli mi jakichś podejrzanych grzybków do pizzy.
Jechałem Broad Street przed chwilą i przysięgam, wydawało mi się, że widzę krowę, która
idzie ulicą.

– Hunh – powiedziała Lula. – Wariactwo, masz rację.

– Dzisiaj rano w zakładzie przetwórstwa mięsa kilka krów się wydostało na wolność –
poinformowałam Zakręta.

Złapał się za serce.

– To jest megaulga. Ostatnio jak zobaczyłem krowę idącą ulicą, musiałem iść na odwyk.

– A co robiłeś na Broad? – spytałam.

– Rozdawałem ulotki. Dla was też mam trochę. – Zakręt położył na biurku Connie stosik
papierów. – Przymierze ma doroczny konwent Hobbitcon i ja za to odpowiadam w tym
roku. To niesamowity zaszczyt.

– Nigdy nie byłam na Hobbitconie – zainteresowała się Lula. – Co tam się robi?

– Ubierasz się jak hobbit – wyjaśnił Zakręt. – Dostajesz hobbitowe imię. I jest mnóstwo
hobbitowego jedzenia. I są różne hobbitowe gry. I hobbitowa muzyka.

– To by mi się mogło spodobać – stwierdziła Lula, biorąc ulotkę z biurka Connie. –
Zawsze jestem otwarta na nowe doznania. Masz hobbitowe imię? – spytała Zakręta.

– Bungo Dobrysmuk – odpowiedział.

– Ta, w sumie niedziwne – zgodziła się Lula. – A jakie by było moje hobbicie imię?

– Mogłabyś mieć na imię Skoczylaska z Jasnych Dołów – zaproponował Zakręt. – A Connie mogłaby się nazywać Primula Jajogłowa.

– A jakbym nie chciała być Primula Jajogłowa, to co?

– A Stephanie? – chciała wiedzieć Lula. – Jakie by było jej hobbicie imię?

– Ysellyra Kłujcerz.

– Taa, ona wygląda na Ysellyrę Kłujcerz.

– Mam problem – zwróciłam się do Zakręta. – Żona Vinniego wyrzuciła go z domu i teraz Vinnie nie ma gdzie się zatrzymać. Mógłbyś go przygarnąć na dzisiejsze popołudnie i może jeszcze noc?

– Łał, będę zaszczycony – odparł Zakręt. – Vinnie to gość. Jest ten, no, sławny! On organizuje KAS.

– A co to jest KAS? – spytałam.

– Konwent Alternatywnego Seksu. Totalnie nowatorski.

– Kto by się spodziewał – mruknęła Connie.

– Właśnie – entuzjasmował się Zakręt. – KAS to coś wielkiego. Może Vinnie mógłby mi dać kilka wskazówek.

– O ile nie chcesz, żeby hobbici nosili jedynie czapsy, to raczej nie powinieneś korzystać ze wskazówek Vinniego.

– Pamiętasz, gdzie mieszkają moi rodzice? – spytałam Zakręta.

– Jasne. Trafiłbym z zamkniętymi oczami.

Zapisałam adres na odwrocie wizytówki i wręczyłam Zakrętowi.

– Na wszelki wypadek – oznajmiłam. – Zadzwoń, jak będziesz miał jakieś problemy. Nie spuszczaaj wzroku z Vinniego i trzymaj się z daleka od Stark.

Zakręt wykręcił spod biura i chwilę później usłyszałyśmy strzał z rury wydechowej, gdy Zakrętobus potoczył się ulicą.

– Myślisz, że możemy mu zaufać, że będzie trzymał Vinniego w ukryciu? – zapytała Lula.

– Jeśli Vinnie chce ująć z życiem, sam zadba o to, żeby się za bardzo nie wychylać.

Zadzwoiłam do domu moich rodziców i poprosiłam Vinniego do telefonu.

– Zakręt po ciebie jedzie – poinformowałam go. – Pozwoli ci pomieszkać w swoim kamperze. Nie wychodź z niego pod żadnym pozorem!

Zerknęłam na zegarek.

– Zaraz pora lunchu, rozejrzyjmy się za Obrzynem – powiedziałam do Luli.

– A co z Butchem? – spytała Connie.

– Potrzebuję namiarów na jego mieszkanie. Do pracy raczej nie wróci. A jeśli mam go dostać, muszę się sprężyć. On nie chce iść do więzienia. I na pewno spróbuje znów uciec.

Czternaście

yszyliśmy z biura i Lula rozejrzała się po ulicy.

W

– Byłam pewna, że do tego czasu będzie tu stał nowy czarny samochód – stwierdziła. – Chyba Komandosowi nie zabrakło wozów, co?

– Może wyczerpałam limit miesięczny.

Zielony SUV zatrzymał się za firebirdem i wysiadł z niego Morelli.

– Zaraz do ciebie dołączę – powiedziałam Luli i podeszłam do Morellego.

Objął mnie i wtulił nos w mój kark.

– To wizyta towarzyska? – zainteresowałam się.

– Niezupełnie. Chciałem sprawdzić, czy pachniesz jak krowa.

Cofnęłam się o krok.

– No i?

– Nie.

– To wbrew prawu pachnieć jak krowa?

– Owszem, jeśli wypuszczasz całe stado na ulice miasta.

– Skąd wiesz?

– Kilku pracowników przepytanych na okoliczność pamięta czarną kobietę z czerwonymi włosami i wielkimi cyckami i ładną dziewczynę z brązową kitą.

– Uważali, że jestem ładna?

– Wszyscy uważają, że jesteś ładna – odpowiedział Morelli.

– A ty?

– Ja przede wszystkim. Coś ty, do cholery, robiła w rzeźni?

– Ścigałam Butcha Goodeya. I to wszystko był wypadek.

– Przez przypadek spłoszyłaś stado?

– Nie ja. Butch pracował przy zagrodzie i spanikował na mój widok. I rzucił się do ucieczki. A krowy razem z nim.

Morelli przyłożył dłoń do piersi.

– Zgaga – poinformował mnie. – Masz jakieś rennie?

– Za dużo stresu – stwierdziłam. – To przez twoją pracę.

– To nie moja praca. To ty. Jesteś jak magnes na katastrofy.

– Znajdź sobie nową dziewczynę. Jakąś miłą, nudną kobietę, która zawsze będzie pamiętała, żeby kupić chleb.

– Może znajdę – stwierdził.

– I dobrze!

– Zachowaj swoje dobre dla siebie.

– Pffff – powiedziałam i odwróciwszy się na pięcie, pomaszero wałam do firebirda.

– Chyba ci całkiem nieźle poszło.

– Jedź po prostu.

– Nie bądź zaraz Panna Maruda tylko dlatego, że nie dostajesz.

– Mogłabym dostawać, gdybym tylko chciała.

– Wiesz, jaki jest twój problem? Ty masz za dużo skrupułów. Jeden, dwa to jeszcze okay, ale ty masz ich za dużo i przez nie wszystko masz pozatykane.

To, co mówiła, nie miało żadnego sensu, ale prawdopodobnie się nie myliła.

– Mam trochę skrupułów – powiedziała – ale wiem, kiedy przestać. Jest taki moment, w którym musisz powiedzieć sobie dość i pieprzyć skrupuły.

– Ta rozmowa w ogóle do czegoś prowadzi?

– Ja na twoim miejscu sypiałabym z oboma. A jakby się dowiedzieli, tobym sobie dała spokój i obu pożegnała. *Sayonara*, kochanie.

– Jezzu.

Lula rzuciła mi uważne spojrzenie.

– No może w twoim przypadku to się nie sprawdzi.

Wyprostowałam się jak dźgnięta igłą.

– To on! Obrzyn właśnie nas mija! Czarny lexus, przyciemniane szyby, wymyślne kółka i tablica, która zaczyna się na O.

– Już za nim jadę – odpowiedziała Lula. – Nie spuszcza j z niego wzroku.

Między nami a Obrzynem były jeszcze trzy samochody. O tej porze na Hamilton panował umiarkowany ruch.

– Skręcił w Chambers – poinformowałam Lulę.

– Jedzie do jednego z tych miejsc z hamburgerami – stwierdziła. – Założę się, że jedzie do Mięska na Wynos. Jest przed nami.

Straciłyśmy lexusa z oczu, ale wypatrzyłam go zaparkowanego przed Mięskiem na Wynos. Kaucja za Obrzyna była niemała, a ja miałam już dość dostawania w dupę. Nie

było mowy, żeby ten mi uciekł.

– Zaparkuj za nim, tak żeby go zablokować – poleciłam Luli.

– Coś ty?! Zwariowałaś?! To moja dziecina! Nie pozwolę, żeby moja dziecina została staranowana. Widziałyśmy już, co stało się z jeepem Komandosa. Parkuję daleko, gdzie nikt nie ustawi się obok i nie wgniecie mi drzwi.

– Dobra, tylko już parkuj wreszcie – odpowiedziałam.

Wysiadłyśmy z firebirda i zgarnęłyśmy sprzęt. Lula miała kajdanki, gaz pieprzowy, paralizator, glocka, derringera z rękojeścią z macicy perłowej, nóż sprężynowy i kastet. Ja miałam czterdziestkępiątkę, gaz i paralizator. Lula chciała użyć wszystkiego, co miałyśmy w arsenale, ja nie chciałam używać niczego.

– Tylko bez nadmiernego używania siły.

– Jasne, przecież wiem – odparła Lula. – A teraz zjedź mi z drogi, zaraz załatwię tego idiotę.

– Nie! Daj mi z nim pogadać. To zawodowiec. Będzie współpracował.

– Zawsze to mówisz, a oni potem przejeżdżają ci po palcach.

Przyłożyłam dłoń do piersi i chrząknęłam.

– Coś nie tak? – chciała wiedzieć Lula.

– Chyba mam zgagę. Jakie to uczucie mieć zgagę?

– Bolesne.

– Mam zgagę. Masz może rennie albo coś takiego?

– Nie. Nie miewam zgagi, bo mam pozytywne nastawienie do życia. I prawidłowe trawienie, bo się prawidłowo odżywiam.

– Jesz wszystko.

– Właśnie. Mam urozmaiconą dietę. Nawet jak byłam na tej diecie, na której już nie jestem, to i tak wykorzystywałam ją na maksa.

To była prawda.

– Trzymaj się za mną – poleciłam Luli. – Ja to załatwię.

Miałam kajdanki pod ręką i paralizator w ręce. Zgoda, nie udało się przy Butchu, ale to był pech. Przeszłam przez parking i zapukałam w okno lexusa. Zaciemniona szyba od strony kierowcy zjechała w dół i Obrzyn popatrzył na mnie z wnętrza wozu. Znałam go z widzenia. Wyglądał jak Joe Pesci, o ile Joe Pesci byłby Kubańczykiem.

– Mortimer Gonzalez? – pytałam.

– Taa. Co jest?

– Agencja poręczycielska – odpowiedziałam. – Musi się pan udać ze mną do sądu i ustalić nową datę rozprawy.

Technicznie mówiłam prawdę, w praktyce były to kocopoły. Musiał iść ze mną, żeby go można było zamknąć w celi, póki ktoś nie podpisze z nim umowy o kaucję i nie wykupi go po raz kolejny. A kolejna kaucja kosztowałaby go więcej pieniędzy.

– Cmoknij mnie – odpowiedział. I szyba podjechała do góry.

– Całkiem nieźle ci poszło – stwierdziła Lula.

– Jeśli powiesz to jeszcze raz, potraktuję cię paralizatorem i wywalę na ciebie cały pojemnik gazu pieprzowego – zagroziłam.

Lula wycelowała glocka i wpakowała cztery pociski w przednie koło lexusa. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z rozmachem i Obrzyn wyskoczył z wozu. Popatrzył na oponę i popatrzył na Lulę.

– Coś ty, kurwa, ochujała?! – wrzasnął. – Wiesz, ile kosztuje taka opona? To nie jest jakaś zwykła pierdolona opona! To jest run-flat!

Zapięłam mu bransoletkę na nadgarstku. Zamachnął się na mnie. Uchyliłam się i potraktowałam go paralizatorem. Spojrzenie Obrzyna stało się zamglone i zwalił się na chodnik.

– Chyba wreszcie nam się udało – oznajmiła Lula.

Skułam Obrzynowi ręce i razem powlokliśmy go do firebirda.

– Tylko uważaj, żeby jego buty nie pobrudziły mi skórzanej tapicerki. Dopiero co zapłaciłam za dokładne czyszczenie – pouczyła mnie Lula.

Wsadziłyśmy Obrzyna na tylne siedzenie i przybiłyśmy piątkę.

– No i o tym mówię – stwierdziła Lula, wsiadając za kierownicę. – Teraz jesteśmy na fali. To butelka. Wzięłaś ją, prawda?

Wsiadłam do samochodu i zapięłam pas.

– Jest w mojej torbie.

Lula przejechała dwie przecznice i zatrzymała się przed sklepem.

– Mam pomysł. Butelka działa na naszą korzyść, tak?

– No chyba tak.

– No to ci powiem, co zrobimy. Kupimy los na loterię, póki jesteśmy na fali. Założę się, o co chcesz, że wygramy kupę forsy.

– A któż zapłaci za los?

– Ty – oświadczyła Lula.

– No raczej nie.

– Wydałam ostatnią dwudziestkę na burgera. – Lula zerknęła we wsteczne lusterko. –
Założę się, że Obrzyn ma kasę.

– Nawet o tym nie myśl.

Lula odpięła już pasy i wychyliła się do tyłu.

– Tylko pożyczam. Oddam mu zaraz z wygranej.

– A jak nie wygramy?

– Oczywiście, że wygramy. Masz przecież butelkę. – Lula przechyliła się do Obrzyna i po chwili miała już w dłoni jego portfel. Wyjęła z niego dwudziestkę i wepchnęła mu portfel z powrotem do kieszeni.

– Tylko pożyczamy – powiedziała. – Zaraz oddamy.

– Nie żadne my – zaoponowałam. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– No i znowu masz skrupuły. Musisz nauczyć się rozróżniać słuszne skrupuły od bezsensownych.

– Nie okradamy ludzi, których pojmałyśmy.

– Pożyczamy – poprawiła mnie Lula. – Pożyczamy. I powód jest słuszny, a to zawsze istotne.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Wsiądziesz z samochodu i pójdziesz ze mną – zażądała Lula. – To ty masz szczęśliwą butelkę. Poza tym nie wsiądę za kierownicę, jeśli tego nie zrobimy. I jeszcze wstrzymam oddech!

– O na litość boską! – Odpięłam pas. Wsiadłam i trzasnęłam drzwiami, a potem, tupiąc wściekle, pomaszerowałam do sklepu.

– Poprosimy o losy – powiedziała Lula do ekspedientki. – Tu jest nasza pożyczona dwudziestka. I nie mamy czasu na lotto, weźmiemy zdraпки po piątce.

Lula odebrała swoje losy, cofnęła się kawałek i zaczęła drapać. Na pierwszej zdraپce nie było wygranej. Na drugiej też nie. Na trzeciej tak samo nic.

– To jest to – oświadczyła Lula. – Czuję. To jest ten szczęśliwy los. – Zdrapała wszystko i krzyknęła cienko. – Wygrałam! Wygrałam! Wiedziałam, że wygram. I co mówiłam?

Zajrzałam jej przez ramię.

– Ile wygrałaś?

– Dychę.

– Nie chcę ci psuć radochy z wygranej, ale wydałaś dwadzieścia dolarów, żeby wygrać dziesięć.

– No tak, ale wygrałam dziesięć. Potrzebujemy więcej pieniędzy, jak już jesteśmy na fali. To dopiero początek.

– Nie mamy nic więcej.

– Obrzyn ma. Portfel ma wypchany kasą. Musimy pożyczyć więcej.

– Nie!

– No ale wiesz, jak mu oddamy, jeśli nie pożyczymy więcej?

– Wyślemy mailem – odpowiedziałam.

Lula wymieniła los na dychę.

– Czekaj. Muszę sobie kupić ciastko. – Weszła między regały i wyszła z naręczem pudełek i torebek.

– Dwanaście pięćdziesiąt – powiedziała ekspedientka.

Lula spojrzała na mnie.

Westchnęłam potężnie, zaczęłam grzebać w torebce i wygrzebałam dwa dolary i trochę drobnych.

– Teraz uczcimy naszą wygraną – oznajmiła Lula.

Zabrałyśmy ciastka i poszłyśmy do firebirda.

– Co jest, kurwa? – wyrwało się Luli.

Obrzyna nie było.

– Wsadziłyśmy go do bagażnika i o tym zapomniałam? – zapytała Lula.

– Uciekł pieszo, zapewne próbuje dotrzeć do swojego wozu. Może go złapiemy.

Lula zawróciła na parking przed Mięskiem na Wynos. Po czarnym lexusie nie został nawet ślad.

– No tak, ale musisz popatrzeć na to od jaśniejszej strony – powiedziała. – Wygrałyśmy na loterii.

Wzięłam paczkę ciastek ze śmietankowym nadzieniem i wepchnęłam je sobie do ust.

– Spróbuj go znaleźć – poleciłam Luli. Objechałyśmy miejscówki Obrzyna i przejechałyśmy obok jego mieszkania. Nie znalazłyśmy lexusa. Najpewniej Obrzyn udał się

gdzieś, gdzie mógł pozbyć się moich kajdanek.

– Bez urazy. Nie chcę bluźnić przeciwko butelce, ale powoli zaczynam dochodzić do wniosku, że to bardzo słaba szczęśliwa butelka.

Ucieszyłam się nawet z tego stwierdzenia, bo od ciężaru butelki i smitha & wessona zaczynałam mieć skurcze u nasady karku. Myśl o zostawieniu ich w domu sprawiła mi prawdziwą przyjemność.

Zadzwoiła Connie.

– Mam informacje na temat Butcha Goodeya – oznajmiła.

Miałam nadzieję usłyszeć, że Butch właśnie wsiadł do samolotu lecącego na Antarktykę. Nie zmartwiłabym się, jakbym go już nigdy w życiu nie zobaczyła. Równie dobrze mogłabym próbować pojmać King Konga.

– Mam jego aktualny adres z kadr i adresy jego rodzeństwa. Powinnaś mieć rodzeństwo w dokumentach do umowy – powiedziała Connie.

Aktualny adres. Cholera. Rozłączyłam się i zgarbiłam w fotelu.

– Co jest? – chciała wiedzieć Lula.

– Connie ma aktualny adres Butcha.

– Cholera. Nie podobają mi się ci ludzie, których mamy łapać. Są za duzi i zbyt podstępni. I w ogóle nie chcą zostać złapani. Z drugiej strony ten wielki gamoń mnie przewrócił i poplamiłam sobie spódnice. Będę musiała oddać ją do pralni. Powinien za to zapłacić.

– Mieszka przy Keene Street w jednym z tych małych szeregowców.

– Już jadę – oznajmiła Lula.

Piętnaście

Biały taurus stał przy krawężniku przed szeregowcem Butcha. Kiedyś te domy należały do firmy produkującej rury. Dwanaście parterowych mieszkań w jednym budynku, z azbestowym, brązowym dachem i szalunkiem. Żadnych podwórek. Żadnych ganków z przodu czy z tyłu. Żadnych podjazdów. Nieco ponure, ale za to hydraulika działa niemal w każdym.

– Potrzebujemy planu – powiedziała Lula. – Nie chcę znowu klapnąć na tyłek.

– Paralizator na niego nie działa, więc ja zadzwonię, a kiedy otworzy drzwi, walniemy go pieprzem. Odsuniemy, żeby spray osiadł, a potem założymy mu plastikowe kajdanki.

– Jak będę musiała go postrzelić, to strzelę mu w nogę – oznajmiła Lula.

– Żadnego strzelania!

– Zawsze to mówisz.

– Strzelanie jest złe. Rani ludzi. Możesz przez to trafić do więzienia.

Lula wysunęła dolną wargę i zmrużyła powieki.

– Przez niego mam plamę na spódnicy.

– Nie zastrzelisz kogoś za plamę na spódnicy.

– Miałam zamiar postrzelić go tylko w nogę.

Ból w piersi wrócił. Beknęłam i minął.

– Masz problemy z trawieniem – oświadczyła Lula.

– Nigdy dotąd nie miałam.

– To pewnie dlatego, że się starzejesz. Kiedy się starzejesz, to takie rzeczy ci się przytrafiają. Albo jesteś w ciąży. Ups, czekaj, nie możesz być w ciąży, bo nie dostajesz.

– Mogłybyśmy skupić się na bieżącym problemie? Mam na myśli schwywanie Wielkiej Stopy?

– Jasne. Nie widzę problemu.

Podeszłyśmy do drzwi i zadzwoniłam. W dłoni ściszałam pojemnik z gazem gotowy do użytku. Lula stała za mną. Drzwi się otworzyły i Butch popatrzył na nas. Wyglądał jak gigant w tym małym domku.

– Kurwa! – powiedział.

Władowałam mu w twarz solidną dawkę gazu i odskoczyłam. Butch ryknął i zaczął się

miotać, machając rękami. Oczy miał mocno zaciśnięte.

– Au! – ryczał. – Auuuuu!

Skakałam wokół niego, próbując go złapać za nadgarstek.

– Trzymaj go – wołałam do Luli. – Złap go za rękę.

– Nie mogę, kurwa mać! – wołała Lula. – Nie przestaje się ruszać.

Butch walnął ręką na oślep, odrzucił Lulę na jakieś dziesięć stóp i minął mnie niczym szarżujący byk.

– Arrrrgh! – wrzeszczał. – Gaaaaah!

Z nosa mu ciekło, po policzkach spływały strumienie łez, ale nic nie było w stanie go powstrzymać. Wypadł z domu i popędził chodnikiem. Rzuciłam się do biegu za nim, wrzeszcząc do Luli, żeby mi pomogła. Goniłam go przez pół kwartału, skręcił za róg, przebiegł przez ulicę i czyjeś podwórko. Słyszałam, jak Lula tupie za mną, dysząc ciężko. Mnie też zaczynało już brakować oddechu i myślałam sobie, że może byłoby łatwiej pozwolić Luli, żeby strzeliła mu w nogę, bo nie miałam pojęcia, co właściwie zrobić, kiedy go dogonię.

Butch dotarł do wysokiego płotu wokół czyjegoś podwórka i zatrzymał się gwałtownie. Uderzyłam w niego całym ciałem i złapałam jak mogłam najmocniej. Lula nas dogoniła i chwyciła go i wszyscy razem przewróciliśmy się na ziemię. Teraz to już bałam się, że Butch i Lula znajdą się na mnie i zostanę zgnieciona niczym naleśnik. Miotaliśmy się wszyscy, Butch starał się stanąć na nogi, a Lula i ja trzymałyśmy się go, jakby nasze życie od tego zależało.

– Skuj go! – wrzeszczała Lula. – Kopnij go w jaja! Dźgnij go w oko!

Próbowałam, ale nie miałam szczęścia. Był zbyt duży, zbyt ciężki, zbyt silny i zbyt wystraszony perspektywą więzienia. Spróbowałam założyć mu plastikową opaskę na nadgarstek, ale strzepnął mnie, jakbym była robakiem. Przeleciałam kilka stóp i wylądowałam na czarnych butach, znajdujących się na końcu długich nóg w czarnych bojówkach. Komandos. Podał mi rękę i postawił na nogi.

– Musimy pogadać – oznajmił.

– Pomocy – jęknęła Lula. – Zdejmijcie ze mnie tego głupka. Nie mogę oddychać.

– Puść mnie – zażądał Butch. – Puszczaj.

Komandos podszedł do nich i rozdzielił bez wahania. Butch dźwignął się z ziemi gotów uciekać dalej.

– Stój – nakazał mu Komandos.

Butch znieruchomiał natychmiast. Komandos wyjął mi z dłoni kajdanki i zapiął na nadgarstkach Goodeya.

– Jak ty to robisz? – spytałam.

– Mówię z właściwym autorytetem.

– Możesz mnie tego nauczyć?

– Nie.

Komandos wezwał posiłki przez komórkę, ujął Butcha za ramię i poprowadził do ulicy. Przy krawężniku stało porsche turbo.

– Jak mnie znalazłeś? – zainteresowałam się.

– Zadzwońłem do Connie, a ona podała mi adres Goodeya. Jechałem tu, gdy obok mnie przebiegłaś.

– Nie widziałam cię.

– Miałaś oczy utkwione w nagrodzie.

Lula szła za nami, poprawiając spódnicę i biust w staniku.

– To musi być chyba Dzień Przewracania Luli na Dupę – stwierdziła. – Nie wiem zupełnie, dlaczego staram się wyglądać profesjonalnie. Albo spadam ze schodów, albo tarzam się z krowami, albo siłuję z kretynami i bez przerwy niszczę wszystkie moje porządne ubrania. Równie dobrze mogłabym przychodzić do pracy w worku na śmieci.

Komandos nic nie powiedział, ale się uśmiechnął.

– I widziałam ten uśmiech – oznajmiła Lula. – Lepiej, żebyś się ze mnie nie śmiał.

– Gdybyś założyła worek na śmieci, to byłaby to zbrodnia przeciwko ludzkości – oznajmił Komandos.

– Hunh – powiedziała Lula. – Chcesz mnie oczarować gładkimi słówkami?

– Tak – odpowiedział Komandos.

– No to chyba ci się udało.

– Zakładam, że potrzebujesz samochodu – zwrócił się Komandos do mnie. – Mogę wysłać kogoś ze swoich ludzi, żeby odstawił za ciebie Goodeya na policję, a my pojedziemy do KomandoMan, żebyś mogła sobie coś wybrać... znowu.

– Bardzo dobry pomysł – wtrąciła Lula. – Bo ja muszę jechać do domu, żeby dokonać poprawek w garderobie.

Pięć minut później SUV z KomandoMan zatrzymał się przy krawężniku i zabrał

Goodeya, a ja wsiaadłam do turbo i odprężyłam się na siedzeniu pasażera.

– Chodzą słuchy po ulicy, że Bobby Słonecznik ukradł forszę niewłaściwemu człowiekowi – powiedział Komandos.

– Jakiemuś innemu złoczyńcy?

– Takie mam wrażenie. Słonecznik robi kasę, szantażując i zmuszając uczciwych businessmanów do okradania klientów. Właściciele zostają wciągnięci w przestępczą działalność i muszą odpowiednio preparować wszystkie dokumenty. Kiedy interes wreszcie pada i wierzyciele i klienci wszczynają śledztwo, Bobby znika jak mgła o poranku. To standardowe działanie mafii. Cała kasa z interesu zostaje dokładnie wyciśnięta, a prawdziwi właściciele zostają z ręką w nocniku. To oni potem skaczą z mostów albo strzelają sobie w łeb. Ale wygląda na to, że tym razem Słonecznik zaczął rozwalać niewłaściwą firmę i nadepnął komuś bardzo potężnemu na palce.

– To się jakoś ze mną łączy?

Komandos przejechał przez Hamilton i skręcił do centrum.

– Być może. Jeśli Słonecznik ma w garści interes Vinniego i wyciąga kasę do tego stopnia, że zostaną po nim tylko wyschnięte kości, to ktoś może skończyć w więzieniu i to nie będzie Bobby.

– Nie wiem. Nie wiem, jak głęboko Vinnie wdepnął w te ciemne interesy. Wydaje mi się, że Vinnie został porwany, bo Słonecznik desperacko potrzebuje pieniędzy. I uznał Vinniego za kurę znoszącą złote jajka. Miał nadzieję, że Harry sypnie kasą.

– Ale Harry nie sypnął.

– Nie. I teraz Słonecznik znalazł się w paskudnej sytuacji. Jeśli nie zbierze kasy, nie tylko straci szacunek, ale i życie.

Komandos skręcił i wjechał na podziemny parking KomandoMan. Zatrzymał się na swoim miejscu zaraz przy windzie. Komandos miał zarezerwowane cztery miejsca parkingowe. Teraz stały tam porsche turbo, porsche cayenne i robiony na zamówienie F150. Na czwartym miejscu stał lśniący czarny mercedes ze szprychowymi kołami. Miałam nadzieję, że czekał na mnie.

– Gdybyś spojrzała na mnie w połowie tak pożądlwie jak na tego mercedesa, zabrałbym cię na górę i postarał się, żebyś już nigdy nie chciała wychodzić z mojego łóżka – powiedział Komandos, gasząc silnik porsche.

– Mercedes jest dla mnie?

– Tak.

– A łóżko... W końcu będę musiała, prawda?

– Tak – odpowiedział Komandos.

– Dlaczego ciągle dajesz mi samochody?

– Bo mnie to bawi – odparł. – I zapewnia ci bezpieczeństwo. Chcesz wiedzieć, dlaczego twoje bezpieczeństwo jest dla mnie istotną kwestią?

– Kochasz mnie?

– Tak.

Westchnęłam mimowolnie.

– Jesteśmy zdrowo popieprzeni, prawda?

– Wyjątkowo – zgodził się. Przełożył ramię za moim siedzeniem, pochylił się i mnie pocałował. A kiedy skończył, przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. I myślę, że doskonale wiedział, że właśnie przebił mercedesa.

Zaparkowałam mój nowy samochód przed agencją i weszłam do biura.

– Gdzie Lula? – zainteresowała się Connie.

– Poszła do domu się przebrać. Ta krótka spódniczka się nie sprawdziła.

– Wygląda na to, że masz nowy wóz.

– Wypożyczony od Komandosa.

– Mam nadzieję, że mu podziękowałam.

– Otworzyłam sobie rachunek – powiedziałam.

Zadzwoiła moja komórka.

– Złe wieści – odezwał się Komandos. – Goodey nie dotarł na posterunek. Dostał choroby lokomocyjnej i kiedy chłopcy zatrzymali się, żeby mu pomóc, jakoś zdołał pozbyć się kajdanek, porwał SUV-a i odjechał.

– Jaja sobie robisz.

– Chciałbym – zapewnił mnie Komandos. – Odzyskaliśmy wóz, ale po Goodeyu ani śladu.

I się rozłączył.

Na biuro padł cień, gdy słońce zostało przesłonięte ogromnym cielskiem kampera, którego Zakręt zaparkował za moim mercedesem.

– Witajcie, hobbici Primulo Jajogłowa i Ysellyro Kłujcerz – powiedział Zakręt,

wchodząc do środka. – Jakże wam się wiedzie?

Ubrany był w koszulkę z reklamą piwa, czerwone rybaczki, klapki i brązową pelerynę. Jak dla mnie wyglądał na połączenie hobbita z zawołanym palaczem zioła.

– Wiedzie się dobrze – odpowiedziałam. – A wam?

– Nam wiedzie się wspaniale. Doderick Spiętopasy był, ten, no, *mucho* pomocny z Hobbitconem.

– Doderick Spiętopasy?

– Wcześniej znany jako Vinnie – wyjaśnił Zakręt. – Gość jest genialny. Wymyślił, ten, no, tą odjazdową grę. Zarzucić Pierścień Erekcyjny na Dildo. Wszyscy fani hobbitów będą zachwyceni. Tylko jest problem z zachowaniem autentyczności. Bo hobbici są ten, no... mali i dildo musi być odpowiedniego rozmiaru.

W progu biura stanęła Lula.

– O co chodzi z dildem?

– Zakręt chce zrobić zawody w rzucaniu pierścieniem erekcyjnym na Hobbitconie i uważa, że dildo musi być w rozmiarze hobbicim.

– No, w sumie to ma sens – stwierdziła Lula. – Musisz iść do sklepu z dildami dla hobbitów.

– Sprawdziłem już w panoramie firm. *Nada* – odparł Zakręt.

– No to jest chyba przedmiot specjalistyczny – odpowiedziała Lula. – Musisz go wygooglać. Albo sprawdź na eBayu.

– Ło! – ucieszył się Zakręt. – Genialne!

– I raczej nie chcesz zostawiać swojego kampera przed biurem z Vinniem w środku – poradziła mu Connie.

– *No problemo* – uspokoił ją Zakręt. – Vinniego tam nie ma.

Zabrakło mi tchu.

– A gdzie jest?

– A nie wiem. Gościu sobie poszedł. Myślałem, że się dogadaliśmy, wiecie? I nagle patrzę, i nie ma Dodericka. Kurka, to chyba genialne, nie? Rozwiązał się jak mgła.

– Wyluzuj. Gdzie byliście, kiedy zniknął?

– W piekarni przy Nottingway. Zostawiałem ulotki na Hobbitcon i zacząłem rozmawiać z tą panią od wypieków. Mają tam ten, no, kilka megasłodkości. W każdym razie, jak wyszedłem, to posiadłość na kołach była pusta, bez gościa.

- Zostawił kartkę? Coś było przewracane? Ślady krwi?
- Nie. Nie. I nie.
- A widziałeś kogoś na parkingu? Jakież samochody?
- SUV-a, chyba, i niezły sportowy wózek.
- Ferrari?
- Taa, to chyba była corvetta.
- No to które?
- Nie wiem. Miałem tyle na głowie. Myślałem o rzucaniu pierścienia, no i właśnie przekroczyłem granice cukrowej strefy. Nie jestem pewien co do wozu. Znaczący no, ten, cały ten lukier...

Zrobiło mi się niedobrze. Próbowałam pomóc Vinniemu i wykazałam się szczytową niekompetencją! Powinnam była nalegać na kontakt z policją. Powinnam była powiedzieć Morellemu. Powinnam była poprosić Komandosa o pomoc. Powinnam była wysłać Vinniego do Miami.

- To nie wygląda najlepiej – oceniła Lula. – Słonecznik jeździ ferrari. – Popatrzyła na Zakręta. – SUV miał wgnieciony dach?
- Chyba nie.
- Nie panikujmy – powiedziała Connie. – Mnóstwo ludzi jeździ SUV-ami.
- Właśnie – poparła ją Lula. – I mnóstwo ludzi jeździ wypasionymi sportowymi wózkami, które wyglądają jak ferrari.
- Jesteś pewien, że nie ma go w kamperze? – spytałam Zakręta. – Może uciął sobie drzemkę w szafie albo coś.
- Też o tym pomyślałem – przyznał Zakręt. – Ale nie mogłem go nigdzie znaleźć.

Szesnaście

asz telefon do Marudy? – spytałam Connie.

M Connie wykręciła numer i podała mi swoje słuchawki.

– Tak? – odezwał się Mickey.

– Stephanie Plum z tej strony – przedstawiłam się. – Zastanawiałam się, czy są jakieś nowe wieści.

– Musisz powiedzieć coś więcej – odparł. – Chcesz postawić na konia? A może chcesz wiedzieć, czy Słonecznik odebrał ubezpieczenie za SUV-a? A może potrzebujesz dziwki?

– Tak naprawdę zastanawiałam się, czy słyszałeś coś na temat Vinniego.

– Ale co?

– Tak jakby... go zgubiłam.

Maruda parsknął śmiechem.

– Pierdolisz?

– Zniknął dziś po południu. Myślałam, że będziesz wiedział, czy go znowu zgarnęli.

– Nic nie słyszałem, ale z drugiej strony to nie jest tak, że mnie informują na bieżąco. Ja raczej nie bawię się z dużymi chłopcami.

– Rozumiem. Dzięki.

– Spoko – odparł Maruda. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale życzę Vinniemu, żeby się jakoś z tego wykaraskał – powiedział i się rozłączył.

– Nie wiem, co robić dalej – przyznałam się Connie. – Możemy z Lulą objechać wszystkie nieruchomości Słonecznika, ale nie sądzę, żeby tym razem gość pozwolił sobie na jakiegokolwiek ryzyko. Vinnie będzie zamknięty na cztery spusty.

– Musimy zebrać kasę – odpowiedziała Connie.

– Nie ma szans, żebyśmy zebrały taką ilość forsy – stwierdziłam stanowczo. – Nie dam rady złapać tylu NS-ów. I żaden bank nie pożyczy nam takich pieniędzy do jutra. Musimy iść na policję.

– Wiesz, ja chyba mam więcej złych wieści – mruknęła Connie. – Przeglądałam dokładnie wszystkie dokumenty dotyczące finansów biura, żeby jakoś znaleźć kasę, i Vinnie chyba wystawił złe umowy.

– Znaczy co? Podpisał umowy ze złymi ludźmi? – zapytałam.

– Nie. Podpisał umowy o kaucję z ludźmi, którzy nie istnieją. Znalazłam w jego biurze teczkę z umowami, które nigdy nie przeszły przez system. A kiedy zaczęłam sprawdzać ludzi wypuszczonych za kaucją, nie mogłam ich znaleźć, albo są martwi, albo mają po siedem lat.

– Dlaczego Vinnie miałby robić coś takiego? – zdziwiła się Lula.

– Wydaje mi się, że Vinnie zadłużył agencję i ciągnął od Wellingtona na pokrycie kosztów wymyślonych kaucji, a potem kasę oddawał Marudzie.

Lula pochyliła się ku niej.

– Że co?

– To się mogło zacząć od kilku niefortunnych zakładów i wymknęło się z rąk – mówiła Connie. – Vinnie spisywał umowy o kaucję z wymyślonymi ludźmi, oskarżonymi o wymyślone przestępstwa. Powiedział Wellingtonowi, że kaucje przepadły, bo wykupieni ludzie nie stawili się w sądzie, i kompania pokrywała straty Vinniego. Wtedy Vinnie dawał pieniądze Mickeyowi, a ten Słonecznikowi.

– To chyba nie jest legalne – oceniła Lula.

– No pewnie, że nie – potwierdziła Connie. – I ja jestem w to zamieszana. Ja odpowiadam za raporty miesięczne. Nie zwracałam uwagi. I przekazywałam te wymyślone kaucje do księgowego.

O rany.

– Możemy napaść na kilka delikatesów – zaproponowała Lula. – Jakie to może być skomplikowane?

– Musiałybyśmy obrobić mnóstwo sklepów, żeby zebrać taką kasę – uświadomiłam jej.

– Hunh – powiedziała Lula. – Masz lepszy pomysł?

– Mam. Możemy okraść Słonecznika i zapłacić mu tą kasą. Znamy dwa miejsca, w których zbiera forszę. Zakład pogrzebowy i mieszkanie Obrzyna.

Lula wytrzeszczyła oczy.

– Mieszkanie z krokodylem?

– Tak.

– Nie-e. Nie ma mowy. Nie zamierzam obrabiać mieszkania z krokodylem. Na mnie nie liczcie.

– Mam plan – zapewniłam ją.

Lula zasłoniła uszy rękoma.

– Nie chcę tego słuchać!

– Ja chcę – oznajmiła Connie.

– Najpierw zabierzemy forsz Obrzyna. Wychodzi z mieszkania wczesnym wieczorem, żeby załatwiać swoje interesy. Cała forsa z prochów będzie w jego mieszkaniu i będzie jej pilnował aligator. Ciężko powiedzieć, ile forsy Obrzyn zbiera w ciągu dnia, ale gotowa jestem się założyć, że niemało.

– A co z aligatorem? – spytała Lula.

– Ja się nim zajmę – odpowiedziałam. – Jak już załatwimy Obrzyna, pójdziemy do domu pogrzebowego. Lula wejdzie i otworzy mi tylne drzwi. Ja się schowam, poczekam, aż wszyscy wyjdą i zamkną dom na noc. Wtedy pójdę na górę i zabiorę forsz.

– Oni nie zostawią kasy luzem – zwróciła mi uwagę Lula. – Zamkną ją w sejfie. Musisz zabrać kasę, zanim ją zamkną. Trzeba jakoś wywabić tych gości z licznarni. Ja jestem dobra, ale nie aż tak dobra. Nie dadzą się złapać na moje brednie o ciasteczkach harcerek. I raczej nie dadzą się nabrać na brednie Connie o pijanej przyjaciółce.

– Śmierdziel – podsunęła Connie. – Eksplodujemy śmierdzącą bombę. Wszyscy uciekną, a Stephanie pobiegnie na górę i zgarnie pieniądze. – Odwróciła się w moją stronę. – Dam ci maskę gazową.

– A jak wyjdę z budynku? Wszyscy będą się kłębić na zewnątrz.

– Wyjdiesz tylnymi drzwiami – powiedziała Connie. – Upewnię się, że śmierdzi tam wystarczająco mocno, żeby nikt się nie kręcił w pobliżu.

Przez kilka sekund milczałyśmy wszystkie trzy, absorbując w pełni głupotę tego, co zamierzałyśmy zrobić.

– Dobrze – powiedziałam w końcu. – Zróbmy to.

– Spotkanie tutaj o siódmej.

Byłam w połowie drogi do domu, gdy zadzwoniła moja matka.

– Babcia poszła na popołudniowe czuwanie i nie mam jak jej odebrać. Twój ojciec pracuje, a ja utknęłam w korku na jedyńce. Wracam do domu z galerii i musiał być jakiś wypadek, bo wszystko jest zakorkowane. Miałam nadzieję, że może ty odbierzesz babcię z domu pogrzebowego.

– Jasne – zgodziłam się. – Odbiorę.

Gdy zaparkowałam przed domem pogrzebowym, babcia już czekała na mnie na werandzie. Miała na sobie niebieską sukienkę we wzorek i kardigan, na jednej stopie tenisówkę, na drugiej gigantycznego buta ortopedycznego. Stała nieco krzywo z powodu tego buciska. Skoczyłam, żeby jej pomóc, ale doskonale dawała sobie radę beze mnie. Łup, krok, łup, krok, łup. Schodziła ze schodów mocno wsparta na poręcz, z czarną skórzaną torebką przewieszoną przez ramię.

– No popatrz tylko – powiedziała, oglądając SUV-a. – Masz kolejny nowy samochód. Przepiękny. Komandos ci go dał?

– Tak.

– On musi mieć mnóstwo pieniędzy.

Nie miałam pojęcia, ile pieniędzy ma Komandos, ale nie był biedny. Kiedy zaczynałam z nim pracować, pod jego adresem zamieszkania mieściła się pusta działka, a teraz mieszkał w eleganckim budynku, którego był po części właścicielem. Niewyczerpane źródło czarnych samochodów pozostawało dla nas tajemnicą. I to właściwie stanowiło część problemu, jakim był Komandos. Wiele dotyczących go kwestii pozostawało tajemnicą.

Zapakowałam babcię do mercedesa i ruszyłam.

– Jak czuwanie?

– No moim zdaniem Miriam wyglądała nieźle, musieli się naprawdę postarać, biorąc pod uwagę, jak wyglądała na początku. Nie chcę źle mówić o zmarłych, ale Miriam brakowało urody. Biedactwo, pełno miała brodawek na twarzy. Jej syn się pojawił. I bratanek. No i mieli całkiem niezły wybór ciasteczek. Osobiście wolę wieczorne czuwania, ale czasem nakładają się na moje programy w telewizji.

– A jak tam stopa?

– W porządku. Zwróciłabym większą uwagę, gdybym była na wózku, ale ponoć trzeba zapłacić za wynajęcie takiego wózka, a ja już wydałam całą emeryturę. Bitsy Kurharchek ma kule i powiedziała, że może mi pożyczyć, i może rzeczywiście jutro je wezmę. Jutro będzie wielki dzień, znaczy wieczór. Burt Pickeral wreszcie umarł. Był stary jak świat, ale był superfigurą w swoim bractwie, na pewno pojawią się wszyscy inni członkowie. No i wszyscy Pickeralowie.

– Znasz Pickeralów?

– Niektórych.

– A znasz Lenny’ego?

– Nie, ale imię brzmi znajomo. To może być chłopak Ralfa. Tych Pickeralów jest cała masa.

Zatrzymałam się na światłach i wyciągnęłam teczkę Pickerala z torby, po czym zademonstrowałam babci zdjęcie Lenny’ego Pickerala, rabusia papieru toaletowego.

– Wygląda znajomo – stwierdziła babcia. – Ale wszyscy ci Pickeralowie wyglądają tak samo. Co on zrobił?

– Drobną kradzież.

– Nic interesującego, ale będę miała na niego oko – obiecała babcia.

Wjechałam na podjazd przed domem moich rodziców i doprowadziłam babcię do drzwi wejściowych.

Jakiś czas temu zmarła ciotka Morellego, Rose, i zostawiła mu dom. To piętrowy budynek z rozkładem pomieszczeń niemal identycznym jak w domu moich rodziców. Salon, jadalnia i kuchnia na parterze. Morelli dodał do tego toaletę. Trzy niewielkie sypialnie i łazienka znajdowały się na piętrze. Morelli powoli urabiał dom na swoją modłę, ale ślady cioci Rose nie zniknęły zupełnie, co moim zdaniem jest bardzo miłe. Morelli mieszka tam z wielkim kudłatym psem o imieniu Bob i prawdę powiedziawszy, stał się zaskakująco udomowionym typem... aczkolwiek udomowienie najwyraźniej nie obejmuje sypialni.

Dom Morellego jest niedaleko domu moich rodziców, wystarczy pojechać prosto do Hamilton i potem skręcić w prawo. Ja jednak zdecydowałam się pokłuczyć trochę po okolicy, przejechać Chambers i dopiero wtedy ruszyć w stronę domu Morellego. Wołałam nie zastanawiać się zbyt głęboko, dlaczego to zrobiłam. Chyba stęskniłam się za Morellim. Albo może chciałam się upewnić, że nie baluje, gdy mnie nie ma. Bez względu na to, jakie były powody, zanim się obejrzałam, już przejeżdżałam powoli obok jego domu, czując budzące się w środku pożądanie. Zielony SUV stał przy krawężniku. Joe był w domu. Mercedes toczył się powoli i właściwie decyzję, zatrzymać się czy nie, podjął moment bezwładności wozu. To i tak nie była najlepsza chwila na odwiedzinę, bo musiałabym wyjaśnić, dlaczego Komandos pożyczył mi mercedesa na wieczne nieoddanie.

Parking pod moim domem był niemalże pełny, gdy tam dotarłam. Zbliżała się pora obiadowa i wszyscy seniorzy, jak i ciężko pracujące pary mieszkające w budynku, oglądali

powtórki seriali, gotując makaron. Zaparkowałam w odległym kącie, licząc na to, że nikt tu nie wgniecie mi drzwi, i pobiegłam do budynku, a potem po schodach i prosto do mojego mieszkania. Kiedy weszłam do kuchni, Rex akurat biegał na kółku. Zatrzymał się i spojrzał na mnie, poruszając wąsikami i połyskując koralikowymi oczami. Dałam mu kawałek sera i pobiegł do swojej puszek po zupie, żeby go zjeść. I to by było na tyle, jeśli chodzi o nasze interakcje.

Zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i oliwkami i splukałam ostatnim piwem. Nie byłam pewna, czy oliwki to warzywa, czy owoce, ale były zielone, co czyniło je najbardziej zbliżoną do sałatki przekąską, na jaką zamierzałam sobie pozwolić. Chciałam wyglądać normalnie, więc nie przebrałam się w czarne ciuchy. Miałam na sobie jeansy, czerwoną koszulkę i sportowe buty, co uznałam za strój jak najbardziej odpowiedni. Miałam trochę wolnego czasu, więc użyłam eyelinera i nałożyłam na rzęsy dodatkową warstwę mascary. Poukładałam pomadki w szufladzie z kosmetykami i umyłam zęby. Położyłam się na łóżku, żeby pomyśleć, i obudziłam się gwałtownie za dwadzieścia siódma.

Złapałam torbę i dokonałam szybkiego przeglądu jej zawartości. Paralizator sygnalizował słabą baterię. Nie było sensu go zabierać. Gaz się skończył. Trzeba wyrzucić. Został mi rewolwer i butelka Pipa. Zakręciłam bębenkiem. Dwie kule. Zawsze to lepiej niż nic. I tak nie chciałam używać broni. Ale powinnam pamiętać, żeby kupić naboje.

Narzuciłam na ramiona bluzę z kapturem, zamknęłam mieszkanie i zbiegłam do samochodu. Zatrzymałam się po drodze w Gdaczącym Kubełku i kupiłam dwa gigantyczne kubełki ekstrachrupkich kawałków kurczaka. Bez sałatki.

Connie i Lula już kręciły się na chodniku. Lula trzymała pojemnik ze śmierdzielami, Connie wyrzutnię i dwie torby. Zatrzymałam się za camry należącym do Connie i uświadomiłam sobie, że będę musiała podjąć decyzję odnośnie do samochodu. Jeśli pojedziemy mercedesem, będę miała wsparcie z KomandoMan, ale też i świadków tego całego idiotycznego przedsięwzięcia. Naciskaj na wzięcie camry, pomyślałam. Lepiej nie mieć świadków. Wsiadłam z kubełkami i bipnięciem zamknęłam mercedesa.

Siedemnaście

ula ożywiła się na widok kubełków.

L – Pachnie jak ekstrachrupki kurczak – stwierdziła. – Mój ulubiony.
– Kupiłam dla Pana Dzwoneczka – powiedziałam. – Tym go odciągniemy od pieniędzy.

– Pan Dzwoneczek nie obrazi się, jak mu zabiorę kawałek – utrzymywała Lula.

– To ty go będziesz wabić tym kurczakiem – poinformowałam ją. – Chyba nie chcesz pachnieć jak ekstrachrupki kawałek.

– Masz rację – zgodziła się Lula. – Podaruję sobie tego kurczaka.

– Powinnyśmy wziąć camry – zwróciłam się do Connie. – Najmniej rzuca się w oczy.

– Zgoda – odpowiedziała Connie.

Cały sprzęt wylądował na tylnym siedzeniu razem ze mną i Connie ruszyła do mieszkania Obrzyna. Najpierw przejechała Cotter Street, zwalniając przed magazynem. Światła były pogaszone. Przed budynkiem nie stał nawet jeden wóz. Wszystko zamknięte na noc. Popatrzyłyśmy w okna Obrzyna. Ciemno. Ani śladu aktywności. Connie objechała kwartał i skręciła w alejkę. Zatrzymała się i wszystkie odetchnęłyśmy głęboko po kilka razy. Wsunęłam rewolwer za pasek jeansów i wzięłam jedną z płóciennych toreb Connie.

– Powiem wam, co powinnyśmy zrobić – zaczęłam. – Connie zostanie w samochodzie, na wypadek gdybyśmy musiały szybko się zwijać. Lula i ja wejdziemy do mieszkania. Ja zabiorę forszę, Lula zajmie Pana Dzwoneczka kurczakiem. Proste, prawda?

– Ta, o ile Pan Dzwoneczek lubi kurczaka w ekstrachrupkiej panierce – odpowiedziała Lula.

Wysiadłyśmy z Lulą z auta, pobiegłyśmy przygarbione do budynku i w górę po schodach. Znalazłam klucz, otworzyłam drzwi i wsunęłam głowę do środka.

– Halo? – zawołałam.

Nikt nie odpowiedział. Nie usłyszałam też ziewającego aligatora albo biegnącego aligatora, albo aligatora węszącego w poszukiwaniu jedzenia.

Zakradłam się ostrożnie do środka i rozejrzałam. Nigdzie nie widziałam stosów forsy, ani w kuchni na blacie, ani na stole w jadalni, ani na stoliczku przy kanapie. I nadal ani śladu aligatora, choć mieszkanie pachniało zwierzakiem. Weszłam nieco głębiej i...

zobaczyłam go. Dwumetrowy aligator siedział pośrodku pokoju, za kanapą. Oczy miał otwarte i patrzył na mnie.

– Al-l-igg-gator – szepnęłam do Luli.

– No widzę – odpowiedziała. – Gdzie chcesz sprawdzić najpierw? Mam go zaciągnąć bliżej ściany, żebyś mogła sprawdzić sypialnię?

– Ta, to niezły pomysł.

– Łap – powiedziała Lula i rzuciła kawałkiem kurczaka. Kąsek przeleciał przez pomieszczenie, uderzył w ścianę i spadł na podłogę, zostawiając po sobie wielką tłustą plamę.

Pan Dzwoneczek popatrzył w tamtą stronę, ale się nie ruszył.

– Co to za krokodyl, kurna? – oburzyła się Lula. – To jest kurczak z Gdaczącego Kubełka. Nie pozwalasz, żeby taki kurczak spadł na podłogę i sobie leżał. Jest w ekstrachrupkiej panierce.

– Rzuć jednego bliżej.

Lula rzuciła kurczakiem prosto w aligatora. Uderzył Pana Dzwoneczka w łeb i odbił się od niego. Kłap, i po kurczaku.

– Widziałaś to? – spytała Lula. – Nawet nie posmakował. Co jest nie tak z tym stworzeniem?

– Rzuć jednego metr dalej.

– Jasne. Proszę, chłopie. Skrzydełko.

Aligator poruszył się jak w zwolnionym tempie, skręcił w prawo, a potem rzucił się naprzód i KŁAP. Pa, pa, skrzydełko.

– Ło! – powiedziała Lula. – Nie podoba mi się, że on się tak umie rzucić. To jest normalnie śmiertelny rzut na taśmę.

Rzuciła nogę bliżej ściany i Pan Dzwoneczek popęzł w tamtą stronę, już szybciej. Załapał, w czym rzecz.

– Pospiesz się. Obejdź kanapę od drugiej strony – poleciała mi Lula. – Dobrze, że mamy dwa kubełki. Bo Pan Dzwoneczek raczej nie żuje dokładnie.

Obiegłam kanapę. Wpadłam do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi. Tu też nie było widać forszy. Przeszukałam komodę, szafę, zajrzałam pod łóżko. Nic. Widziałam już zebraną forsę z narkotyków, prawie zawsze jest w torbie gimnastycznej albo w plecaku. Zajrzałam do łazienki. Bardzo spartańska. Ale żadnej forszy. Otworzyłam ostrożnie drzwi i

wyrzłałam. Pan Dzwoneczek łąził za Lulą wokół kanapy. Lula rzucała kawałki kurczaka w różne strony, Pan Dzwoneczek łapał je w locie i wracał do Luli.

– Kończy mi się kurczak – zawołała. – Co mam, do cholery, zrobić, gdy skończy mi się kurczak?

– Ile ci zostało?

– Cztery kawałki.

– Spróbuj przeciągnąć go na tamtą stronę, żebym mogła wyjść z łazienki.

– Dobra, ale się pośpiesz. Nie podoba mi się, jak on na mnie patrzy.

Lula rzuciła udko przez pokój. Pan Dzwoneczek popatrzył za nim i ponownie skupił się na Luli.

– O-ho – powiedziała. – Chyba załapał, że kurczak bierze się z kubekka.

– No to rzuć cały kubek. Nie możesz mnie zostawić tu uwięzionej!

Lula gwizdnęła.

– Hej, mały. Dobry Pan Dzwoneczek. Masz tu kubek. – Lula uniosła rękę, żeby rzucić kubek, ale to Pan Dzwoneczek rzucił się ku niej. – Ja! – Lula cofnęła się gwałtownie i straciła równowagę, trafiwszy na kanapę.

Kubek wyleciał jej z dłoni, uderzył w otwarte drzwi, odbił się i spadł na podest. Pan Dzwoneczek pomknął za nim. Zjadł kubek, zjadł pozostałe trzy kawałki kurczaka i zaczął schodzić po schodach.

Ja wyskoczyłam z łazienki, Lula wstała i obie z otwartymi ustami patrzyłyśmy, jak Pan Dzwoneczek staje u dołu schodów i skręca przez podwórko w stronę camry. Connie gorączkowo zamykała okno, popatrując na nas z miną, która mówiła: „Co jest, kurwa?”. Pan Dzwoneczek dotknął nosem camry, łypnął na Connie lubieżnie i odszedł alejką.

– Nie jest dobrze – stwierdziła Lula. – Obrzyn się wścieknie, że mu wypuściłaś krokodyla.

– Nie martwię się o Obrzyna. Martwię się o psy, koty i dzieci w okolicy!

– Może powinniśmy wezwać krokodylową policję? – podsunęła Lula.

Kawałek dalej rozległ się czyjś krzyk.

– Dobra, nie musimy chyba wzywać policji – podsumowała Lula. – I Connie rozmawia przez telefon. Nie sądzę, żeby zamawiała pizzę. Musimy tu dokończyć.

– Nie mogę znaleźć tej forsy.

– Może Obrzyn zabrał ją ze sobą?

– Nie, nie tak to się załatwia.

Rozejrzałyśmy się.

– Nie ma tu zbyt wiele miejsc, w których możesz ukryć wielką torbę z forszą – stwierdziła Lula.

– Kanapa – podsunęłam. – Pan Dzwoneczek zawsze czaił się przy kanapie.

Ściągnęłyśmy poduchy. Nic.

– Pomóż mi ją podnieść – poprosiłam Lulę.

Podniosłyśmy kanapę. Pod nią była duża płócienna torba, zamknięta na zamek błyskawiczny. Obrzyn wyciął część kanapy. Wyciągnęłam torbę i zajrzałam do środka. Mnóstwo pieniędzy.

Z alejki dobiegł nas dźwięk klaksonu. Connie dawała nam znać, że czas opuścić mieszkanie.

– Skończyłyśmy tutaj – powiedziałam do Luli. – Idziemy.

– No, słyszę syreny. To pewnie krokodyłowa policja.

Popędziłam do drzwi, sfrunęłam po schodach i wskoczyłam do camry, niemal równocześnie z Lulą. Connie ruszyła alejką i na chwilę przed tym, jak wyjechałyśmy w ulicę, minęłyśmy Pana Dzwoneczka. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dokąd idzie.

Connie wzdrygnęła się odruchowo. Ja przygryzłam dolną wargę. A Lula wyjęła z torebki nawilżaną chusteczkę i wytarła dłonie z tłuszczu.

– Poszło nieźle – podsumowała.

– Wypuściłyśmy aligatora luzem! – przypomniałam jej.

– No tak, ale poza tym poszło nieźle.

– Zadzwońiłaś do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami? – spytałam Connie.

– Tak. Powinni się tu zjawić lada chwila. – Connie skreśliła w Cotter. – Ile zdobyłyśmy forsy?

Przegarnęłam zawartość torby.

– Na oko jakieś sto tysięcy. Może więcej.

– To mnóstwo forsy – oceniał Lula – ale wciąż nie dość.

– W domu pogrzebowym powinno być więcej – stwierdziła Connie. – Tam jest główny punkt zbiórki.

Pochyliłam się, żeby włożyć głowę między kolana. Nie nadawałam się do tego. Moja matka miała rację. Potrzebowałam miłej, nudnej pracy w fabryce środków higieny

osobistej. Może powinnam przestać być łowcą nagród i wyjść za Morellego. No Morelli nie był akurat pewny, czy chce mnie poślubić, ale byłabym w stanie skłonić go do zmiany zdania. Mogłabym iść do niego ubrana w czerwone stringi i właściwe podejście i wykorzystać moment jego słabości. I wzięlibyśmy ślub, od razu, zanimby zmienił zdanie. I znając Morellego, zaraz zaszłabym w ciążę. I to byłby chłopczyk.

– Ale nie dam mu na imię Joseph – powiedziałam. – To by było zbyt mylące.

– Komu? – zainteresowała się Lula.

– Powiedziałam to głośno? – spytałam.

– Ta. I o czym ty, kurna, gadasz?

– Nieważne.

– Powiem ci, co jest ważne w takim razie – oznajmiła Lula. – Kurczak smażony w głębokim tłuszczu. Nie mogę przestać o nim myśleć od chwili, gdy musiałam patrzeć, jak Pan Dzwoneczek zjada te wszystkie ekstrachrupkie kawałki. Uważam, że musimy zatrzymać się w Gdaczącym Kubełku, jak będziemy jechać przez miasto.

– Zatrzymamy się, jak będziemy wracać – postanowiła Connie. – Jak nie pojedziemy do domu pogrzebowego od razu, to już się nie zbiorę na odwagę.

– No niby tak, ale to jest złe nastawienie – zaoponowała Lula. – To odkładanie przyjemności na później, a jak odkładasz, to możesz już się nie doczekać tej przyjemności. Na przykład możemy zostać postrzelone albo aresztowane, albo coś i nie będziemy mogły pojechać do Kubełka. Rozumiesz? Jak na przykład możemy zginąć i już nigdy nie zjemy kurczaka w ekstrachrupkiej panierce. I to tylko dlatego, że zdecydowałyśmy się obrabować jakiegoś świrniętego dealera najpierw, zanim pojedziemy do Kubełka.

Miałam głowę między kolanami. Nie chciałam umierać ani iść do więzienia. Postanowiłam, że jeśli wyjdę z tego cało, to pojedę prosto do Komandosa, rozbiore go do naga i wycisnę z niego przyjemność do ostatniej kropelki. A potem wyjdę za Morellego. Gdzieś w głębi mojego spowitego mgłą paniki umysłu błyskała informacja, że w moim rozumowaniu tkwi błąd, ale nie mogłam go sobie do końca uświadomić, zapewne z powodu tych wszystkich mdłości i problemów z oddychaniem.

– Nic ci nie jest? – spytała mnie Connie. – Nie widzę cię w lusterku. Gdzie jesteś?

– Zawiążuję buta.

– Jesteśmy niemal na miejscu. Najpierw pojedę od strony ulicy, żebyśmy mogły się zorientować, co i jak, i wysadzić Lulę. Potem pojedę od tyłu i zaparkuję. Lula otworzy

tylne drzwi i zapewni osłonę, kiedy Stephanie będzie szukała kryjówki. Stephanie założy maskę i poczeka na mój sygnał: droga wolna.

– A jak wrzucimy śmierdzącą bombę do środka, skoro tam są wszystkie okna zakratowane? – chciała wiedzieć Lula.

– Mam trzy słoiki śmierdziela w płynie – wyjaśniła Connie. – Będziesz musiała opróżnić je w strategicznych miejscach i szybko wyjść, zanim zwymiotujesz.

– Spoko. Dam radę – oznajmiła Lula.

– Musisz zakraść się na górę i jeden słoik podłożyć pod drzwiami licznarni – pouczyła ją Connie. – Drugi przy tylnym wyjściu, a trzeci przy frontowym. Postaraj się tylko nie na nieboszczyku. Zabrałam wyrzutnię jedynie jako wyjście awaryjne. Nie chcemy, żeby Słonecznik pomyślał, że został zaatakowany.

Dom pogrzebowy zdawał się pracować jak zawsze. Kilku mężczyzn w czarnych garniturach stało przed głównym wejściem. Palili papierosy i rozmawiali cicho. Wzdłuż ulicy parkowało kilka samochodów. Wysadziłyśmy Lulę za rogiem i podałam jej płócienną torbę z trzema słoikami.

– Powodzenia – powiedziałam. – Będę czekać na ciebie z tyłu.

Lula ruszyła chodnikiem, a Connie skręciła w alejkę i zaparkowała przy śmietniku. Na niewielkim parkingu stało ferrari Słonecznika, a obok dodge minivan. Wzięłam większą torbę z maską gazową i ustawiłam się przy tylnym wyjściu z domu pogrzebowego. Żołądek kurczył mi się nerwowo, ale byłam skupiona. Zrób, co masz zrobić, myślałam. Ukradnij forszę. Oddaj ją. Ocal żałosny tyłek Vinniego. Zrób zakupy. Zaczęłam układać listę. Mleko, chleb, sok pomarańczowy, piwo, jabłko dla Reksa, papier toaletowy, kule.

Drzwi skrzypnęły i wyrzała zza nich Lula.

– Czas na przedstawienie – powiedziała. – Według mnie najlepsze miejsce na kryjówkę to piwnica. Możesz stanąć na schodach. Tylko upewnij się, że masz maskę, bo zamierzam tam podrzucić śmierdziela.

Lula zatrzymała się pośrodku korytarza, zasłaniając mnie przed wzrokiem żałobników, a ja przemknęłam się do drzwi prowadzących do piwnicy i zesłam dwa stopnie w dół. Lula zamknęła za mną drzwi i znalazłam się w całkowitej ciemności.

Dobrze, że nie mam klaustrofobii, pomyślałam. Albo lęku przed ciemnością. No dobra. Może odrobinę męczyła mnie klaustrofobia i lęk przed ciemnością, ale mogłam sobie z tym poradzić. To właśnie różni mężczyzn od dziewczyn, prawda? Dziewczyny dają radę.

Usłyszałam odgłosy stłumionej rozmowy, płynące z korytarza w części ogólnodostępnej. Założyłam maskę i poprawiłam paski. Ciężko mi było uwierzyć, że potrzebuję maski na śmierdziela. Niby jak bardzo mogła śmierdzieć taka bomba? W dłoni miałam telefon i czekałam na sygnał od Connie. Sprawdziłam czas. Minęło pięć minut. Rozmowy nagle stały się głośniejsze, korytarz wypełnił się ludźmi, przepychali się, uderzali w drzwi piwnicy, dławili się i wrzeszczeli, próbując wydostać się jak najszybciej. Minęło kilka minut i mój telefon zawibrował SMS-em od Connie.

IDŹ!

Otworzyłam drzwi piwnicy. Korytarz był pusty. Nie zawiedźcie mnie, poprosiłam swoje nogi. Pomknęłam ku schodom i w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wpadłam do licznarni. Na stole leżało mnóstwo pieniędzy. Paczki banknotów obwiązane gumkami. Nigdy w życiu nie widziałam takiej kupy pieniędzy. Moja torba była spora, ale nie miałam szans wszystkiego do niej załadować. Niedaleko stołu leżała duża torba gimnastyczna. Wypełniłam ją po brzegi i jeszcze kilka paczek zostało. Wepchnęłam je sobie za spodnie i do stanika i pogałam po schodach, dźwigając obie torby. Przebiegłam korytarz i stanęłam pod tylnymi drzwiami. Pomodliłam się szybko i otworzyłam drzwi. Za nimi stała Connie w masce gazowej.

Złapała mnie za ramię i szarpnęła.

– Biegiem – rozkazała. – Od przodu podjechała straż pożarna. Druga jest tuż za rogiem. A kilku mięśniaków Słonecznika właśnie przyjechało w kombinezonach, jakich używa się przy skażeniu.

Lula siedziała w samochodzie z zapalonym silnikiem.

Wskoczyłyśmy do środka i Lula nacisnęła na gaz.

Osiemnaście

darłam maskę i odetchnęłam głęboko.

Z – Ło-ho – jęknęłam. – Co tu tak cuchnie?!
– Ty – poinformowała mnie Connie. – Przesiąknęłaś śmierdzielem.
– To straszne! Śmierdzi jak rzygowiny i bardzo, bardzo zepsuty ser.
– Taa – przyznała Connie. – To była niezła partia.

Lula otworzyła okno.

– Oczy mi łzawią. I tracę apetyt na tego kurczaka. Obie torby są pełne forsy?

– Tak. – Wyciągnęłam paczki zza spodni i stanika i wręczyłam Connie. – Nie mam pojęcia, ile tego tu jest. Nie miałam czasu sprawdzać. Wepchnęłam wszystko do toreb i uciekłam. No i trafiłam na dobry moment. Sejf był otwarty, ale pusty. Albo chcieli w nim pieniądze zamknąć, albo przenieść w inne miejsce.

– Nie wierzę, że to zrobiliśmy – powiedziała Lula. – Totalnie wyjebane. Normalnie czad. I chyba nawet nikt za nami nie jedzie.

Obie z Connie odwróciłyśmy się, żeby się upewnić.

– Chyba nam się udało – stwierdziła Connie.

I zachichotała. A potem Lula zachichotała. To było dosyć dziwne, bo właściwie nie chichoczemy, ale faceci plują i drapią się po jajach, i przybijają sobie piątki, kiedy uda im się wyjść cało z jakiegoś gówna... a kobiety chichoczą. Nie wiem, co gorsze. Ale właściwie to cieszę się, że nie mam skłonności do publicznego drapania się w miejscach intymnych.

– Jesteśmy dobre – oceniła Lula. – Ilu dupom udałoby się ukraść taką forszę? Mówię wam, to jest nasza przyszła kariera. Mogłybyśmy zostać trzema muszkieterami.

– Chyba muszkieterami – poprawiłam ją.

– Wszystko jedno. Możemy wymyślić sobie jakieś odjazdowe imię i robić skoki i przekręty. Tylko następnym razem musimy zamówić taksówkę dla Stephanie, żeby nie zasmrodziła wozu. Dobrze, że nie jedziemy firebirdem.

– Nic nie poradzę – odpowiedziałam. – Musiałam zostać w budynku. A skoro już o tym mówimy, to ty też nie pachniesz różami.

– Ja? – obruszyła się Lula. – Mówisz mi, że śmierdzę?

– No.

Connie obrzuciła Lulę spojrzeniem z ukosa.

– Ona ma rację. Cuchniesz.

– No może wylało mi się trochę na buty – ustąpiła Lula. – Napełniłaś po prostu stare słoiki po oliwkach i słabo się z nich lało. Następnym razem zainwestuj w naczynie z dzióbkiem.

– Nie chcę nawet słyszeć o następnym razie – powiedziałam. – Kończę swoją karierę kryminalisty i przechodzę na emeryturę.

– Ale jesteśmy naprawdę dobre – obstawała Lula. – Założę się, że jesteśmy milionerkami.

– Na pół dnia. Jutro forsa wraca do Słonecznika – przypomniałam jej.

– A. No tak. Na chwilę zapomniałam – stwierdziła Lula. – Na pewno chcemy to robić? Za te pieniądze mogłabym kupić dużo nieśmierdzących butów.

Zapadło milczenie, gdy ta koncepcja unosiła się w wozie. Zatrzymanie pieniędzy było kuszącą opcją. Gdybyśmy je miały, nie potrzebowałybyśmy ani Vinniego, ani agencji. Niestety, była jeszcze babka Plum i ciocia Mim. Że nie wspomnę o dręczącej potrzebie postąpienia słusznie i obawie przed tym, co Bóg ze mną zrobi, jeśli nie postąpię.

Lula podjechała pod okienko dla kierowców w Gdaczącym Kubełku i kupiłyśmy sobie wielki kubeł kurczaka w ekstrachrupkiej panierce z potrójną sałatką colesław i herbatnikami.

– I gdzie teraz? – chciała wiedzieć Lula.

– Do biura – zarządziła Connie. – Musimy policzyć tę forszę. Zaparkuj samochód na tyłach.

Za biurem była alejka i parking na kilka wozów. Tylne drzwi prowadziły do naszego magazynu, dalej natomiast stała kartoteka. Można było się niepostrzeżenie przemknąć tylnym wejściem, o ile oczywiście nie wchodziło się do pomieszczenia frontowego, gdzie straż trzymała Connie. Vinnie zawsze zakradał się od tyłu, bo zawsze się przed kimś ukrywał. Nie płacił swoich rachunków na czas. Zabawiał się z mężatkami. I randkował ze zwierzętami hodowlanymi.

Lula zaparkowała samochód Connie i we trzy wyciągnęłyśmy kurczaka, forszę i cały asortyment broni, po czym zamknęłyśmy za sobą tylne drzwi.

– Zabierzcie to wszystko do gabinetu Vinniego – zdecydowała Connie. – Tam nie ma

okien.

Uprzątnęłam biurko Vinniego i zwaliłam pieniądze.

– Musimy mieć jakiś system – stwierdziła Connie, częstując się ekstrachrupkim, bliżej nieokreślonym kawałkiem kurczaka. – Najpierw podzielmy forszę w zależności od nominału. Dwudziestki tu do kąta. Setki przy biurku. Układajcie na ziemi. Potem obwiążemy je gumkami tak, żeby w każdej paczce była taka sama kwota.

Dwie godziny i kubek kurczaka później miałyśmy górę forsy popaczkowaną, ułożoną i przeliczoną.

– Ostatnio kwota okupu wynosiła milion trzysta – przypomniała nam Connie. – Tu mamy trochę ponad milion dwieście.

– W normalnych warunkach Słonecznik byłby skłonny dobić targu – powiedziała Lula. – Ale właśnie został obrabowany i pewnie jest w paskudnym humorze.

– Zadzwoń do niego jutro – odparła Connie. – Nie wyobrażam sobie, że nie zgodzi się wziąć miliona dwieście.

Popatrzyłam na stos pieniędzy na biurku Vinniego.

– A co z tym zrobimy do jutra? Do sejfu Vinniego się nie zmieści.

– Do sejfu włożymy banknoty z najwyższym nominałem – postanowiła Connie. – Resztę możemy na razie ukryć pod biurkiem. Zamknę gabinet i włączę alarm, jak będziemy wychodzić.

Po drodze do domu wstąpiłam do całodobowego marketu i kupiłam wszystko, co sobie zaplanowałam, poza kulami. Zaparkowałam przed domem, wzięłam torby z zakupami z tylnego siedzenia, odwróciłam się i wpadłam na bardzo twardego faceta. Morelli.

– Jezu! – jęknęłam. – Wystraszyłeś mnie na śmierć. Nie podkradaj się tak do mnie.

– Nie podkradałem się. Zaparkowałaś obok i nawet nie zauważyłaś.

– Mam dużo na głowie.

– Chcesz się podzielić?

Zatrzymałam się na minutę, tuląc torby do siebie i rozważając jego propozycję.

– Nie – zdecydowałam. – Nie mogę.

– Fatalnie pachniesz – oznajmił. – Jak śmierdząca bomba.

– Bzdura.

– A gdzie byłaś?

– Z Lulą i Connie na obiedzie.

– Ktoś podłożył śmierdziela w domu pogrzebowym Bobby’ego Słonecznika – poinformował mnie Morelli.

– No i?

– No i jedyną znaną mi osobą, która jest w stanie wyprodukować bombę o takiej sile rażenia, jest Connie. Chodziłem z nią do szkoły. Była sławna.

– A dlaczego Connie miałyby podkładać śmierzącą bombę w domu pogrzebowym Słonecznika?

– Ty mi powiedz.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, zanim nie odwróciłam wzroku.

– Nie wiem – powiedziałam.

Morelli wziął ode mnie torby i ruszył w stronę wejścia do budynku.

– To jest łgarstwo.

– To jest moja wersja wydarzeń – poprawiłam go. – I zamierzam przy niej obstawać. Przytrzymał mi drzwi, a potem poszedł za mną do windy.

– To mógłby być naprawdę romantyczny moment. Gdybyś lepiej pachniała – powiedział. Nie chciało mi się wierzyć, że zapach był w stanie osłabić libido Morellego. Od czasu gdy zostałam łowcą nagród, śmierdziałam psią kupą, śmieciami, wysadzonym domem pogrzebowym i małpą. Jakoś nie wierzyłam, żeby śmierdziel był gorszy. Drzwi windy się otworzyły i Morelli wysiadł za mną.

– Wiesz, czego nie mogę zrozumieć? – zaczął. – Znam smród bomb Connie i definitywnie śmierdzisz jak jedna z nich, ale w tym wszystkim jest też nuta kurczaka.

– Gdaczący Kubełek – wyjaśniłam. – Ekstrachrupki.

Morelli zatrzymał się pośrodku korytarza.

– O mój Boże. To ty wypuściłaś Pana Dzwoneczka.

Włożyłam klucz do zamka i otworzyłam drzwi.

– To nie byłam ja. Przysięgam.

Morelli odstawił torby na kuchenny blat i poczęstował się piwem.

– Lula?

– Nic nie mówię. Komuś się coś stało? Jakies psy i koty zostały zjedzone?

Morelli popił piwa.

– Nie. Pan Dzwoneczek został ujęty bez przeszkód. Obrzyn dostał mandat, a policjanci,

którzy mu go wręczyli, powiedzieli, że drzwi były otwarte, wszędzie w mieszkaniu pełno było tłustych plam i pachniało kurczakiem smażonym w głębokim tłuszczu. I aligatorem.

– Kto by pomyślał – mruknęłam.

Morelli oparł się o blat.

– Chyba nie mam szans przekonać cię, żebyś wzięła prysznic?

– Nie trzeba mnie przekonywać. Sama nie mogę siebie znieść. Zamierzam wziąć prysznic i wywalić te ciuchy. Natomiast to, co nastąpi po prysznicu, to już będzie przedmiotem twardych negocjacji.

– Moja specjalność – odparł Morelli. – Może nawet zacznę twardo negocjować, kiedy będziesz pod prysznicem.

– A ja myślałam, że chcesz się umawiać na randki z innymi kobietami.

– Nie chcę umawiać się na randki z innymi kobietami. W ogniu walki zdecydowaliśmy, że nie jesteśmy ze sobą na wyłączność.

– I że mogę umawiać się na randki z innymi mężczyznami.

Morelli zaczynał sprawiać wrażenie zirytowanego.

– I umawiałaś się z innymi?

– Może.

– Wszystko jedno, póki to nie jest Komandos – powiedział Morelli.

– Komandos chyba nie chodzi na randki.

Sam pomysł, że Komandos miałby umawiać się na randki, wydał mi się dziwny. Widziałam go w barach, jak śledził NS-ów, czasami jadałam z nim obiady, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że umawia się z kobietą na randkę. Podejrzywałam, że miał swoją niedługą listę chętnych kobiet, które mu nijak nie zagrażały i które odwiedzał, gdy naszedł go nastrój.

– Wszystko jedno, co robi Komandos, nie chcę, żeby robił to z tobą – oświadczył Morelli. – To świr. I jest niebezpieczny.

– Teraz jest już łagodny. Został businessmanem – odpowiedziałam.

Morelli wyjrzał przez okno w kierunku czarnego mercedesa.

– Wiesz, skąd bierze te wozy?

– Nie. A ty?

– Też nie. Ale wątpię, że z legalnego źródła.

Nie byłam nawet pewna, czy to było jakieś ludzkie źródło. Miało się wrażenie, że te

samochody są teleportowane skądś z kosmosu.

– Kłócimy się? – spytałam Morellego.

– Nie, dyskutujemy.

– Jesteś pewien?

– Czy wrzeszczę? – zapytał Morelli. – Czy jestem czerwony na twarzy? Czy żyły mi wyszły na szyi?? Macham rękami?

– Nie.

– No to się nie kłócimy.

Zdjęłam buty i zaczęłam ściągać skarpety.

– Miałeś dziś służbę?

– Nie.

– To skąd wiesz o Panu Dzwoneczku i domu pogrzebowym?

– Poszedłem na pizzę i wpadłem na Eddiego, akurat skończył służbę. Pomagał zapakować Pana Dzwoneczka do furgonetki.

Eddie Gazarra jest policjantem mundurowym, ożenionym z moją kuzynką Shirley Beksą. To miły gość o jasnych włosach ostrzyżonych na wojskową modłę i zbyt długim języku.

Rozpięłam spodnie.

– Muszę pozbyć się tych skażonych ciuchów. Nie chcę ich w sypialni. Będziesz tak stał i patrzył, jak się rozbieram?

Jego brązowe oczy stały się teraz niemal zupełnie czarne.

– Taa. Będę patrzył, jak się rozbierasz. A potem jak bierzesz prysznic. A potem osobiście wytrę cię ręcznikiem.

O rany. O rany!

Zdjęłam jeansy i telefon Morellego zaczął dzwonić. Ale Joe ani na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku. Nie odebrał telefonu. Nie sprawdził wyświetlacza. Telefon dzwonił dalej.

– Twój telefon – powiedziałam.

– Przestanie.

Na chwilę nastąpiła cisza. A potem telefon zawibrował wiadomością i niemal natychmiast jeszcze raz.

– Zobacz, najwyraźniej będziesz musiał – powiedziałam.

Morelli zerknął na telefon.

– Mam wiadomość od dyspozytora i od mojego szefa. – Wybrał numer i czekał ze słuchawką przy uchu. – Tak? – powiedział, gdy ktoś po drugiej stronie odebrał.

Jego spojrzenie skupiło się na fragmencie podłogi, już nie na mnie. Słuchał przez minutę, dopiero wtedy podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Już jadę – powiedział i wsunął telefon do kieszeni.

– No i? – zapytałam.

– Muszę iść. Właśnie znaleźli dwóch gości w garniakach na parkingu Regal Diner. Leżeli za śmietnikiem, w części parkingu zarezerwowanej dla personelu restauracji. Mieli związane ręce. Każdy dostał kulkę w tył głowy.

– Egzekucja.

– Tak.

– Zidentyfikowaliście ich?

– Nie mogę powiedzieć. Ale Komandos monitoruje nasze kanały, z pewnością możesz dowiedzieć się od niego. Ja powiem ci tylko tyle, że nie był to nikt z sąsiedztwa.

– Rany, to niedobrze – powiedziałam. – Zamierzałam być wyjątkowo seksowna po tym prysznicu.

– To podłe – stwierdził Morelli. – To ty powiedziałaś mi, żebym przeczytał wiadomość.

– Zrobił krok w moją stronę i zaraz się cofnął. – Pocałowałbym cię, ale śmierdzisz jak moja torba z siłowni.

Zamknęłam drzwi za Morellem, ściągnęłam resztę ciuchów i wrzuciłam do worka na śmieci. Popryskalam buty dezodorantem, licząc, że to coś da. Wzięłam prysznic i umyłam włosy dwa razy. W końcu założyłam koszulkę, bokserki i zadzwoniłam do Komandosa.

– Słonko.

– Kim byli ci dwaj goście w garniakach za śmietnikiem Regal Diner?

– Victor Kulik i Walter Dunne. Dwóch prawników, specjalistów od fuzji i pozyskiwań, pracowali dla firmy inwestycyjnej. Tej samej, która odkupiła agencję od Harry'ego. Wellington Company.

– Dzięki.

– Ukradłaś pieniądze Słonecznikowi, żeby wykupić Vinniego, prawda?

– Że niby ja?

– Każdy inny zastrzeliłby tego aligatora – stwierdził Komandos.

– Skąd wiesz?

- Wiem wszystko.
- I jesteś skromny.
- Nie. Nie jestem – zaprzeczył Komandos i się rozłączył.

Dziewiętnaście

Zazwyczaj rano się spieszę, a lodówkę mam pustą, w związku z tym śniadanie jem, jakie i gdzie się trafi. Ale tego ranka miałam mnóstwo jedzenia, bo w nocy zrobiłam zakupy, napiłam się więc soku pomarańczowego, kawy i zjadłam miskę płatków ryżowych. Dałam Reksowi kawałek jabłka, trochę chemicznych chrupek i świeżej wody. Sprawdziłam e-mail, podkreśliłam oczy cienkimi kreskami czerni i przyciemniłam rzęsy mascarą. Moje buty nadal nieco śmierdziały, ale na szczęście znajdowały się dość daleko od nosa.

Zeszłej nocy wyjęłam szczęśliwą butelkę z torby i postawiłam na blacie w kuchni. Jeśli miałabym być tak do końca uczciwa, to jakoś nie zachwyciła mnie ta cała butelka. I nie byłam pewna, dlaczego wujek Pip zostawił ją akurat mnie. Lubiłam go, ale nie byłam z nim związana bardziej niż inni krewni. Dlaczego mnie wyróżnił swoją szczęśliwą butelką, pozostawało dla mnie tajemnicą. Wydało mi się, że coś usłyszałam, gdy nią potrząsnęłam. Ale był to zaledwie cień dźwięku. Ciężko było stwierdzić, czy butelka przynosiła mi szczęście. Nie zostałam stratowana przez spłoszone krowy, zjedzona przez aligatora czy postrzelona w trakcie rabowania domu pogrzebowego, więc może jednak działała.

Wstawiłam naczynia do zlewu, kazałam Reksowi być grzecznym chomikiem i ruszyłam do domu moich rodziców z workiem na śmieci pełnym ciuchów skażonych bombą Connie. W piwnicy mojego budynku są pralki i suszarki, ale jestem przekonana, że trolle również.

Gdy weszłam do domu, babcia siedziała z nogą na taborecie.

– Jak stopa? – spytałam od razu.

– To wrzód na końcu pleców. Zmęczyłam się słuchaniem tego „łup, łup, łup”. Pół godziny trwa, zanim wejść po schodach. I boli, kiedy za dużo chodzę, więc siedzę i szaleństwo mnie od tego ogarnia. Nie jestem przyzwyczajona do ciągłego siedzenia. – Pochyliła się i powęszyła chwilę. – Jasny gwint, komu się wyrwało? Co to za smród?

Podniosłam worek z ciuchami.

– Moje ubrania były w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Potrzebują prania.

– Zostaw je na werandzie – poleciała moja matka. – Później się nimi zajmę.

– Mamy babkę – zaproponowała babcia Mazurowa. – I kiełbaski śniadaniowe w

lodówce.

– Dzięki – odparłam. – Ale już jadłam śniadanie.

Matka i babcia patrzyły na mnie zaskoczone.

– Jadłaś śniadanie? – powtórzyła matka. – A myślałam, że zerwałaś z Josephem.

Morelli nie jest wprawdzie Marthą Stewart, ale wszyscy wiedzą, że jest lepiej zorganizowany ode mnie. Kiedy byliśmy parą, to po nocy spędzonej u niego jedliśmy śniadanie przy małym kuchennym stole. Czasami były to resztki pizzy, a czasem zamrożony gofr. I Morelli zawsze stawiał kawę, bo zawsze wstawał pierwszy. Jego kuchnia wygląda niemal tak samo jak kuchnia mojej mamy, ale robi zupełnie inne wrażenie. Morelli polakierował drewnianą podłogę i wstawił nowe szafki. Kuchnia jest przyjemnie oświetlona, a większość blatów pozostaje pusta. Kuchnia mojej mamy nie zmieniła się od czasów, gdy byłam dzieckiem. Pojawiło się kilka nowych elementów AGD, nowe firanki w oknie i tyle. Podłogę pokrywa wykładzina, blaty są z formiki. Szafki z klonu. I kuchnia pachnie kawą, szarlotką i bekonem, nawet wtedy, gdy nikt w niej nie gotuje.

– Zjadłam śniadanie w domu – wyjaśniłam.

– Jesteś w ciąży? – spytała babcia. – Czasami kobiety robią najdziwniejsze rzeczy, kiedy są w ciąży.

– Nie jestem w ciąży! Poszłam na zakupy i zjadłam płatki ryżowe, i popiłam sokiem pomarańczowym. Śniadanie jadłam w domu. Jezu. Jakby mi się to nigdy nie zdarzało.

– Masz tylko jeden garnek – wytknęła mi babcia.

– Miałam więcej, ale zniszczyły się, gdy piecyk stanął w ogniu. – Wystawiłam worek z ciuchami na ganek i usiadłam przy stole z babcią. – Może jeden kawałek babki.

Dwa kawałki babki i dwa kubki kawy później odsunęłam krzesło i wstałam.

– Muszę poprosić Lulę, żeby pomogła mi ozdobić ten wielki czarny but – oświadczyła babcia. – Potrzebuję brokatu i kryształków. Lula ma dryg do mody.

Dziesięć minut później próbowałam znaleźć miejsce parkingowe przed biurem, ale przy krawężniku stał samochód za samochodem, gdzieś tam nawet zaparkowane podwójnie, niektóre pod kątem. Rodzinne samochody mam, wraki, stuningowane cadillaki, civiki i F150-ki. Przed antykwariatem stał kamper Zakręta, a na chodniku kłębił się tłum ludzi. Z ulicy ciężko było dostrzec, co tam się właściwie dzieje. I wtedy zobaczyłam znak. WYPRZEDAŻ CHODNIKOWA.

Zaparkowałam jakieś pół kwartału dalej i wróciłam do miejsca, gdzie Lula kierowała ruchem pieszych.

– Jeśli szukacie oryginalnych kajdanek pierwszej klasy, wystarczy, że podejście do stołu z numerem trzy – wołała. – Możecie się nieźle zabawić z tymi kajdankami. Doskonale nadają się, żeby je przypiąć do zagłówka. Broń przy stoliku numer sześć. Mamy naprawdę szeroki wybór. Artykuły gospodarstwa domowego i biżuteria w środku.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Wyprzedaż – odparła Lula. – Słonecznik nie chce negocjować, więc wyprzedajemy wszystko, co się da. Chcesz kosiarkę? Kosztuje grosze.

– Nie mam trawnika.

– A tak. Zapomniałam.

– A gdzie jest Connie?

– W środku. Obsługuje płacących kartami kredytowymi. Tutaj sprzedajemy tylko za gotówkę.

Lula miała na sobie satynowe pantofle na dziesięciocentymetrowym obcasie, ozdobione kolorowym brokatem, elastyczną, fioletową mini i top na ramiączkach w kolorze gold metallic. W roli dodatków występował karabin TAR-21.

– O co chodzi z tym karabinem? – zapytałam.

– Na wypadek gdyby ktoś zachowywał się niestosownie.

Podszedł do niej wielki łysy facet w tank topie damskiego boksera i spodniach moro.

– Hej, Lula.

– Hej, człowieku – odpowiedziała.

– Potrzebuję broni. Te tutaj są legalne?

– A mają być?

– Nie, kurna, po co mi legalna broń?

– Nie wiem, ale te cacka tutaj są dokładnie takie, jakie chcesz. Tylko za gotówkę.

Przeczisnęłam się przez tłum, do Connie.

– Co jest grane? – spytałam.

Connie cofnęła się nieco, odsuwając się od kobiety oglądającej gofrownicę.

– Słonecznik nie chce się dogadywać. Chce całej kwoty. Dlatego wymyśliłyśmy z Lula tę wyprzedaż. Te rzeczy dostaliśmy jako zabezpieczenia kaucji i nikt się po to nie zgłosił. Tylko zajmują miejsce, doszłyśmy więc do wniosku, że to sprzedamy.

- Tam na zewnątrz Lula sprzedaje broń!
- To świetnie – ucieszyła się Connie. – To są drogie przedmioty.
- Wydaje mi się, że nie można tak sprzedawać broni.

Connie wyrzała przez frontowe okno.

- W porządku – uspokoiła mnie. – Ten gość to glina.
- Ile kosztuje ten serwis w różyczki? – zapytała jakaś kobieta.
- Dwadzieścia dolarów.

Druga kobieta łokciami utorowała sobie drogę do nas.

- Moment. To mój serwis. Dałam go wam, żeby mój bratanek wyszedł z więzienia.

Connie zerknęła na naklejkę po drugiej stronie talerza.

- Mamy ten serwis od półtora roku.
- To bez znaczenia. Należy do mnie.
- A gdzie jest pani bratanek? – spytała Connie.
- W Tennessee.

Pierwsza kobieta dała Connie dwudziestkę i zaczęła pakować talerze.

- Policja! – wrzasnęła druga. – Tu kradną!

Nadbiegła Lula z karabinem.

- Ktoś mówił o kradzieży?
- To nieporozumienie – uspokoiłam ją. – Nie zastrzel nikogo.

– To nie było żadne nieporozumienie – wtrąciła się ta druga kobieta. – To są moje talerze. Ta staruszka zamierzała wyjść z moimi talerzami.

– Staruszka? Wypraszam sobie – oburzyła się ta pierwsza. – Z pani też żadna młódka. A serwis jest mój, zobaczyłam go pierwsza.

Obie chwyciły za talerz, stojąc nos w nos ze zmrużonymi gniewnie oczami.

Podszedł do nich Zakręt z talerzem brownie.

– Panie, poczęstujcie się brownie Zakręconego Człowieka. Sprzedajemy je tam z przodu, ale to są darmowe próbki. Sam je zrobiłem, w mojej własnej eksperymentalnej kuchni w Autobusie Miłości.

Wszyscy zrobiliśmy sobie chwilę przerwy, żeby Lula i tamte dwie kobiety mogły zjeść po ciastku.

- To naprawdę dobre brownie – stwierdziła Lula. – Mają jakoś dobrego pączka.
- Zmieniłam zdanie – powiedziała kobieta numer jeden. – Nie chcę serwisu. Kupuję

brownie.

– Ja też nie chcę tych talerzy – powiedziała kobieta numer dwa. – I tak ich nigdy nie lubiałam.

Lula wzięła sobie jeszcze jedno brownie i poszła patrolować chodnik.

– Jak tak dalej będzie jadła te ciastka, będziemy musiały odebrać jej kluczyki od wozu – stwierdziła Connie. – Nie wiem, co jest w tych brownie Zakręta, ale głowę daję, że w sześćdziesięciu procentach substancje kontrolowane.

– Dziwię się, że Słonecznik nie wziął tego, co chciałaś zapłacić za Vinniego.

– Był w paskudnym nastroju. Powiedział, że mam szczęście, że zatrzymał się na milionie trzystu. I mamy czas do jutra rano, do dziewiątej.

– Ustalałaś z nim, jak ma dojść do tej wymiany?

– Nie. Nie chciał rozmawiać. Był naprawdę zirytowany. Rzucił żądania i rzucił słuchawką.

– Najwyraźniej źle się dzieje w państwie słonecznikowym.

Lula przepchnęła się z powrotem do nas.

– Uwaga. Przechodzę. Z drogi – powtarzała. – Sprzedałam całą broń – poinformowała. – Mamy więcej?

– Nie. To było wszystko – odpowiedziała Connie. – Najlepsze zostawiłam na nasz własny użytek. Zamknęłam je w magazynku.

– Szkoda – zmartwiła się Lula. – Tam jest kilku chłopaków, którzy wszystko kupują. Sprzedałam im skrzynkę kajdanek, które Vinnie dostał z wyprzedaży po pożarze. I kupili skrzynkę dynamitu, który nam zamókł, gdy w styczniu dach przeciekał.

– Tutejsi?

– Nie. Z Idaho. Mówią, że są z jakiegoś ruszenia pospolitego i akurat rekrutują.

– O-ho – powiedziała Connie, patrząc ponad moim ramieniem. – Morelli na horyzoncie i nie wygląda na zadowolonego.

– Pewnie też chciał kupić broń – stwierdziła Lula. – Tak to jest, jak się nie przychodzi wcześniej. Przegapiasz wszystko, co dobre.

Morelli przepchnął się do nas i zacisnął palce na moim nadgarstku.

– Musimy pogadać.

– Siemka – powitała go Lula. – Dobrze dzisiaj wyglądacie, funkcjonariuszu Morelli.

Morelli spróbował się nie uśmiechnąć, ze średnim powodzeniem.

– Musicie ją odciąć od tych brownie – powiedział do Connie.

– Przykułabym ją do latarni, ale sprzedała wszystkie moje kajdanki – odpowiedziała Connie.

Morelli popchnął mnie za kartotekę pod tylne drzwi.

– Co się tu, do cholery, dzieje? – spytał. – Jechałem właśnie do roboty, kiedy zobaczyłem paru neonazistów ładujących broń na pakę pick-upa.

– To byli neonaziści?

– I do połowy kwartału ciągnie się kolejka po brownie Zakręta. Chyba nie powinienem oczekiwać, że sprawdziłaś składniki?

– Czekolada, jajka, mąka...

– W tej kolejce nie ma nikogo, kto by przeszedł test na obecność narkotyków we krwi.

Pochylił się i wtulił nos w moją szyję, przy okazji muskając ustami ucho.

– Znowu ładnie pachniesz.

– Ty też. Pachniesz jak...brownie!

Morelli uśmiechnął się do mnie.

– Nie wiem, jak i skąd to bierze, ale w tych brownie ma naprawdę zajebisty towar.

– Zamkniesz go?

– Nie. Zanim do niego wrócę, wszystko wyprzeda i będzie po kłopotcie.

– A jak sprawa z martwymi prawnikami?

– Kurewskie szambo. Do domu wróciłem dopiero o czwartej. Spałem cztery godziny. Przyjechali federalni robić swoje. Zepsuł się wóz kryminalistów i przyjechał na miejsce zbrodni po dwóch godzinach. Wieczność całą trwało, zanim mogliśmy oddać ciała koronerowi. A teraz mam mnóstwo dodatkowej papierkowej roboty.

Popatrzył w stronę frontowej części biura.

– To prawdziwe zoo. Zupełnie jak sępy walczące o padlinę.

Rozejrzałam się.

– Taa, i chyba już tylko kości zostały. Zdumiewające, ile rzeczy Connie sprzedała w ciągu zaledwie dwóch godzin.

– Brownie pomogły.

– Lubisz być gliną? – spytałam.

– Czasami. Czemu pytasz?

– Nie jestem pewna, czy ja nadal lubię być łowcą nagród.

– A kim byś chciała być?

– W tym właśnie problem – odpowiedziałam. – Nie wiem. Nigdy nie miałam do niczego szczególnego zacięcia. Zaczęłam pracować w sprzedaży detalicznej zaraz po studiach, bo lubię robić zakupy. Ale niezbyt lubiłam tamtą pracę. I chyba nie byłam też w niej za dobra. A potem zostałam łowcą nagród, bo nie znalazłam niczego innego. I wiem, że nie jestem najlepszym na świecie łowcą nagród.

– Łapiesz sporo zbiegów – powiedział Morelli.

– Ło! czyżbyś popierał mój wybór w kwestii pracy?

– Nie. Nienawidzę twojej pracy, ale całkiem nieźle dajesz sobie radę.

– W tym rzecz. Nie chcę dawać sobie rady, chcę być w czymś wspaniała.

– Jest kilka dziedzin, w których jesteś wspaniała.

– Dobry Boże.

Morelli zahaczył palec o ramiączko mojego topu.

– Mam ci je wymienić?

– Nie!

– Dziś wieczorem?

– Może wieczorem – zgodziłam się.

Pochylił się i pocałował mnie leciutko w usta.

– Jesteś takim cukierczkiem.

To chyba był komplement, ale nie miałam pewności. Patrzyłam, jak Morelli odchodzi, i zalała mnie fala czułości. A potem fala pożądania. Morelli był niesamowicie przystojny i wiedziałam, jaki on ma talent.

Wróciłam do Connie. Pakowała właśnie serwis na osiem osób, podczas gdy klientka czekała. Skończyła pakowanie, wręczyła kobiecie pudełko i tamta oddaliła się, torując sobie łokciami drogę przez tłum.

– Zakończę to w południe – oznajmiła Connie. – Zostały nam tylko śmieci. Nic, co przyniosłoby realne pieniądze.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Taa, możesz skoczyć po coś do jedzenia. Kiedy zamknę, policzymy wszystko. Lula albo będzie już wtedy nieprzytomna, albo będzie ją potwornie ssało po trawie.

Dwadzieścia

Kiedy po dwunastej wróciłam do biura, stoliki zniknęły z chodnika, tak samo jak zaparkowane przed agencją samochody. Kamper Zakręta nadal stał przed antykwariatem, ale samego Zakręta nie było widać. Najpewniej siedział w swoim Autobusie Miłości i planował Hobbitcon. Zniosłam torby z jedzeniem do środka i ustawiłam na biurku Connie.

Connie liczyła właśnie pieniądze, które poukładała na podłodze w zgrabnych stosikach. Na biurku obok telefonu położyła glocka. Lula spała na kanapie, ale obudziła się natychmiast, gdy usłyszała szelest papierowych toreb.

– Czy to jedzenie? Boże, błogosław tego, kto przyniósł żarcie. Umieram z głodu.

– Mam zapiekanki z klopsikami, sałatkę ziemniaczaną i makaron od Pina – poinformowałam ją.

Connie wzięła sobie zapiekankę i nie przestawała pracować, wystukując liczby na kalkulatorze.

– Jak stoimy? – spytałam.

– Chyba damy radę. Głównie dzięki broni i motocyklowi.

– Cały magazynek jest pusty, zostały tylko koty z kurzu – dodała Lula.

Usiadłam i jadłam lunch, obserwując ruch uliczny za oknem. Ulica znowu tętniła normalnym rytmem. Wyobraziłam sobie pospolite ruszenie w drodze do Idaho, ze swoim dynamitem, kobiety w Grajdole chowające do szafek nowe serwisy.

– Mamy to – oznajmiła Connie. – Mamy milion trzysta dla Słonecznika i dodatkowo pięćdziesiąt dwa dolary. Te pięćdziesiąt dwa dolary zostawiam na biurku. Reszta jest popakowana i na nowo powiązana. Możecie przeliczyć. Chcemy dać Słonecznikowi milion trzysta i ani dolara więcej. Ani dolara mniej.

– A gdzie włożymy tę forszę?

Connie zebrała śmieci po lunchu i wrzuciła je do papierowej torby, w której przyniosłam jedzenie.

– Mamy na zapleczu takie duże torby, w których była broń. Broń sprzedałyśmy, ale torby zostały.

– Myślicie, że Słonecznik rozpozna swoją forszę? – zapytała Lula.

– Nie. Wszystko popakowałyśmy na nowo – zapewniła ją Connie. – I z tego, co wiem, nikt nas nie widział w okolicach domu Obrzyna, a w domu pogrzebowym widzieli tylko ciebie. Wątpię, żeby skojarzyli te napady z tobą.

– Taa – powiedziała Lula. – Słonecznik to jeden z tych tam, szowinistycznych niedoceniaczy.

Zapakowałyśmy z Lulą torby po broni, raz jeszcze przeliczając pieniądze. Connie zadzwoniła do Słonecznika.

– Tym razem był bardziej zadowolony – powiadomiła nas po skończonej rozmowie. – Chyba potrzebuje tej forsy.

– Gdzie dokonamy zamiany? – spytałam.

– Mamy przywieźć forszę na tyły baru. Powiedziałam mu, że do środka nie wejdziemy, więc jego ludzie będą tam na nas czekać.

– Pojedziemy mercedesem – zdecydowałam. – Komandos monitoruje wszystkie swoje wozy. Jeśli coś pójdzie nie tak, przynajmniej będziemy miały wsparcie.

Podjechałam mercedesem na parking za agencją. Lula i Connie wywlokły torby z forszą i załadowały je na tylne siedzenie. Connie siadła obok mnie i między stopami położyła sobie uzi. Lula wcisnęła się na tylne siedzenie obok toreb. Miała glocka w torebce, a między kolanami trzymała shotguna z oberżniętą lufą.

Ja miałam swój rewolwer z dwiema kulami.

– Lepiej, żeby Vinnie to docenił – odezwała się Lula z tyłu. – Oczekuję podwyżki. I służbowego wozu. I nie byle jakiego, chcę dobrego wozu. I jeszcze takiej piramidy prezentów na święta Bożego Narodzenia. Wiecie, takiej, jak na kartkach z życzeniami, stos paczek z różnymi gównami.

– Ja nie chcę podwyżki – powiedziała Connie. – Chcę uratować Vinniego, a potem tak mu skopać tę zboczoną dupę, że trafi prosto do szpitala.

Przejechałam przez miasto i skręciłam w Stark. Cały czas zerkałam we wsteczne lusterko. Nie widziałam ogona z KomandoMan, ale byłam pewna, że Chet śledzi moją kropkę na ekranie. Connie i Lula siedziały cicho. Wszystkie byłyśmy spięte i czujne. Minęłam bar i na następnym skrzyżowaniu skręciłam w alejkę prowadzącą na tyły.

Trzech zbirów czekało na nas przy tylnym wejściu do baru. Ani śladu Vinniego. Wolniutko podjechałam bliżej i zatrzymałam się na wysokości drzwi lokalu. Connie opuściła szybę i trzech gości ruszyło w stronę samochodu. Ona jednak wystawiła przez

okno łufę uzi i tamci zatrzymali się natychmiast.

– Macie forszę? – zapytał jeden.

– Tak – odpowiedziała Connie. – Macie Vinniego?

– Nie. A dlaczego mielibyśmy mieć Vinniego?

– Bo go złapaliście jeszcze raz.

– Nic o tym nie wiem – zdziwił się zbir. – Ja mam tylko odebrać forszę. Wy nam dajecie kasę, a my nie wysadzamy waszej agencji w powietrze z wami wszystkimi w środku, razem z Vinniem.

– Chwilunia – powiedziała Connie i podniosła szybę.

– Co jest, kurna? Nic z tego nie rozumiem – oświadczyła Lula.

Connie popatrzyła na mnie.

– A ty co myślisz?

– Myślę, że oni go nie mają.

Connie skinęła głową.

– Ja też tak myślę.

– Więc kto go ma? – chciała wiedzieć Lula.

– Nie wiem – odparła Connie. – Ale jeśli damy im forszę, to nas nie wysadzą.

Lula otworzyła drzwi i wywaliła torby na chodnik.

– Chcę dostać pokwitowanie – oznajmiła.

– Nie mam pokwitowania. Pan Słonecznik nie dał nam żadnego pokwitowania – odpowiedział jeden ze zbirów. – I w ogóle to musielibyśmy policzyć, zanim dalibyśmy wam prawdziwe pokwitowanie.

– Mówisz, że jestem oszustem? – upewniła się Lula złowrogo. – Bo jeśli to chciałeś powiedzieć, to lepiej to cofnij. Jak mnie obrazisz, poznasz zupełnie nowy wymiar cierpienia.

– Rany, kobieto. Ja tylko nie mam pokwitowania – powiedział tamten. – Odpuść trochę.

– Hunh – powiedziała Lula i zatrzasnęła drzwi.

– To chyba skończyłyśmy – stwierdziłam i odjechałam.

– Jestem jakby rozczarowana – oznajmiła Lula. – Spodziewałam się, że odzyskamy Vinniego. Nie żebym go chciała odzyskać, ale dałyśmy tym gościom górę forsy i powinniśmy coś za to dostać. Potrzebuję pączka. Jak skręcisz w Broad, to tam jest cukiernia.

– Nie możesz rozwiązać wszystkich swoich problemów pączkami – powiedziałam. – Jak nie przestaniesz, to się roztyję.

– Są cztery sposoby radzenia sobie ze stresem – odpowiedziała Lula. – Prochy, wóda, seks i pączki. Ja używam seksu i pączków. Próbowałam tamtych pozostałych i to nie było nic dobrego. A ponieważ ty ostatnio nie dostajesz, to będziesz musiała polegać na pączkach.

Skręciłam w Broad i przecnicę dalej podjechałam do okienka dla kierowców w Dunkin' Donuts. Lula kupiła torbę pączków i Connie kupiła torbę pączków.

Wzięłam jednego pączka od Connie.

– No więc jak myślicie, co jest z tym Vinniem?

– Myślę, że nie żyje – oznajmiła Lula.

– Zwłok nie znaleźli – zaproponowała Connie.

Lula skończyła pierwszego pączka.

– Może są w kostnicy.

Connie tylko pokręciła głową.

– Wszyscy gliniarze znają Vinniego. Od razu by go zidentyfikowali.

– Pewnie narobili w Vinniem dziur jak w szwajcarskim serze i obciążyli go butami z betonu, a potem wyrzucili z mostu do Delaware. Albo zabrali do mięsnego i pocięli na małe kawałeczki, i zmielili w maszynce do mięsa – snuła przypuszczenia Lula. – Teraz zjem pączka z dżemem. Uwielbiam pączki z dżemem.

– No więc może być martwy. Jakies inne opcje? – spytałam.

– Ktoś inny mógł go porwać – podsunęła Lula. – Ktoś inny niż Bobby Słonecznik.

– Ale dlaczego? – spytała Connie.

– Chyba dla szmalu, jak Słonecznik. To mógł być porywacz naśladowca – wyjaśniła Lula.

– Ale nikt się nie skontaktował z nami w sprawie okupu – zwróciła jej uwagę Connie.

– Hunh – powiedziała Lula. – To rzeczywiście problem.

– I jest jeszcze jeden problem, jak ja to widzę – wtrąciłam. – Jeżeli zakładamy, że ktoś porwał Vinniego, to skąd ta osoba wiedziała, że Vinnie jest w kamperze Zakręta? Zakręt zabrał Vinniego spod domu moich rodziców. I do tego twierdził, że Vinnie ani razu nie wyszedł z kampera.

– Rozumiem – mruknęła Lula. – To musiała być taka zbrodnia przypadkowa, taka z

powodu sprzyjających okoliczności. Że na przykład ktoś zdecydował się obrobić kamper Zakręta, kiedy Zakręt poszedł do piekarni, i wtedy ta osoba natknęła się na Vinniego i pod wpływem chwili zdecydowała się go porwać, a potem go zabiła i wrzuciła do maszynki do mięsa.

– Co ty masz z tą maszynką? – spytałam.

– Nie wiem. Chyba mam ochotę na burgera na obiad i tak jakoś mi się myśli o maszynkach do mięsa – odpowiedziała.

Pojechałam Hamilton i ucieszyłam się na widok Autobusu Miłości wciąż stojącego przed antykwariatem.

Ustawiłam mercedesa przy krawężniku i wyłączyłam silnik.

– Chcę pogadać z Zakrętem – poinformowałam dziewczyny. – Coś mi tu nie pasuje w tym obrazku.

Zakręt otworzył mi drzwi, zanim jeszcze zapukałam.

– Miałem nadzieję, że wrócicie – powiedział. – Tak sobie myślałem, czy mógłbym się podpiąć do twojej elektryki, bo tak jakby siadł mi akumulator, ale ten, Kosmiczne Przymierze nie rozumie, co to znaczy brak prądu.

– Jasne – odpowiedziała Connie. – I tak wszyscy marnie skończymy. Ale będziesz się musiał odłączyć, jak wyjdę wieczorem.

– Zrozumiano. I bez obaw, mam przedłużacz.

– Opowiedz mi o zniknięciu Vinniego – zażądałam. – Jeszcze raz od początku.

– No mówię, zgraliśmy się nieźle. Słuchaliśmy muzy i się odprężaliśmy. Ja ten, no, jeździłem po okolicy i roznosiłem wieści. I nagle zobaczyłem piekarnię, no to zawinałem staruszką na parking.

– Stój. Przypomnij sobie parking – poleciłam mu. – Był pusty?

– Nie. Były tam ten, no, dwa wozy. Duży wóz i mały wóz.

– SUV i sportowe auto.

– *Correctomundo*.

– Siedział ktoś w tych samochodach?

– Chyba nie, ale pewny nie jestem. Nie zwracałem uwagi. A jak ktoś na przykład ten, no, leżał sobie na siedzeniu i drzemał? To przecież bym go nie zobaczył, nie? To by się liczyło?

– Ta.

- No to ten, no, lalka.
- A Vinnie co robił, jak poszedłeś do piekarni?
- Siedział na miejscu obok. I chyba patrzył przez okno. Tylko że nie było nic do oglądania poza parkingiem.
- No więc Vinnie siedział na miejscu obok kierowcy, a ty poszedłeś do piekarni. Ktoś był na parkingu? Może szedł do samochodu?
- Nie, tylko ja byłem na parkingu.
- A w piekarni? Byli jacyś klienci?
- Nie. Ale wiesz, że no, piekarnia ma takie podwójne szklane drzwi? No to przypuśćmy, dwie osoby wychodziły i wchodziły w tym samym czasie? To one były w piekarni? Czy na zewnątrz? I ten, no, to by się liczyło?
- Ta, to by się liczyło – odpowiedziałam.
- No to tam był ktoś i ona jakby wchodziła i wychodziła. A właściwie, jak sobie teraz pomyślę, to ona bardziej trochę jednak wychodziła. Jej bamboły były bardziej na zewnątrz. Miała, ten, no, wielgachne bamboły. One przekroczyły linię przed resztą ciała.
- Wychodziła, gdy ty wchodziłeś?
- Taa – powiedział Zakręt.
- Widziałeś, jak idzie przez parking?
- Nie, lalka. Akurat zostałem schwytany w pole przyciągające bułeczki cytrynowej.
- Dobrze, jak ona wyglądała? – spytałam.
- Miała naprawdę, ten, no, wielkie bamboły. – Zakręt uśmiechnął się szeroko.
- To już ustaliliśmy – stwierdziłam.
- On ma obsesję na tle bambołów – powiedziała Lula. – Co jest z facetami i bambołami? Laski nie mają obsesji na tle jajek. Nie chodzimy i nie szukamy gościa, który ma piłki od koszykówki dyndające w okolicy kolan.
- Wróćmy do kobiety – przerwałam. – Ile miała lat?
- Była w naszym wieku.
- Ładna?
- Taa, ładna jak gwiazda porno.
- Co to, u licha, znaczy, ładna jak gwiazda porno? – chciała wiedzieć Lula.
- Ten, no, miała wystawione bamboły, rozumiesz?
- Jeszcze raz powiesz „bamboły” i ci przyleję – ostrzegła go Lula.

– Następna kwestia – wtrąciłam. – Co jeszcze?

– Miała mocno umalowane oczy i takie duże pełne błyszczące usta, i miała ten taki skórzany top, ze sznurówką. I niemal nie podtrzymywał... tych... no, wie...wiecie.

– Miała gorset – podsunęła Lula.

– I skórzaną spódniczkę, taką łoż, naprawdę krótką. I szpilki.

– No tak, to gwiazda porno jak nic – stwierdziła Lula.

Zyskałam pewność, że znam tę gwiazdę porno i że grała tylko w swoich własnych filmach.

– A jakie miała włosy? – spytałam.

– Czerwone. Jak Lula, ale ten, no, było ich mnóstwo, same fale i loki. Jak czerwonowłosa Farrah Fawcett.

– Joyce Barnhardt – stwierdziłam.

– Taa – zgodził się Zakręt.

– Wiedziałaś, że to Joyce?

– Jasne.

– To dlaczego nie powiedziałaś?

– Nie pytałaś, czy wiem, jak się nazywa.

– Mogę mu teraz przylać? – chciała wiedzieć Lula.

Rzuciłam jej wymowne spojrzenie.

– Uderzysz producenta brownie?

– No tak, słuszna uwaga – ustąpiła Lula.

– Przynajmniej wiemy, gdzie Vinnie się chowa – stwierdziła Connie.

– Taa, uciekł, węsząc za Barnhardt – dodała Lula. – Dziwię się, że wciąż tam siedzi. Barnhardt ich używa i wywala.

Joyce Barnhardt jest moim arcywrogiem. Nemezis. Chodziłam z nią do szkoły i robiła wszystko, żeby uprzykrzyć mi życie. No, ale żeby oddać jej sprawiedliwość, należy wspomnieć, że nie byłam jakoś szczególnie wyróżniona. Joyce uprzykrzała życie wszystkim. Była grubasem, który pluł innym do jedzenia, zaglądał pod drzwiami do toalet, kłamał, oszukiwał i dręczył. Gdzieś w okolicach szkoły średniej zmieniła się w seksualną wampirzycę i wreszcie schudła, kupiła sobie piersi, powiększyła usta, ufarbowała włosy i szlifowała umiejętności rozbijaczki domów i wykorzystywaczki, jakiej nikt dotąd nie widział. Wielokrotnie wychodziła za mąż, za każdym razem korzystniej, obecnie była

samotna i polowała. Jeździła corvetta i mieszkała w wielkim domu niedaleko Vinniego.

- No to jedziemy – powiedziałam do Luli.
- Chcesz odzyskać Vinniego? – spytała.
- Tak. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że muszę go uratować.
- Rozumiem – powiedziała Lula.

Dwadzieścia jeden

Dom Joyce był skrzyżowaniem posiadłości Waszyngtona i Scarlett z „Przeminęło z wiatrem”. Utrzymany przez profesjonalistów trawnik prowadził do wielkiego białego budynku w stylu kolonialnym, z czarnymi okiennicami i białymi kolumnami. Skreśliłam na ulicę, przy której mieszkała Joyce, i zobaczyłam Vinniego, siedzącego na krawężniku. Znow miał na sobie tylko szorty i do tego dwudniowy zarost.

– To wstrętne – podsumowała Lula. – Nie wpuścisz go do tego ładnego samochodu, prawda? Na pewno ma wszy od Barnhardt, gdzie tylko się da. Może przypniemy go na dachu.

– Nie mam takiej linki elastycznej. Będzie musiał jechać w środku.

Zatrzymałam się i wpuściłam Vinniego do mercedesa.

– Co tak długo? – spytał.

Siedział z tyłu, więc spojrzałam w lusterko i posłałam mu zabójcze spojrzenie.

– Nie masz za grosz wychowania – pouczyła go Lula. – Będę musiała sobie oczy zdezynfekować wybielaczem, po tym jak cię oglądałam w gaciach. Zawsze będziesz miał na sobie tylko majty, jak cię będziemy ratować?

– Nic nie miałem na sobie, jak mnie Joyce wykopała. Sąsiedzi się skarżyli, więc rzuciła mi szorty. Nie są nawet moje.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Halo? Widzisz u mnie jakiś telefon?

– Najwyraźniej żaden z sąsiadów Joyce nie chciał otworzyć drzwi golasowi – stwierdziła Lula.

– Otwierali, żeby wypuścić psa, którym mnie szczuli – uściślił Vinnie.

– A dlaczego Joyce cię wykopała? – zainteresowała się Lula.

– Odkryła, że nie mam pieniędzy.

Pół godziny później byliśmy w biurze razem z Vinniem, który gapił się na przewód prowadzący na zewnątrz do kampera.

– Co jest, kurna?

– Potrzebował prądu dla Kosmicznego Przymierza – wyjaśniła Lula. – Założysz coś na

siebie? Dostają mdłości od widoku tego twojego paskudnego łasicowego ciała.

– Wszystkie moje ciuchy są w tym cyrku na kółkach. Ten gość to świr. Nikt mu nie powiedział, że hobbity nie istnieją? – Vinnie wszedł do swojego gabinetu i się rozejrzył. – Co się stało z moimi meblami? Zostało mi tylko biurko i składane krzesło.

– Sprzedałyśmy – powiadomiła go Connie.

– Ta, wszystko sprzedałyśmy – dołączyła Lula. – Wszystkie naczynia, splanwy, grille i błyskotki. Nawet motocykl.

– BMW? Pierdolisz?! To był mój prywatny motocykl!

– Już nie jest – uświadomiła go bezlitośnie Lula.

– Potrzebowałyśmy forsy, żeby wykupić twój dług – poinformowałam go. – Ze Słonecznikiem i z Marudą sprawa załatwiona.

Do biura wszedł Zakręt.

– Hej, *amigo* – powiedział do Vinniego. – Witaj z powrotem, gościu. Dawnośmy się nie widzieli.

– Taa, dużo dłużej, niżbym chciał. Nie dałeś nikomu mojego listu?

– Nie zostawiłeś listu.

– Oczywiście, że zostawiłem. Na stole. Nie mogłem znaleźć papieru, więc napisałem na serwetce.

– Gościu, to był list? Myślałem, że to taki wzór serwetki. No wiesz, w barach są serwetki z takimi różnymi śmiesznymi napisami.

– Nie czytałeś?

– Nie, gościu, ja na serwetkę kładę ciastka. Do tego są serwetki, żeby położyć ciastko.

– Przynajmniej znów jestem w biurze – powiedział Vinnie. – Biuro mężczyzny jego fortecą, czyż nie? – Usiadł na składanym krześle i otworzył szufladę. – Gdzie mój pistolet?

– Sprzedany – odpowiedziała Connie.

Vinnie zamknął szufladę i położył dłonie na blacie.

– Gdzie mój telefon?

– Też sprzedany – powiedziała Connie.

– I jak mam pracować bez telefonu?

– Ty i tak nie pracujesz – prychnęła Lula. – A teraz przynajmniej nie będziesz dzwonił do bukmachera, który i tak z tobą nie będzie gadał, bo jesteś niewypłacalny.

– No tak, ale przecież wszystko spłaciłyście? Ile tego w końcu było?

– Milion trzysta – uświadomiła go Connie.

Vinnie zamarł z otwartymi ustami.

– Zapłaciłyście milion trzysta?! Skąd, do cholery, wzięłyście taką górę forsy?

– Sprzedałyśmy twój telefon – powiedziałam.

– I twój motor – dodała Lula.

– To i tak by nie dało miliona trzystu tysięcy. Skąd wzięłyście resztę?

– Wolę nie mówić – odparłam.

– Stephanie ma rację – poparła mnie Connie. – Nie chcesz wiedzieć.

– Przyszedłem się odłączyć – powiedział Zakręt. – Przymierze chce, żebym pojechał na lotnisko i odebrał kilku hobbitów, którzy przylatują na imprezę.

– No dobra, więc nie mam telefonu – podsumował Vinnie. – I tak się cieszę, że tu jestem. Mówię wam, myślałem, że umrę. Oni nie żartowali. Nie wiem, co stało się Słonecznikowi, ale ześwirował. A kiedy zbombardowali mu dom, to już wszyscy kompletnie poszaleli. Cieszyłem się, jak mnie uratowałaś z tej szcurzej nory, ale byłem pewny, że długo nie pożyję. Wiedziałem, że Słonecznik mnie wytropi i odstrzeli mi łeb. Znalazłby mnie nawet na Antarktydzie.

– Potrzebował forsy – stwierdziłam.

Vinnie otworzył środkową szufladę.

– Nie ma kasy na drobne wydatki.

– No i? – spytała Connie.

– Dobrze wydane pieniądze – pochwalił natychmiast Vinnie. – Nie żebym nie był wdzięczny.

– Dlaczego Słonecznik tak nagle potrzebował forsy? – spytałam.

– Słabo zainwestował, tak myślę.

– Znaczy jak?

– Nie wiem. – Vinnie wzruszył ramionami. – I nawet mnie to nie obchodzi. Chcę się tylko odprężyć i cieszyć tym, że za moją głowę nie obowiązuje już cena. Chcę siedzieć w moim gabinecie i oglądać telewizję przez jakieś pół godziny. – Rozejrzał się. – Gdzie mój telewizor? O cholera, nie mówcie, że sprzedany.

– Dostałam za niego dwie setki – powiedziała Lula.

– Miał HD! To była plazma!

– No jak chcesz, to ja mogę zadzwonić do Bobby'ego i powiedzieć mu, że chcę

dwieście dolarów z powrotem, żebyś mógł odzyskać swoją HD plazmę – odpowiedziała mu Lula.

– Nie, w porządku – wycofał się Vinnie. – Posiedzę tu, zamknę oczy i będę udawał, że mam telewizor. Jestem spokojny. Jestem szczęśliwy, że żyję. Jestem szczęśliwy, że wydostałem się z domu Joyce i nie straciłem wacka. – Otworzył oczy i popatrzył na nas. – Joyce to zwierzę.

– Za dużo informacji – powstrzymała go Lula.

Connie podeszła do swojego biurka, żeby odebrać telefon.

– Vinnie – zawołała. – Pan Roger Drager, prezes Wellington. Chce z tobą rozmawiać.

– Co to jest Wellington? – zapytała Vinniego Lula.

– To firma inwestycyjna, która jest właścicielem naszej agencji.

– A ta – mruknęła Lula. – Teraz sobie przypominam.

Vinnie podeszedł do biurka Connie, żeby odebrać.

– Taa – powiedział. – Tak, proszę pana. Tak, proszę pana. Tak, proszę pana. – I się rozłączył.

– Dużo coś tych „takproszępanów” – zauważyła Lula.

– Chce, żebym przyjechał do niego do biura – poinformował nas Vinnie. – Teraz.

– Byłoby dobrze, jakbyś założył jakieś ciuchy – skomentowała Lula. – Może mu się nie podobać, jak mały Vinnie wygląda ci z nogawki szortów.

– Przyniosę je – zaoferował Zakręt. – Są w Autobusie Miłości.

– A o czym chce rozmawiać? – chciała wiedzieć Connie.

– Nie mam pojęcia – odparł Vinnie.

– Może o tych lewych kaucjach? – podsunęła.

Brwi Vinniego podjechały do góry.

– Wiesz o tym?

– Przejrzałyśmy wszystko, żeby znaleźć jakąś forszę, i znalazłam teczkę.

– Na początku to były drobiazgi. Przysięgam na grób matki, zamierzałem to zwrócić.

– Twoja matka jeszcze nie umarła – przypominałam mu.

– Ale kiedyś umrze – odpowiedział. – W każdym razie cała ta sprawa zupełnie wymknęła się spod kontroli. Potrzebowałem na początku szybkiej pożyczki, żeby spłacić Słonecznikowi kilka nietrafionych zakładów, ale Słonecznik mi się tu wpakował i nie chciał odpuścić. I zanim się obejrzałem, jego księgowy pomagał mi prowadzić dwa

zestawy książek.

– Ten martwy księgowy?

– Taa – powiedział Vinnie. – Zmarł nagle, ze śladami opon na plecach.

Pomyślałam o Victorze Kuliku i Walterze Dinnie, zabitych za restauracją. Średnia długość życia w Wellington Company nie przedstawiała się najlepiej.

Zakręt wrócił z ciuchami Vinniego.

– Poprawiłem je dla ciebie, gościu – powiedział. – Teraz są, ten, no, zajebiste.

Vinnie założył spodnie i popatrzył na swoje nogi. Nogawki zostały obcięte tuż pod kolanami, koszula przerobiona na tunikę z pasem ze sznura. Świetnie do tego pasowały czarne, lśniące półbuty i czarne skarpety. Na kieszeni koszuli Zakręt napisał flamastrem „Doderick Spiętopasy”. Vinnie wyglądał jak hobbit pijaczyna po trzydniowej balandze. Nażelowane włosy sterczały mu na wszystkie strony, ubranie miał pomięte i poplamione trawą, a jego broda należała do dzikiego hobbita z Borneo.

– Zabiłbym go – powiedział Vinnie, patrząc na Zakręta z wściekłością – ale sprzedałyście mój pistolet.

– Ten cały Drager na pewno chce cię wsadzić za kratki za malwersacje – powiedziałam.

– Nie będzie się przejmował, że jesteś bezdomnym hobbitem.

– Nie mam prawa jazdy – powiedział Vinnie. – Nie mam samochodu.

Zarzuciłam torbę na ramię.

– Zawiozę cię. Dokąd jedziemy?

– Do śródmieścia. Do biurowca Meagana.

Biurowiec Meagana został wzniesiony z czarnego szkła i stali kilka lat przed krachem na rynku nieruchomości. Wellington Company znajdowała się na piątym piętrze. Wysiedliśmy z windy i znaleźliśmy się w korytarzu wyłożonym popielatą wykładziną, o kremowych ścianach, przeciętych listwami z drzewa wiśniowego, i takich samych drzwiach. Klasa. Wellington Company zajmowała całe piętro. Godzina zrobiła się późna, więc za ladą recepcji nikt nie siedział. W niewielkiej poczekalni stał Roger Drager, najwyraźniej czekał na nas.

Miał metr siedemdziesiąt pięć, ciało zaokrąglone tu i ówdzie, czterdziestkę na karku i spore zakola, ale całkiem niezły garnitur. Podał nam wilgotną dłoń i poprowadził przez pokój pełen boksów i kartotek. Wzdłuż każdej ze ścian pomieszczenia znajdowały się

prywatne gabinety z oknami. Drzwi do nich były otwarte i większość świeciła pustkami. Były w nich tylko biurka i krzesła. Podobnie w boksach. Tylko kilku gości zgarbionych nad klawiaturami układało pasjansa. Niewiele tu się działo. Nie dzwonił żaden telefon.

– Gdzie wszyscy? – zapytałam.

– Ruchomy czas pracy – odparł Drager. – Niemal wszyscy wolą przyjść wcześniej i wyjść wcześniej.

Poszliśmy za nim długim korytarzem do narożnego biura. Znajdowało się tu wielkie ozdobne biurko z dodatkowym blatem, przed nim stała niewielka kanapa, dwa fotele i ława. Drager jak na razie wydawał się nie zauważać tego drobnego faktu, że Vinnie jest hobbitem.

– Przejdę od razu do sedna – powiedział. – Wiem, że okrada pan spółkę. Chcę wiedzieć o wszystkim i chcę dostać pieniądze, jakie pan uzyskał tą drogą. I chcę nazwiska ze wszystkich sprokurowanych w tym celu umów.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Vinnie. – Będę w pełni współpracował. Nie wiem, skąd wezmę pieniądze, ale jakoś je zwrócę. Czy zamierza pan wezwać policję?

– Nie, jeśli zwróci pan pieniądze. – Drager wstał i spojrzał na zegarek. – Mam następne spotkanie. Znajdą państwo drogę do wyjścia?

– Oczywiście – zapewnił go Vinnie. – Żaden problem.

Drager towarzyszył nam do połowy korytarza, po czym pożegnał się i wszedł do innego biura. Vinnie i ja ruszyliśmy w stronę pomieszczenia z boksami. Budynek był pogrążony w nienaturalnej i nieprzyjemnej ciszy, poza pokojem po prawej. Stamtąd dochodził dźwięk pracujących maszyn. Otworzyłam drzwi i zajrzałam. Maszyną była wielka niszczarka. Stał obok niej znudzony śmiertelnie małolat. Pod ścianą ustawiono czarne worki na śmieci, wypełnione papierami, jak się domyślałam.

– Co? – spytał dzieciak.

– Przepraszam, szukam damskiej toalety – powiedziałam.

– Obok windy.

Podziękowałam mu i zamknęłam drzwi. Nie odezwałam się do Vinniego, póki znów nie znaleźliśmy się na parkingu i nie wsiedliśmy do samochodu.

– I co myślisz? – zapytałam.

– Był zdenerwowany. Przestraszony.

Vinnie był może i odrażającą istotą ludzką, ale też i doskonałym znawcą charakterów.

Dlatego między innymi tak dobrze szło mu w agencji poręczycielskiej. Wiedział, kiedy ludzie kłamali, byli przestraszeni, naćpani, głupi czy pomyleni. Kiedy Vinnie nie próbował kraść, nie wypisywał zbyt wielu nietrafionych umów. Wiedział, kto będzie uciekał, a kto pokaże się w sądzie.

– Masz jakąś koncepcję, dlaczego Drager był zdenerwowany?

– Chyba ktoś na niego naciska.

– Następne spotkanie?

Vinnie wzruszył ramionami.

– Ja wiem tylko tyle, że Drager nie chciał zamknąć mi interesu ani wtrącić mnie do więzienia. Chciał tylko forsy.

– Wiesz, co jeszcze wydało mi się dziwne? Biuro. Tam nikt nie pracował. Powiedział, że wyszli wcześniej, ale niczego nie było na biurkach, żadnego śmietnika. Niczego w koszach na śmieci. Jedyne, co tam pracowało, to ta niszczarka. Co za biuro ma same puste boksy i gigantyczną niszczarkę?

– Nieprawdziwe – odparł Vinnie. – Rany, nie chcę powiedzieć głośno tego, co myślę.

– Że ty i Bobby Słonecznik okradaliście większego złodzieja?

– Ta.

– Dragera?

– Drager jest w to zamieszany, ale nie on siedzi u góry. Ktoś mu ściska jaja w imadle.

Dwadzieścia dwa

Lula i Connie czekały w biurze na nasz powrót, a że zbliżała się pora obiadowa, więc po drodze wstąpiłam po kubełek kurczaka. Miałam już powoli dość kurczaków, ale było to żarcie łatwo dostępne, szybkie i relatywnie tanie.

Zabraliśmy kurczaka do gabinetu Vinniego, rozsiedliśmy się na składanych krzeselkach i zaczęliśmy posiłek.

– Czego chciał Drager? – spytała Connie.

– Forsy – odparł Vinnie. – Chce pieniędzy, które stracił na trefnych kaucjach.

Connie przestała jeść.

– Ile tego jest?

– Nie wiem – odparł Vinnie. – Mnóstwo. Jakiś milion. Muszę przejrzeć papiery.

Connie, Lula i ja wymieniliśmy przekazy mentalne. Wiadomość brzmiała: nie ma mowy.

Drzwi biura otworzyły się i zamknęły, więc Connie poszła zobaczyć, kto przyszedł. Ja ruszyłam za nią, a Lula za mną.

Trzej mężczyźni stali pośrodku biura, ubrani byli w koszulki polo, materiałowe spodnie i zniszczone półbuty. W pierwszej chwili pomyślałam, że to gliniarze. W drugiej, że to wynajęte zbiry. Wszyscy byli po czterdziestce i wyglądali, jakby spożywali dużo skrobi i wódki, a niewiele czasu spędzali na słońcu. Ciastowate twarze, miękkie brzuchy. Złośliwe małe świńskie oczka. Wydłużone łysiną czoła. Pistolety za paskami, przykryte w znacznej mierze brzegiem koszulek.

Connie podeszła do biurka i usiadła. Wiedziałam dlaczego. W środkowej szufladzie miała glocka i uzi. Ja i Lula stanęliśmy przed drzwiami gabinetu, które starannie za sobą zamknęłam.

– W czym mogę pomóc? – spytała Connie.

– Szukamy Vincenta Pluma.

– Nie ma go tu – odpowiedziała Connie. – Czy chcieliby panowie zostawić wiadomość?

– Paniusiu, widzieliśmy, jak tu wchodził, dziwacznie ubrany. Powiedz mu, że Larry, Mo i Eugene chcą z nim rozmawiać.

– A w jakiej sprawie?

– W sprawie biznesowej.

– Obawiam się, że pan Plum nie zdoła znaleźć dla panów czasu w tej chwili.

Larry wyciągnął pistolet z portek.

– A ja się obawiam, że będę musiał zastrzelić jedną z was, jak się nie postara.

– Hej, Vinnie! – wrzasnęła Connie. – Jacyś idioci do ciebie.

Odsunęłam się o krok i Vinnie wyjrzał z gabinetu.

– Co jest?

– Musisz jechać z nami – odparł Larry. – Wybierzemy się na przejażdżkę.

– Chyba sobie, kurwa, jaja robisz?! – prychnął Vinnie. – Już się raz przejechałem. Skończyłem z przejażdżkami. Słonecznik dostał swoją forszę. O co chodzi?

– My tylko odbieramy i dowozimy – odparł Larry. – Nie załatwiamy spraw, nie dobijamy targów. Nic na ten temat nie wiemy. I nie pracujemy dla Słonecznika.

– No to dla kogo pracujecie? – spytał Vinnie.

– Dowiesz się, jak z nami pójdziesz.

– Popatrz na mnie. – Vinnie otworzył szerzej drzwi. – Jestem ubrany jak hobbit. Nigdzie więcej nie jadę ubrany jak hobbit.

– Co to, kurwa, jest hobbit? – spytał Larry.

– Mały lud ze Śródziemia – odpowiedziałam.

– Znaczą że karły?

– Nie, ale mogą być luźno spokrewnieni z mieszkańcami krainy Oz – odpowiedziałam.

– Co ty bierzesz, durnowaty pył? – spytał Larry.

Nie wiedziałam wprawdzie, co to durnowaty pył, ale byłam pewna, że nic takiego nie brałam.

– Koniec tych gadek – powiedział Larry do Vinniego. – Nie obchodzi mnie, czy jesteś ubrany jak rzepa. Maszeruj. Samochód stoi przed wejściem.

– Nie – powiedział Vinnie.

Wskoczył do gabinetu i zatrzaskał za sobą drzwi. Szczęknął zamek. Mo i Eugene wyciągnęli pistolety i władowali w drzwi mnóstwo kul.

– Teraz jesteście po uszy w kłopotach – powiedziała im Lula. – Te drzwi są własnością Wellington Company, a oni będą zdrowo wkurwieni, kiedy zobaczą, co zrobiliście z ich drzwiami. Drzwi na drzewach nie rosną.

– W dupie mam Wellington Company – odpowiedział Larry.

– A gliniarzy też? – spytała Lula. – Gliniarze też was nie martwią? Bo Vinnie właśnie

do nich dzwoni, a przynajmniej dzwoniłby, gdyby miał telefon.

– Wyważ drzwi – polecił Larry Eugene’owi.

Connie, Lula i ja wiedziałyśmy, że to nie będzie łatwe. Nie po raz pierwszy Vinnie ukrywał się w swoim gabinecie. Drzwi wzmocnione były prętami zbrojeniowymi i bolcami na cal, które biegły przez całą szerokość skrzydła.

Eugene kopnął w drzwi tuż pod klamką. Nic. Walnął w nie barkiem. Nic. Strzelił w zamek i znów kopnął. Wreszcie odbił wystarczająco dużo drzazg, by odsłonić jeden z prętów.

– Wzmocnił je – oznajmił.

– Nie wyjdę stąd z pustymi rękami – oświadczył Larry. – Weźmiemy jedną z tych babek.

– Bez względu na to, dla kogo, do cholery, pracujecie, nie będzie zadowolony – powiedziała Lula. – Chcą Vincenta. Czy któraś z nas wygląda jak Vinnie? No raczej nie.

– Którą chcesz wziąć? – spytał Eugene. – Tę grubą, pyskącą?

Lula tak wytrzeszczyła oczy, że wyglądały jak kule bilardowe.

– Że co proszę? Czy ty właśnie nazwałaś mnie grubą? Bo lepiej, żebym się myliła. Jestem duża i piękna, ale nie jestem gruba. I nie zamierzam znosić takiej obraźliwej, gównianej gadki. I tylko spróbuj mnie dotknąć choćby palcem, to ci tak dupę skopię, że się ockniesz w niedzielę.

– A może po prostu cię zastrzelę – powiedział Larry.

– To znowu będziesz miał problem z Wellington Company. Nie będą mieli nikogo, kto by układał teczki w kartotekach. Może pogadają z twoim szefem i on się postara, żeby któryś z was, kretyni, przyszedł tu i porządkował teczki. Tego chcecie? Chcecie cały dzień układać teczki? Bo zabawa to to nie jest.

– Jak weźmiemy ją, to ja rezygnuję – oświadczył Eugene. – Jej się gęba nie zamyka.

– Spoko – zgodził się Larry. – Weźmiemy jedną z tamtych.

– Którą? – Eugene popatrzył na towarzysza. – Może tę z za biurka, z cyckami?

No to było obraźliwe.

– Hej – odezwała się. – Może tak trochę ogłady. Ja też mam cycki.

– No to bierz tę z małymi cyckami – powiedział Larry. – Wszystko jedno którą. Chcę stąd wyjść.

– Dzięki, ale nie skorzystam – powiedziałam.

– Myślałem, że zgłaszasz się na ochotnika – stwierdził Larry.

– Wcale nie zgłaszałam się na ochotnika, tylko zwracałam uwagę, że też mam cycki.

– Łap ją – nakazał Larry Eugene’owi.

Błyskawicznie zmieniłam miejsce, tak że teraz oddzielało mnie od nich biurko Connie. Okrążyliśmy je kilkakrotnie, aż Larry wrzasnął „dość”.

– Powiem ci, jak będzie – powiedział do mnie. – Pojedziesz z nami albo strzelę do jednej z twoich przyjaciółek.

– A co będzie, jak z wami pojedę?

– Chyba będziesz zakładnikiem, póki nie wymienimy cię za tego frajera z gabinetu.

– To nie brzmi najgorzej – stwierdziła Lula.

– Super – zwróciłam się do niej. – Jak ci się ta perspektywa podoba, to sama możesz z nimi jechać.

– Nie-e. – Lula pokręciła głową. – Jestem na nich wściekła. Pan Sflaczały Ciastek nazwał mnie grubą.

Pan Sflaczały Ciastek wycelował w Lulę i nacisnął spust. Kula drasnęła ją w ramię i wbiła się w ścianę za jej plecami. Connie otworzyła szufladę, wyciągnęła Glocka i strzeliła Larry’emu w kolano. Larry zwałił się na podłogę jak wór piachu.

– Rzucić broń albo postrzelę go jeszcze raz.

Eugene i Mo rzucili broń i zamarli. Larry przetoczył się, ściskając kolano i krwawiąc przez spodnie.

– Zabierać go stąd – rozkazała Connie. – I nie wracać.

Eugene i Mo zawlekli Larry’ego na ulicę, wpakowali do samochodu i odjechali, paląc gumę.

– Ten dupek do mnie strzelił – powiedziała Lula. – I teraz krwawię. Niech mi ktoś przyniesie plaster. Naprawdę się zezłoszczę, jak krew mi poplamy ten top, to był jeden w swoim rodzaju z TK Maxxa. Miałam szczęście, że go w ogóle znalazłam.

Zgrzytnęły zasuwki i Vinnie uchylił drzwi.

– Poszli sobie? – spytał, wyjrzawszy.

– Tak – odpowiedziała mu Connie. – Ale wróć.

– Mamy problem – stwierdziłam. – Gdzie przechowamy Vinniego?

– Nawet na mnie nie patrzcie – zastrzegła się od razu Lula.

– To twój krewny – powiedziała Connie do mnie.

– Ja już go raz miałam – odpowiedziałam stanowczo.

– Zakręt odpada, jego kamper będzie wypchany hobbitami – mruknęła Connie.

Popatrzyłam na Vinniego.

– No i?

– Może hotel? – zaproponował Vinnie.

– Nie mamy kasy – uświadomiła go Connie. – Jesteśmy całkowicie na minusie.

– Masz jakichś przyjaciół? – zapytałam go.

– Mam przyjaciół tylko wtedy, gdy mam pieniądze.

– To jest po prostu przygnębiające – podsumowała Lula. – Jesteś żalonym człowiekiem.

– Cmoknij mnie – odpowiedział jej Vinnie.

– Widzisz, o tym właśnie mówię – stwierdziła Lula. – Jesteś pełen gniewu, a ponieważ akurat robię ten kurs z natury ludzkiej, to wiem, że to się bierze z niepewności. Pewnie moczyłeś łóżko albo coś w tym rodzaju. Albo masz małego fiuta, cienkiego jak ołówki. Albo nie możesz go postawić bez wspomagania, albo jesteś jednym z tych, co mają krzywego penisa. To powszechne, ale niektórzy faceci nie mogą się z tym pogodzić. Moim zdaniem fiut, który umie zakręcać za róg, może dostarczyć wyjątkowych doznań.

– Po prostu mnie zastrzelcie – powiedział Vinnie.

– Przygarnę go, póki nie znajdę czegoś lepszego – oznajmiłam. – Ale macie u mnie dług. Oczekuję, że przyjdziecie i posprząacie mi łazienkę, jak już się wyprowadzi.

Zostawiłam Vinniego w swoim mieszkaniu i dałam mu dokładne instrukcje. Miał używać tylko swoich ręczników. Miał trzymać się z dala od mojej sypialni. Miał się nie zbliżać do mojego łóżka i do moich ubrań. W żadnym wypadku nie miał dotykać mojej bielizny. Nie miał karmić Reksa ani pukać w jego klatkę. Mógł jeść to, co miałam w lodówce, i pić piwo, o ile zostawi dla mnie.

– Jasne – zgodził się Vinnie. – Jak tam sobie chcesz.

Założyłam czarną mini, białą elastyczną bluzeczkę z głębokim dekoltem w szpic, do tego czarny sweterek i szpilki. Lenny Pickeral, rabuś papieru toaletowego, będzie dziś na czuwaniu przy zmarłym Burcie Pickeralu i czułam taką wewnętrzną potrzebę pojmania go. Właściwie sama nie wiedziałam dlaczego, bo agencja zasadniczo nie działała. Chyba był to jakiś sposób, żeby przekonać samą siebie, że wszystko jest w zasadzie normalnie.

Zadzwoiłam do babci, żeby spytać, czy mam ją podwieźć na czuwanie.

– Byłoby wspaniale – ucieszyła się. – Miała po mnie przyjechać Emily Klug, ale ma krwawiące hemoroidy.

Dotarliśmy z babcią do domu pogrzebowego pół godziny po rozpoczęciu czuwania i parking był kompletnie zapchany. Wysadziłam babcię pod drzwiami i patrzyłam przez chwilę, jak idzie-łupie po schodach. Miała pożyczone kule, a między nimi wielgachny buciór. I robiła, co mogła, wykorzystując złamaną nogę jak najlepiej. Zaparkowałam przecznicę dalej i wróciłam szybkim krokiem do Stivy.

Powietrze w domu pogrzebowym było ciężkie od zapachu lilii i goździków. Nie jestem alergikiem, ale kwiaty w domu pogrzebowym zawsze przyprowadzają mnie o katar. Za dużo kwiatów na zbyt małej powierzchni. Do tego jeszcze nadmiernie wyperfumowane kobiety i niedomagająca wentylacja.

Gdy wchodziłam do westybulu, bractwo, do którego należał Pickeral, przybyło w pełnej krasie, w kapeluszach, z szarfami i medalami, i procentowym oddechem. Przepchnęłam się przez ścisk, szukając babci i Lenny'ego Pickerala. Być może to był paskudny pomysł, żeby zatrzymać go w trakcie żałoby, ale taką miałam pracę i takie było prawo. No i prawdę powiedziawszy, nikt w tym tłumie nie wyglądał na szczególnie żałowanego zejściem Burta. Burt żył długo, pełnią życia, a Grajdoł jest naprawdę dobry w akceptowaniu śmierci. Mnóstwo gorliwych katolików, którzy znajdują w wierze prawdziwe pocieszenie.

Usłyszałam, jak ktoś przede mną krzyknął. Tłum zamruczał i zafalował. Przecisnęłam się, zobaczyłam babcię stojącą nad Marią Lorenzo. Dwóch mężczyzn próbowało podnieść Marię, ale Maria ważyła jakieś sto piętnaście kilo i nie bardzo wiedzieli, jak ją złapać.

– Przepraszam, że panią przewróciłam – mówiła babcia. – To przez te przekłete kule. Nie bardzo jeszcze sobie z nimi radzę, ale muszę ich używać, bo mam całkiem połamaną stopę. Powinnam jeździć na wózku, ale nie chcę wyglądać na beksę.

Odsunęłam babcię od Marii i zaprowadziłam do mniej zatłoczonego miejsca. Po drodze zahaczyła kulami dwie osoby, ale żadna się nie przewróciła.

– Zostań tutaj – poleciłam jej. – Nie narobisz więcej szkód, jeśli się stąd nie ruszysz.

– Niby tak, ale co mi z tego przyjdzie? Jestem daleko od ciastek. I nie widziałam nieboszczyka. A ludzie nie widzą tu, że jestem niepełnosprawna.

– Jeśli nie przestaniesz walić ludzi po nogach kulami, to cię wyrzucą.

– Nie ma mowy. Jestem stara i wkrótce umrę, a oni chcą dostać moją forszę. Wybrałam tu naprawdę kosztowną trumnę. Mahoniową, ze złożonymi rączkami i wyściełaną prawdziwą

satyną. A do tego wykładana ołowiem, więc robale się do mnie nie dostaną. Powinni w takiej pochować Tutanchamona, byłby dzisiaj jak nowy.

Miałam nadzieję, że dom pogrzebowy nie liczył na pieniądze babci w najbliższej przyszłości, bo byłam przekonana, że babcia nigdy nie umrze.

– Może lepiej by ci się chodziło bez tych kul? – zaproponowałam.

– Ale wtedy ludzie nie będą mi tak bardzo współczuli. To moja wielka szansa. Inni mają zawały albo kamienie nerkowe, a ja nigdy nie miewam takich przypadłości. Jestem zdrowa jak koń. I nawet nie połamalam się na tyle, żeby nam dali naklejkę dla inwalidy na samochód. Mówię ci, nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Dobrze, to pójdźmy na kompromis. Możesz trzymać kule, ale nie możesz ich używać do chodzenia.

– No tak chyba możemy się umówić – zgodziła się babcia. – I tak zupełnie sobie z nimi nie radzę. Chyba macham, kiedy powinnam się na nich opierać.

– Gdzie chcesz iść najpierw? – spytałam.

– Chcę zobaczyć nieboszczyka. A potem chcę ciasteczka.

Dwadzieścia trzy

Ustawiałam babcię w kolejce, która centymetr po centymetrze zmierzała do trumny, i ruszyłam na poszukiwania Lenny'ego Pickerala. Po pięciu minutach kręcenia się po pomieszczeniu doszłam do wniosku, że tu wszyscy wyglądali jak Lenny Pickeral. Nawet kobiety. Niektórzy byli starsi od innych, ale poza tym niczym się od siebie nie różnili.

Zatrzymałam się przy wybranym losowo Pickeralu.

– Szukam Lenny'ego. Widziała go pani? – spytałam.

– Dopiero co z nim rozmawiałam – odpowiedziała. – Jest tu gdzieś.

– A co miał na sobie?

– Ciemną sportową marynarkę i błękitne polo.

Bosko. Ten opis pasował do połowy Pickeralów. Przeszłam na drugą stronę sali i spytałam raz jeszcze.

– Jest tu, rozmawia z ciocią Sophie – odpowiedziała kobieta. – Stoi plecami do nas.

Prześlizgnęłam się do Lenny'ego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Lenny Pickeral? – upewniłam się.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Taa.

– Przepraszam – zwróciłam się do cioci Sophie. – Muszę zamienić z Lennym słowo.

Lenny był mojego wzrostu i szczupłej budowy. Jego ciuchy były schludne, ale niedrogie. A cera miała barwę typową dla pracowników biurowych. Zaprowadziłam go do spokojnego kąta i się przedstawiłam.

– Ale co to znaczy? – spytał. – Windykacja poręczeń?

– Kiedy nie stawisz się na rozprawę, przepadają pieniądze, które mój pracodawca wyłożył za ciebie tytułem poręczenia. Jeśli przyprowadzę cię do sądu i ustalę nową datę rozprawy, pieniądze do nas wracają.

– A, no brzmi sensownie – zgodził się Lenny. – Kiedy chcesz to załatwić?

– Teraz.

– A długo to potrwa? Mama przyjechała ze mną moim samochodem.

– A ktoś inny nie może odwieźć jej do domu?

– No chyba może. A sąd pracuje w nocy? Jak to w ogóle działa?

Zadawał za wiele pytań i widziałam już, jak do jego spojrzenia wsącza się panika. Miał zamiar uciekać. Wyciągnęłam z torebki kajdanki i KLIK! bransoletka zamknęła się na jego nadgarstku. Lenny wytrzeszczył oczy i szczęka mu opadła, patrzył na metal na nadgarstku, jakby to był jakiś groźny gad.

– Nie chcę robić sceny. Wyjdźmy stąd po prostu, cicho i spokojnie – powiedziałam.

– Co się dzieje? – zapytała jakaś kobieta. – Dlaczego pani skuła Lenny’ego? Hej, Maureen, no popatrz tylko.

W mgnieniu oka zostaliśmy z Lennym otoczeni przez Pickeralów.

– Nic strasznego się nie dzieje – zapewniłam ich. – Zabieram Lenny’ego do śródmieścia, żeby ustalić nową datę rozprawy.

– Chodzi o ten papier toaletowy? – spytał jeden z mężczyzn.

– Tak – odpowiedziałam.

– To nie w porządku. Przecież wszystko oddał.

– I chodziło o słuszną sprawę – dołączył drugi. – To był protest. Używała pani kiedyś tego papieru przy autostradzie? Ten papier jest jak nawoskowany!

No dobrze, rzecz w tym, że nienawidziłam papieru z toalet przy autostradzie. Rozumiałam przyczyny protestu. Jednak jedyną rzeczą gorszą niż woskowany papier toaletowy jest całkowity brak papieru toaletowego.

Przez tłumek przepchnęła się starsza pani.

– Jestem jego matką. O co chodzi? – spytała, spoglądając na kajdanki.

– O ten papier toaletowy – wyjaśnił ktoś.

– Och, na litość boską. To był tylko papier toaletowy – powiedziała pani Pickeral. – I wcale nie był dobry.

– Poza tym to jest jego życiowa misja – dodała jakaś kobieta. – Jest krzyżowcem. Jak Robin Hood.

– Właśnie – zaczęli pomrukiwać inni Pickeralowie. – Jak Robin Hood.

– Ale i tak musi stawić się w sądzie – nie ustępowałam.

– Wczorajem żaden sąd nie pracuje – odpowiedziała mi pani Pickeral. – A on musi mnie podwieźć do domu. Dopilnuję, żeby stawił się jutro rano.

Słyszałam to już nie raz. Nikt nie stawiał się kolejnego dnia.

– No proszę na niego spojrzeć – nie odpuszczała pani Pickeral. – Czy on wygląda na

kryminalistę?

Z nosa mi ciekło, oczy mi spuchły od tych wszystkich kwiatów i coraz mniej obchodził mnie Lenny i jego głupia toaletowa zbrodnia.

– Dobra – powiedziałam, zdejmując mu kajdanki. – Puszczę go, ale na waszą odpowiedzialność. Jeśli Lenny nie stawi się w sądzie jutro rano, żeby raz jeszcze ustalić kaucję, wszyscy będziecie współwinni przestępstwa.

To akurat była całkowita bzdura, ale miałam wrażenie, że coś powiedzieć powinnam. I w tej samej chwili Bóg nagroził mnie za okazanie współczucia i puszczenie Lenny'ego wolno. A może butelka, którą jakimś sposobem zabrałam z domu, przyniosła mi szczęście, bo gdy odwróciłam się od Lenny'ego, kątem oka dostrzegłam głowę wystającą ponad tłum. To był Butch Goodey. Moja część nagrody za złapanie Lenny'ego wystarczyłaby mi na zapiekankę z klopsikami. Ale opłata za Goodeya wystarczyłaby mi na czynsz i jeszcze by zostało.

Goodey stał przy trumnie i składał kondolencje rodzinie. Przytuliłam się do ściany i zbliżyłam do niego z tyłu. Nie wiedziałam, jak mam go pojmać. Nie miałam ani paralizatora, ani pieprzu. Nie miałam też zamiaru do niego strzelać. Nawet gdyby udało mi się go skuć, to nie wiedziałam, jak mogłabym powstrzymać go przed ucieczką. Stałam z boku i czekałam, aż odejdzie od trumny.

– Hej – powiedziałam, zachodząc mu drogę. – Jak się masz?

Przez moment jego twarz nie wyrażała absolutnie niczego, starał się skojarzyć, gdzie już mnie widział, i nagle sobie przypomniał.

– To znowu ty! – powiedział. Obrócił się, szukając drogi ucieczki, i wbił spojrzenie w drzwi prowadzące do westybulu.

– Czekaj! – Złapałam go za kurtkę. – Musimy porozmawiać. Możemy się dogadać.

– Nie pójdę do więzienia – powiedział i ruszył do drzwi. Nadal trzymałam się jego kurtki, próbując go spowolnić ciężarem swojego ciała. Zupełnie bezskutecznie. Goodey przewracał ludzi, rozpychał ich na boki, torując sobie siłą drogę do wyjścia.

Babcia stała w otwartych podwójnych drzwiach, zaraz obok stanowiska z ciastkami.

– Hej – powiedziała do Butcha. – Co ty wyprawiasz z moją wnuczką?

– Zejdź mi z drogi – warknął Butch.

– Tak się nie mówi do starszej pani – pouczyła go babcia i walnęła w goleń kulą.

– Au! – powiedział Butch i stanął na wystarczająco długo, bym zdążyła rąbnąć go w

klejnoty torebką. Butch gwałtownie zassał powietrze i złożył się wpół.

Podskoczyłam do niego i zapięłam mu kostki plastikowymi kajdankami. Dwa razy.

– Rany, ale ty potrafisz przygrzmocić tą torebką – pochwaliła babcia. – Co w niej masz?

– Butelkę wujka Pipa.

Uzyskałam to, że Butch tarzał się po podłodze w domu pogrzebowym. W pewnym stopniu go pojmałam, nie miałam jednak jak zapakować go do samochodu. Nie mogłam go wywlec, a nie był w stanie iść ze spętanymi kostkami. Jeśli skułabym mu ręce i zdjęła kajdanki z nóg, toby uciekł.

– Potrzebuję pomocy, żeby go wsadzić do samochodu – powiedziałam do ludzi tłoczących się wokół.

Zaczęli przestępować z nogi na nogę. Nikt się nie zgłosił.

– Na litość boską – jęknęłam. – Ten człowiek to przestępca.

Podszedł do nas dyrektor domu pogrzebowego Mitchell Shepherd.

– Motyla noga – powiedział, patrząc na Butcha.

– To zbieg – oznajmiła babcia. – Moja wnuczka właśnie wykonała manewr zatrzymania zbiega.

– No widzę – stwierdził Mitchell. – Ale nie może zostać tak na podłodze.

– W takim razie proszę mi pomóc zawlec go do samochodu – poprosiłam.

Shepherd schylił się do Butcha, a Butch zawarczał i chwycił Mitchella. Ten wymierzył mu policzek. I zaczęli tarzać się szczeni.

– Pomocy! – wrzasnął Shepherd. – Wezwijcie policję. Niech ktoś coś zrobi!

Ja zareagowałam. Walnęłam Butcha w głowę torebką. Butch oszołomiony potrząsnął głową i Mitchell zdołał mu się wyrwać.

– No to nie wyszło najlepiej.

Butch miotał się po podłodze, machając rękami, próbował chwytać ludzi i wszyscy woleli trzymać się w bezpiecznej odległości. Miałam do wyboru: walnąć go raz jeszcze butelką i ogłuszyć, wezwać policję, wezwać KomandoMan albo puścić go wolno. Zdecydowałam się na KomandoMan.

Potrzebowali pięciu minut, żeby odpowiedzieć na moje wezwanie. Dwóch wielkich facetów w czarnych ciuchach KomandoMan, z pasami pełnymi najróżniejszego sprzętu wokół bioder, podeszło spokojnie do Butcha i oceniło sytuację. Butch wciąż leżał na podłodze, pocił się i charczał, i pluł, i próbował chwytać.

Jeden z ludzi Komandosa potraktował go paralizatorem, ale nie był dość szybki i Butch wyrwał mu paralizator i odrzucił.

– Hmm – powiedział człowiek Komandosa z namysłem.

– Taa. Też już tego próbowałam – odpowiedziałam.

– Jesteś pewna, że to człowiek?

– Może moglibyście zahaczyć łańcuch o te kajdanki na kostkach i powlec go za swoim wozem? – zaproponowałam.

– Już tak kiedyś zrobiliśmy i Komandos nie był zadowolony – odparł tamten. – A jak zrobisz drugi raz coś, co się nie podobało Komandosowi, to kończysz bez pracy i w strasznym stanie.

– Musimy oczyścić teren – zdecydował ten drugi. – Pozbyć się publiczności.

Większość gapiów się znudziła i odeszła z własnej woli, pozostałych przekonałam, by pomyśleli o przekąskach i napojach. Zaganiałam ich właśnie do stolika z ciasteczkami, gdy usłyszałam dźwięk, jakby kij bejsbolowy uderzył w worek piasku. FŁAK! Odwróciłam się i zobaczyłam, że Butch jest nieprzytomny.

– Nic mu się nie stało? – upewniłam się.

– Nic – zapewnił mnie człowiek Komandosa. – Nic mu nie będzie, musiał się tylko uspokoić. Mamy go zawieźć dla ciebie na posterunek?

– Tak, byłabym wdzięczna.

Skuli Butchowi wielkie łapy na plecach i powlekli go do samochodu.

– Bardzo mili młodzi ludzie – oceniła babcia.

Odwozłam babcię do domu i zadzwoniłam do Komandosa.

– Masz może minutę?

– Ile tylko zechcesz.

Pojechałam więc do budynku KomandoMan i zaparkowałam w podziemiu. Wjechałam windą na szóste piętro i nacisnęłam guzik interkomu przy drzwiach apartamentu. Mogłam po prostu wejść. Miałam klucz. Ale doszłam do wniosku, że wysłałabym w ten sposób niewłaściwy sygnał.

Komandos otworzył drzwi i otaksował mnie spojrzeniem.

– Ładnie.

– Dziękuję. Byłam na czuwaniu.

– Słyszałem.

Miał na sobie służbowy strój. Czarną koszulkę, bojówki i czarne adidas. Cień zarostu na policzkach.

Jego mieszkanie zawsze było idealnie posprzątane i przyjemnie chłodne. Przyciemnione światło w korytarzu, pod ścianą na wąskim stoliku świeże kwiaty. Wszystko dzieło jego gospodyni. Poszłam za nim do kuchni i poczęstował mnie lampką wina. Kuchnia była niewielka, ale najwyższej klasy. Nierdzewna stal i czarny granit.

– Na co mam przeznaczyć minutę? To wizyta osobista czy służbowa?

– Służbowa. – Posmakowałam wina. – Doskonale.

Morelli zaproponowałby mi piwo. Komandos zawsze częstował mnie winem, na jakie nie było mnie stać. Znał wartość pokusy i przekupstwa.

Oparł się o blat, zakładając ramiona na piersi.

– Domyślam się, że chodzi o Vinniego.

– Udało nam się zebrać pieniądze, żeby spłacić jego dług, i siedzieliśmy w agencji, gdy prezes Wellingtona zadzwonił i kazał Vinniemu stawić się w swoim biurze.

– Dzisiaj?

– Tak. Dziś po południu. No więc pojechaliśmy z Vinniem do Wellington Company, do biurowca Meagana. Ale ich biuro było puste. Był tam ten prezes, Roger Drager, kilku gości w garniturach układało pasjansa przy komputerach i dzieciak, który obsługiwał gigantyczną niszczarkę do papieru. Drager powiedział, że to przez ruchomy czas pracy, ale boksy nie wyglądały na używane. Żadnych rzeczy na blatach, żadnych śmieci w koszach. I Drager był zdenerwowany. Ręce mu się pociły.

– Czego chciał?

– Pieniądzy. Wiedział o lewych kaucjach i chciał dostać swoją forszę z powrotem.

– Nie chciał zamknąć agencji? Nie zadzwonił na policję?

– Nie. Vinnie powiedział, że całe to miejsce wygląda podejrzanie. Jak przykrywka. Bał się, że obrabiał kogoś, kto był jeszcze większym oszustem niż on sam.

– Niedobrze – stwierdził Komandos.

– Jest gorzej. Wróciliśmy do biura i trzech goryli przyszło i próbowało go zabrać, grożąc nam bronią. Jeden postrzelił Lulę, ale tylko drasnął, wtedy Connie strzeliła mu w kolano i się wynieśli.

Komandos się uśmiechnął.

- Connie pewnie strzela facetom w kolana od czasu, gdy skończyła dwanaście lat.
- I co myślisz o tym całym Wellingtonie?
- Myślę, że nie chciałbym dla nich pracować.
- Powinnam z tym iść do Morellego?
- Tylko jeśli chcesz drugiego w kolejności najlepszego.
- Mówię o działaniach policyjnych.

Komandos wyjął mi z dłoni kieliszek, upił nieco wina i odstawił na blat.

- Sprawdźmy tę całą spółkę.
- Teraz?
- Tak.

Poszłam za nim przez mieszkanie do sypialni.

- Budynek będzie pusty – powiedział Komandos, przechodząc do garderoby. – Sprzątacze już też pewnie skończyli.
- A co z alarmem?
- W całym budynku alarm instalowało KomandoMan.

Dwadzieścia cztery

Sypialnia Komandosa była obrazem męskiego luksusu. Ciemne drewno, ściany w oprawie kości słoniowej, wszystko w brązach i beżach, łóżko królewskich rozmiarów zasłane drogą włoską pościelą. Obok znajdowała się duża łazienka i garderoba, dorównująca wielkością mojej sypialni. Komandos otworzył szufladę wbudowanej komody, wyjął z niej pas z oprzyrządowaniem i założył. Z kolejnej szuflady wyjął broń. Kajdanki, paralizator, gaz. Podał mi ołówkową latarkę i drugą wziął sobie. Na ramiona narzucił wiatrówkę z logo KomandoMan, wyjął jeszcze jedną kurtkę i podał mnie.

– Zamień sweterek na to. Jeśli ktoś nas zobaczy, powiemy, że to rutynowa kontrola ochrony.

Zjechaliśmy do garażu i tam Komandos wybrał SUV-a z firmowej floty. Od biurowca Meagana dzieliło nas zaledwie kilka przecznic. W nocy nie było problemu z parkowaniem, postawiliśmy wóz dokładnie przed wejściem. Komandos użył swojego klucza elektronicznego, żeby wejść do budynku i wyłączyć alarm. Nie potrzebowaliśmy latarek. Lobby, korytarze i windy rozświetlał przytłumiony blask lamp.

– Piąte piętro – poinformowałam Komandosa.

Wsiedliśmy do windy. Komandos wcisnął guzik i popatrzył na mnie.

– Jesteś wyjątkowo spokojna.

– Przy tobie łatwo jest zachować spokój, czuję się chroniona.

– Staram się – powiedział. – Chociaż nie zawsze współpracujesz.

Wysiedliśmy i ruszyliśmy do pomieszczeń spółki. Komandos otworzył drzwi, weszliśmy do środka i wtedy zamknął za nami. Wnętrze pogrążone było w nieprzeniknionych ciemnościach. Żadnego oświetlenia przypodłogowego. W zewnętrznych biurach chyba paliło się światło, ale to było za mało, żebym mogła coś zobaczyć. Komandos włączył latarkę.

– Postarajmy się korzystać z jednego źródła światła. Trzymaj się mnie, jeśli słabo widzisz.

Złapałam go za spodnie z tyłu, tuż ponad pasem z kaburą.

– Możemy iść.

Przez chwilę trwał nieruchomo.

– Mogłaś się złapać kurtki – stwierdził.

– A wolałbyś, żebym trzymała się kurtki?

– Nie. Ani trochę.

Omiótł boksy wąskim promieniem światła. Otworzył kartotekę. Pusta.

– Miałaś rację – stwierdził. – Nic z tego nie było używane. Gdzie jest biuro Dragera?

– Na końcu tego pomieszczenia jest korytarz, a jego biuro na końcu korytarza.

– A tu? – Komandos przesunął promień latarki na mijane drzwi.

– Niszczarka.

– A tu?

– Biuro. Drager powiedział, że ma tu spotkanie, wszedł tutaj, a myśmy z Vinniem sami trafili do wyjścia.

Komandos otworzył drzwi i omiótł pomieszczenie światłem. To była sala konferencyjna. Duży owalny stół. Wokół niego krzesła. Puste.

Poszliśmy dalej do gabinetu Dragera. Drzwi były uchylone i Komandos zatrzymał się w progu. Wiedział, co znajdzie w środku. Ja też wiedziałam. Oboje mogliśmy to wywąchać. Rozkład. Nie trzeba długo czekać po śmierci. Ciało się opróżnia. Krew stoi w kałużach. Zapach jest wyjątkowo charakterystyczny.

– Poczekaj tutaj – powiedział Komandos.

– W porządku – zapewniłam go. – Dam radę.

Drager leżał na podłodze przy biurku. Zapewne spadł z krzesła. Ktoś strzelił mu w tył głowy. Egzekucja. Jak w przypadku Kulika i Dunne'a. Komandos założył jednorazowe rękawiczki i przeszukał kartotekę.

– Niczego tu nie ma – oznajmił. – Biuro zostało wyczyszczone. – Podeszedł do dużego biurka.

– O-ho – mruknął, gdy otworzył górną szufladę.

– Co „o-ho”? Nienawidzę „o-ho”.

– Wyjdź z pokoju.

– Słucham?!

– Materiały wybuchowe – wyjaśnił. – Jedna bomba z zapalnikiem czasowym, druga z odciągami. Gdybym otworzył tę szufladę jeszcze centymetr, twój chomik zostałby sierotą.

– Ile mamy czasu?

– Siedem minut.

– Kurwa!

Odwróciłam się i potknęłam o neseser Dragera.

– Zabierz – rozkazał Komandos, chwytając mnie za rękę. Szarpnięciem pociągnął mnie na korytarz.

Pobiegliśmy korytarzem i przez salę z boksami. Wypadliśmy przez drzwi i wskoczyliśmy do windy. Komandos nacisnął guzik.

– Ile czasu mamy? – spytałam.

– Cztery minuty. Mnóstwo – odpowiedział.

Wysiedliśmy w lobby i wybiegliśmy z budynku. Komandos ponownie uruchomił alarm pstryknięciem elektronicznego klucza. I wsiedliśmy do SUV-a.

– Dwie minuty – oznajmił Komandos, ruszając.

Okna na piątym piętrze eksplodowały, gdy dojechaliśmy do rogu. Komandos zawrócił i zaparkował po drugiej stronie tak, że mogliśmy obserwować budynek. Rozległa się druga eksplozja, alarm zawył, a z okien wylał się ogień.

Komandos zadzwonił do centrali w swojej firmie.

– Każ ludziom, którzy odpowiedzą na alarm w biurowcu Meagana, zabezpieczyć teren wokół budynku. W żadnym razie nie mają wchodzić do środka, póki inspektor straży pożarnej nie powie, że budynek jest bezpieczny.

Nadjechały dwa SUV-y z KomandoMan i zaparkowały pół kwartału od płonącego budynku. Równocześnie z nimi pojawił się radiowóz. Komandos raz jeszcze zawrócił i pojechał do firmy. Zaparkował w garażu i popatrzył na mnie.

– Potrafisz nieźle biegać w tych szpilkach – powiedział. – Miesiącami nie będę mógł spać przez samo wspomnienie.

Uśmiechnęłam się.

– Przykro mi, że zakłócam twój sen.

– Jest na to lekarstwo. – Komandos wysiadł z samochodu. – Możesz dokończyć swoje wino i możemy to przedyskutować. – Otworzył drzwi po mojej stronie, wyjął mi z ręki neseser i uśmiechnął się szeroko. – Słonko, masz panikę wypisaną na twarzy.

– Stanowisz dylemat.

Poprowadził mnie do windy.

– Dobrze wiedzieć.

W milczeniu dotarliśmy na piętro Komandosa. Otworzył drzwi, a ja udałam się prosto do kuchni po swój kieliszek z winem.

– Żałuję, że nie mieliśmy więcej czasu, żeby rozejrzeć się po tym biurze – stwierdził Komandos.

Położył kurtkę i pas z kaburą na blacie, nalał sobie kieliszek wina i dopełnił mój.

Przeszliśmy do jadalni, gdzie Komandos wysypał zawartość nesesera na stół.

– Wyciągi bankowe. I lista firm będących własnością spółki – oznajmił i zaczął przerzucać papiery. – Wygląda na to, że mamy tu dokumenty potwierdzające regularne przelewy do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością z New Jersey o nazwie GBZakhar, ktoś je odhaczył na ostatnim wyciągu.

Wziął jeden z wyciągów do pokoju, który był połączeniem biura i niewielkiej salki telewizyjnej, i tam wpisał Zakhar w wyszukiwarkę w komputerze.

– GBZakhar nie ma żadnej strony – powiedział. – Zobaczmy w takim razie portal tematyczny, z firmami stanu Jersey.

Komandos klikał, aż wreszcie dotarł do strony, gdzie można było wyszukiwać publiczne rejestry. Wpisał numer karty kredytowej i na ekranie pojawiły się informacje dotyczące GBZakhar.

– Interesujące – powiedział. – Poznajesz nazwisko przedstawiciela firmy?

– Walter Dunne. Jeden z prawników z Wellington zastrzelony za restauracją.

– Jako adres spółki wpisana jest skrzynka pocztowa w Newark. Lista dyrektorów: Mickey Myszkowski, Wacław Fijut, Eponim Nieobecny i Gregor Bluttovich. Trzy pierwsze oczywiście są nieprawdziwe, zostaje nam Gregor Bluttovich – podsumował Komandos.

– Blutto! Maruda mówił, że słyszał, jak Słonecznik rozmawia o Blucie, ale nie wiedział, czy to imię, nazwisko, czy ksywa.

Pochylałam się nad siedzącym Komandosem, tak by móc czytać informacje na ekranie, i z całej siły starałam się nie pocałować go w kark. To by było absolutnie niewłaściwe, ale czułam niewyobrażalną pokusę. Komandos zawsze tak wspaniale pachniał, uwielbiałam jego żel pod prysznic. Zielone Bulgari. Jakim cudem zapach utrzymywał się na jego ciele przez cały dzień, pozostawało tajemnicą. Czarna koszulka rozciągała się na bicepsach. Całą jego biżuterię stanowił zegarek. Plecy wydawały się takie silne nawet pod materiałem T-shirta. Pomyślałam, że bez koszulki wyglądałyby jeszcze lepiej. A wystarczyło jedynie dotknąć ustami jego karku i koszulka by zniknęła.

– Słonko, jeśli się nie cofniesz trochę, to o Bluttovichu dowiemy się czegoś dopiero jutro.

Ani drgnęłam. Kontemplowałam.

– Słonko?

Cofnęłam się.

– Czytałam to, co na ekranie. Zobaczmy, co nam się uda znaleźć o tym Blutcie.

Komandos miał programy najwyższej klasy, które sprawiały, że mało kto był w stanie zachować jakieś wirtualne sekrety. Mógł wyszukać dokumentację medyczną, historię kredytową, numer buta, spory toczony przed sądem, co tylko chciał.

Wpisał „Blutto” do wyszukiwarki jednego z tych programów i na ekranie zaczęły pojawiać się informacje.

– Pięćdziesiąt dwa lata – czytał Komandos. – Urodzony w Warnie, w Bułgarii. Przyjechał do Stanów w dziewięćdziesiątym drugim. Ma cztery byłe żony, obecnie w stanie wolnym. Siedmioro dzieci z tymi czterema żonami. Najstarsze dziecko ma trzydzieści cztery lata, najmłodsze sześć. Przez piętnaście lat służył w policji w Warnie. Potem nie ma już żadnych informacji o zatrudnieniu. Ma nieruchomości w Newark i hrabstwie Bucks. Znam tę okolicę w Newark, tam mieszka sporo imigrantów z Rosji. Druga nieruchomość jest w Taylorsville. Ma udziały w trzech kompaniach inwestycyjnych. Dwa lata temu założono mu podwójny by-pass. W zeszłym roku został oskarżony o napaść przy użyciu śmiertelnej broni, ale zarzuty wycofano.

– A co to była za broń?

– Piła łańcuchowa. Odciął facetowi nogę. Wedle jego wersji przez przypadek.

– To nie jest miły człowiek.

– Mam kontakty w Newark. Sprawdź, czy w kuchni nie ma jakichś krakersów i sera, a ja trochę podzwonię.

Poszłam do kuchni, nalałam sobie kolejny kieliszek wina, znalazłam też brie i jakiś ser, który był śmietankowy i ziołowy. Położyłam oba trójkąty sera na desce z krakersami, dołożyłam kawałki jabłka i świeże truskawki, po czym wszystko zaniiosłam Komandosowi, razem z butelką wina i kieliszkami. Postawiłam tacę na biurku i posmarowałam sobie krakersa brie.

Komandos zdjął słuchawki z mikrofonem.

– Jak miło.

– Nie moja zasługa. Ella wszystko przygotowała.

Komandos odkroił plasterek tajemniczego sera i zjadł go z kawałkiem jabłka. Żadnych pustych kalorii z bezwartościowego krakersa. Komandos był fanem zdrowego trybu życia.

– Rozmawiałem z dwiema osobami w Newark. Za każdym razem usłyszałem, że Gregor Bluttovich jest niebezpieczny. Bułgarski mafioso. Przezywają go Blutto. Ogromne ego. Paskudny charakter. Prawdopodobnie obłąkany do stopnia niepoczytalności. Obie osoby użyły słowa „psychol”, żeby go opisać. Ma swoją organizację, średniego zasięgu, i się przeforsował. Ulica twierdzi, że eliminuje co wrażliwszych partnerów biznesowych.

– Jak Wellington?

– Tak.

– A gdzie w tym wszystkim wypada Vinnie?

– Bluttovich jest właścicielem Wellington Company. Więc Vinnie oskubał Bluttovicha.

A to bardzo niezdrowe.

– Jak bardzo?

– Tak bardzo, jak to możliwe.

– Śmiertelnie?

– Bardzo śmiertelnie – potwierdził Komandos.

– I co ja mam zrobić?

– Nalać sobie jeszcze wina.

– A potem?

Komandos spojrzał mi w oczy.

– Gdybym nie sądziła, że to niemożliwe, pomyślałabym, że próbujesz mnie upić – powiedziałam.

– Upić nie. Tyko doprowadzić do tego, że będziesz odprężona i naga.

Moją uwagę rozproszyła ikona migająca na ekranie komputera.

– Dlaczego ten mały ogieniek tak miga? – spytałam.

– Bo jestem podpięty pod centralę. Jeden z naszych systemów zasygnalizował pożar.

Stuknął w klawisz i na monitorze wyświetlił się adres.

– Hamilton Avenue – stwierdziłam. – Omójboże, to agencja!

Komandos założył słuchawki i połączył się ze swoją centralą, po czym zdjął je i wstał.

– Jak sądzę, to koniec romantycznych chwil – powiedziałam.

– Nie szkodzi, trafi ci się jeszcze niejedna okazja – zapewnił mnie.

Podszedł do mnie i pocałował. Nasze języki się dotknęły i przywarłam do niego całym ciałem.

– To tylko pożar – szepnęłam.

Znieruchomiał na ułamek chwili.

– Widziałaś jeden, widziałaś wszystkie – powiedział i ściągnął mi bluzkę przez głowę. Pocałował mnie raz jeszcze, a kiedy przestał, mój wzrok powędrował mimowolnie do ekranu komputera.

– Słonko?

– Nic na to nie poradzę. Wszystkie te migające rzeczy strasznie mnie rozpraszają.

Przechylił się, stuknął w klawiaturę i ekran pociemniał.

– Wiem, że one tam są – powiedziałam.

Komandos założył mi bluzkę, pociągnął i wygładził.

– Jestem dobry i zmotywowany, ale na tyle mądry, żeby nie próbować zaspokoić kobiety, której uwaga zaprzątnięta jest czymś innym. – Pocałował mnie lekko w usta i popchnął delikatnie w stronę kuchni. – Masz u mnie dług.

Złapałam torebkę i kardigan, Komandos zapiął pas na biodrach. Zjechaliśmy na dół i wsiedliśmy do mercedesa, ale to Komandos prowadzi.

– Ten wóz pachnie jak smażony kurczak – stwierdził. – I jeszcze coś, coś paskudnego.

– Cuchnąca bomba Connie – wyjaśniłam.

Dwadzieścia pięć

Komandos skręcił w Hamilton i mogłam zobaczyć pomarańczową łunę pożaru.

Oddech uwiązał mi w gardle, a oczy wypełniły się łzami.

K – Zadzwoń do Connie, Luli i Vinniego i upewnij się, że nic im nie jest – powiedział Komandos.

Najpierw zadzwoniłam do Connie. Odebrała po drugim sygnale i odzyskałam odrobinę zdolności do oddychania. Powiedziałam jej o pożarze i kazałam zostać w domu, póki się z nią nie skontaktuję. Potem zadzwoniłam do Luli. Też była w domu. Zadzwoiłam do swojego mieszkania, ale Vinnie podniósł słuchawkę dopiero, gdy wybrałam numer po raz drugi.

– Nie wiedziałem, czy mam odebrać – powiedział.

– Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku. Biuro się pali.

– Szlag! Zaraz tam będę.

– Nie! Właśnie przyjechaliśmy z Komandosem. Zajmiemy się tym. Masz nie wychodzić z mieszkania.

– Jak bardzo jest źle?

– Bardzo. Zadzwoń, jak będę wiedziała coś więcej.

Komandos zaparkował przecznicę dalej. Niewiele mogliśmy zobaczyć przez kłęby dymu bijące w niebo. Ulica zatkana była wozami strażackimi, radiowozami i karetkami. Mężczyźni wykrzykiwali rozkazy. Już zalewali płomienie wodą, jednak im bliżej podchodziliśmy, tym bardziej oczywiste było, że nie ma co ratować. Rozległa się seria niewielkich wybuchów i wszyscy się cofnęli.

– Amunicja – stwierdził Komandos.

Dzięki Bogu za wyprzedaż chodnikową, pomyślałam. Amunicji zostało tyle co nic. Dynamit też został sprzedany. Eksplozje ustały i strażacy podeszli bliżej. Koncentrowali się na ograniczeniu płomieni i ocaleniu przyległych nieruchomości.

– To już wymknęło się spod kontroli – oświadczył Komandos. – Musimy coś zrobić z Bluttovichem.

– Niby co?

– Rozwiązanie krótkoterminowe jest takie, żeby skłonić go do odpuszczenia Vinniemu.

Długoterminowe jest takie, że musimy go zneutralizować na dobre. Dostarczyć organom ścigania dowodów, które pozwolą zamknąć Bluttovicha na bardzo długo.

Spojrzenie Komandosa powędrowało ku czemuś za moimi plecami. Obróciłam się i zobaczyłam Morellego, który się do nas zbliżał.

– Nie ma sensu, żebyś tu czekała – powiedział Komandos. – Niech Morelli pojedzie za tobą do domu, na wypadek gdyby Blutto cię obserwował. Ja zostanę, żeby porozmawiać z inspektorem.

– Nie musisz zostawać – odparłam.

– To moja praca. KomandoMan odpowiada za ochronę agencji.

Morelli podszedł do nas. Skinął głową Komandosowi i Komandos odszedł w stronę strażaków. Morelli uśmiechnął się, zaciskając wargi.

– Nic ci nie jest?

– Nic – zapewniłam go. – Strażacy już tu byli, gdy ja przyjechałam.

– Ulżyło mi – powiedział Morelli. – Po części bałam się, że ty i Lula zaproszyłyście ogień. – Rozejrzał się. – To nie była Lula, prawda?

– Nie – uspokoiliłam go. – Sprawdziłam.

Morelli dopiero teraz mi się przyjrzał.

– Masz na sobie uniform pogrzebowy.

– Ta, i szpilki mnie dobijają. Nie masz nic przeciwko temu, żeby pojechać za mną? Komandos uważa, że potrzebuję eskorty.

Ominęłam pożar i dwadzieścia minut później wjechałam na parking pod domem z Morellem na zderzaku. Wysiedliśmy i Morelli odprowadził mnie do budynku.

Zdjęłam buty i wcisnęłam guzik windy.

– Pewnie powinien odprowadzić cię pod drzwi – stwierdził. – Może nawet do mieszkania. I sprawdzić, czy nie ma potworów pod twoim łóżkiem.

Drzwi od windy się otworzyły i zobaczyliśmy Vinniego w figach.

– Jedzcie na górę? – spytał.

Morellemu opadła szczęka.

– Co jest, kurna?

– Zatrzasnąłem się na zewnątrz – wyznał Vinnie. – Zjechałem na dół, żeby zrobić pranie, i kiedy wróciłem na górę, drzwi mieszkania były zamknięte na głucho.

– To moje majtki – powiedziałam.

Vinnie spojrział w dół.

– No pomyślałem, że nie chcesz, żebym biegał nago. Wszystkie moje ciuchy są w pralce.

– I uznałeś, że najlepszym strojem będą figi? – spytałam.

– Tylko w nie się zmieściłem. Są elastyczne.

– Lucille go wykopała i nie miał gdzie się podziać – powiedziałam Morellemu.

Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Widziałem cię w tych majteczkach i wyglądają o wiele lepiej, kiedy ty masz je na sobie.

– Jak nasze biuro? – chciał wiedzieć Vinnie.

– Spalone do fundamentów – powiedziałam.

– O Jezu! – jęknął Vinnie. – Cholera! Kurwa! Chuj!

Uderzył w ścianę windy i tupnął.

– To nie jest obrazek, który chcę zapamiętać – wyznał Morelli.

– Taa, i ja jeszcze nie chcę z powrotem tej bielizny.

– Może powinnaś wrócić ze mną do domu i zostawić Vinniemu całe mieszkanie – zasugerował Morelli.

Przygryzłam dolną wargę. Zostawiłam Vinniego w mieszkaniu na kilka godzin i kiedy wróciłam, paradował w moich majtkach. Żołądek mnie rozboleł na samą myśl, co może zrobić, gdy zostawię go samego na całą noc.

– To nie jest dobry pomysł – westchnęłam. – Nie stać mnie na to, żeby wyrzucać kolejne sztuki bielizny.

– Zrozumiałe. Naprawdę niechętnie cię zostawiam na tym tonącym statku, ale nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić, chyba że chcesz, żebym go aresztował za obnażanie się. – Morelli złapał mnie, pocałował, a potem skłonił do cofnięcia się o dwa kroki i wejścia do windy, po czym wcisnął guzik. – Daj mi znać, kiedy się wyprowadzi. Możemy iść na zakupy i zastąpić tą bielizną czymś bardzo skąpym.

Wysiedliśmy z Vinniem na pierwszym piętrze i otworzyłam drzwi mojego mieszkania.

– Nie możesz tak biegać – oznajmiłam. – Świruję od tego.

Zanurzyłam się w szafie i po chwili intensywnych poszukiwań wyłoniłam się ze starym szlafrokiem.

– Widziałem to – powiedział Vinnie – ale uznałem, że nie wyglądałbym w tym dobrze.

– A widziałeś się w tych majtkach? Od czegoś takiego ludzie wzrok tracą. Nie tylko nie pasują, ale jeszcze widać te wszystkie grudy. Ohydny widok.

– Rany. Po prostu powiedz mi, co czujesz – burknął Vinnie.

Podaliśmy mu szlafrok.

Założył szlafrok i wyjął sobie piwo z lodówki.

– Założę się, że to było podpalenie.

– Bez wątpienia.

– Drager się wścieknie. Ktoś do niego zadzwonił? Myślisz, że ja powinienem?

Znieruchomiałam, myśląc o bezwładnym ciełe Dragera na podłodze biura. I eksplozji, która zniszczyła nie tylko wszelkie dowody dotyczące Wellington Company, ale również Dragera.

– Chyba Komandos się z nimi skontaktuje – powiedziałam. – Moim zdaniem nie ma potrzeby, żebyś ty do nich dzwonił.

– Czuję się jak sierota – wyznał Vinnie. – Nie mam Lucille i nie mam swojego biura. Nawet nie mam własnej bielizny.

Wiedziałam, że sam się wpakował w te wszystkie problemy, ale i tak zrobiło mi się go żal.

– Weź jeszcze jedno piwo i zobaczymy, czy w telewizji jest jakiś film.

Zanim wreszcie poszłam spać, Vinnie wyciągnął swoje ubrania z suszarki na dole. Wrzuciłam szlafrok do kosza na brudną bieliznę i powiedziałam Vinniemu, że może zatrzymać majtki. Chyba był zadowolony.

O dziewiątej rano Lula, Connie, Vinnie i ja zjawiliśmy się w biurze, jak gdyby nadal istniało. Wozy straży pożarnej, pogotowia i policji już dawno odjechały. Trzy budynki otoczono żółtą policyjną taśmą. Antykwariat i pralnia chemiczna po obu stronach agencji nie zostały uszkodzone w pożarze. Były osmalone i zalane wodą, ale nic ponadto. Natomiast nasza agencja była kupą poczerńiałych gruzów.

– No porażka. Przepadła moja kanapa – powiedziała Lula. – Gdzie ja teraz będę siedzieć?

– Biuro można odbudować – odparła Connie – ale straciliśmy teczki zbierane przez lata, tego nie zastąpimy. Tak jak numerów telefonów, adresów, bieżących umów. To wszystko przepadło.

– Bardzo dobrze, że się tego pozbyliśmy – stwierdził Vinnie. – Tkwiłem w długach po jaja. Możemy zacząć od początku, od zera.

– Ta – poparła go Lula. – Możemy kupić nową kanapę. Taką z wibracjami.

– Ocknijcie się – przywołałam ich do rzeczywistości. – Spalenie biura nie było gestem dobrej woli. Pamiętacie tych trzech, którzy chcieli porwać Vinniego, ale byli gotowi zabrać mnie w zamian? Ciągłe jeszcze gdzieś tu są. To pewnie oni spalili nam biuro.

– Dwóch, nie trzech. Larry ma zepsute kolano – poprawiła mnie Lula.

– Mój ulubiony lakier do paznokci był w biurku – westchnęła Connie. – Będę musiała sobie kupić nowy.

– To strasznie przygnębiające – oznajmiła Lula. – Nie wiem, dokąd mam pójść. Czy ja mam jeszcze pracę?

– Możemy zadzwonić do Wellingtona – podsunęła Connie. – Jest sobota, ale ktoś tam może pracować. Jestem pewna, że po prostu przeniosą biuro w inne miejsce.

Oczekaliśmy chwilę, gdy Connie wystukiwała numer, a potem podniosła telefon do ucha.

– Numer się nie zgłasza – powiedziała zdziwiona.

– Co jest nie tak? – chciała wiedzieć Lula.

– To jedyny ich numer, jaki znam. Nie mam żadnych kontaktów na komórkę. Może pojedziemy do centrum i zobaczymy, czy ktoś tam jest. Gdybym to ja była na miejscu Dragera i jeden z moich budynków by spłonął, byłabym w robocie od rana.

– Ja prowadzę – powiedziałam.

Wiedziałam, że Dragera nie będzie za biurkiem, ale nie chciałam się dzielić tą informacją ani opowiadać o naszym wczorajszym włamaniu. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli sami zobaczą. Nie wspominając już o tym, że nie miałam pojęcia, co robić. Odnosiłam wrażenie, że unoszę się w przestrzeni bez celu. Wszyscy zapakowali się do mojego mercedesa i ruszyłam w stronę centrum.

– Wiecie, co powinniśmy zrobić? – zaczęła Lula. – Powinniśmy otworzyć własną agencję poręczycielską. Moglibyśmy ją nazwać Kaucje Duże i Piękne.

– Musisz mieć pieniądze na wkład – uświadomił ją Vinnie. – Pieniądze, żeby wynająć biuro. Zabezpieczenia. Pieniądze na leasing. Musielibyśmy kupić komputery, oprogramowanie, nową kartotekę i zszywacze.

– Moglibyśmy wziąć pożyczkę – nie rezygnowała Lula. – Kto może dostać kredyt?

– Ja nie – odpowiedziałam. – Zalegam miesiąc z czynszem. Nie byłabym w stanie wziąć pożyczki nawet po to, żeby kupić nowy samochód.

– Ja nie – dołączył Vinnie. – Nie mam kredytu nawet u bukmachera.

– No to jest niedopowiedzenie roku – skorygowała go Lula. – Twój bukmacher chce cię zabić.

– Mogłabym iść do mojej rodziny – podsunęła Connie.

Ale wszyscy odrzuciliśmy tę opcję. Gdybyśmy wzięli pieniądze od krewnych Connie, stalibyśmy się własnością mafii.

– A ty? – spytał Vinnie Luli.

– Ze mnie właśnie ściągają. Trochę przekroczyłam limit na kartach i teraz boję się, że mi zarekwirują buty.

Biurowiec Meagana był już tylko przecnicę dalej i poczułam, jak żołądek zwija mi się w supeł. Zatrzymałam się na światłach. Widać było wyraźnie, że ruch przed nami coś zatrzymało, tylko jeden pas był wolny, reszta zastawiona barierkami. Światła się zmieniły i potoczyliśmy się w żółtym tempie do biurowca. Żółta policyjna taśma ciągnęła się wzdłuż chodnika. Wóz straży pożarnej i SUV inspektora stały obok. Przed budynkiem leżało pełno spalonych śmieci i gruzu, nad którym debatowało czterech facetów w kaskach budowlanych. Stali na ulicy i spoglądali w górę budynku. Okna na piątym piętrze zostały wyrwane wybuchem. Wyższe piętra były czarne od sadzy, niższe oznaczone równie ciemnymi zaciekami.

– Na którym była ta cała spółka? – chciała wiedzieć Lula.

– Na piątym – odpowiedziałam.

– No to już chyba wiemy, czemu nie odbierają telefonów.

Connie wyrzała przez okno.

– Ktoś spędził bardzo pracowitą noc.

– To wariactwo – stwierdził Vinnie. – Nawet mafia wie, że nie należy wysadzać dwóch businessów jednego dnia. Kto, do cholery, robi coś takiego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała mu Lula. – Ale muszę dostać kurczaka. I pączki. I taką supertłustą bułkę na śniadanie z szynką, jajkiem i innym gównem.

Dwadzieścia sześć

odjechałam pod trzy różne okienka dla kierowców i gdy wróciliśmy do biura, wszystkim nam było niedobrze. Nie tylko z powodu paskudnego zwrotu, jaki nastąpił w życiu każdego z nas, ale też z powodu jedzenia, które zdołaliśmy wepchnąć w siebie po drodze.

– Nie czuję się dobrze – oznajmiła Lula. – Chyba zjadłam nieświeże jajko. Potrzebuję rennie albo coś.

– A wiecie, czego ja potrzebuję? – odezwał się Vinnie. – Lucille. Wiem, że to głupie, ale tęsknię za Lucille. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem. Była takim wrzodem na dupie. Jak można tęsknić za kimś, kto jest wrzodem na dupie?

– Mój były mąż był wrzodem na dupie i w ogóle za nim nie tęsknię – powiedziała Connie.

– Mam tak samo – dodałam.

Moje małżeństwo trwało jakieś piętnaście minut. Przyłapałam męża na stole w jadalni z Joyce Barnhardt, która ujeżdżała go, jakby brała udział w Kentucky Derby i szła do celownika.

– Twój problem polega na tym, że jesteś palantem – powiedziała Vinniemu Lula. – Masz te wszystkie normalne uczucia, na przykład kochasz Lucille. Ale nie możesz przestać być palantem. Znaczy chodzi mi o to, jaki facet żywi romantyczne uczucia do kaczki?

– Nie wiem – odparł Vinnie. – Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem.

– Widzisz? To jest zawsze dobry pomysł w danej chwili. Ale ty w ogóle nie widzisz związku między dobrym pomysłem i paskudnym „żyli dalej nieszczęśliwie”. W ogóle nie pojmujesz konsekwencji. Uczyłam się o tym na zajęciach z zachowań odbiegających od normy w moim studium policealnym.

– Nie wiedziałem, że chodzisz na zajęcia – zdziwił się Vinnie.

– Oczywiście, że nie wiedziałeś, bo ty nikogo nie słuchasz. Nie jesteś słuchaczem jak ja. Byłbyś lepszym człowiekiem, gdybyś słuchał.

– Słuchałbym częściej, gdybyś mniej mówiła – odparł Vinnie.

– Hunh – powiedziała Lula. – Dupa, a nie byś słuchał.

Żółta policyjna taśma rozciągnięta na drewnianych barierkach otaczała teren, który

kiedyś zajmował budynek agencji. Chodnikiem nadal można było przejść, tak jak i zaparkować przy krawężniku, gdzie stał firebird Luli, samochód Connie i Autobus Miłości Zakręta. Zakręt i hobbici stali na chodniku i oglądali zgliszcza.

Zaparkowałam mercedesa przed firebirdem i podeszłam do Zakręta.

– Lalka – powiedział Zakręt. – Ktoś chyba palił w łóżku.

– Taa. Niewiele zostało z biura.

– Słabo. Chciałem się wpiąć do wtyczki. Hobbici potrzebują prądu do komputerów.

– Muszę uaktualnić mój blog – powiedział jeden z hobbitów. – Muszę pisać na Twitterze.

– Bungo Dobry Smyku – odezwał się starszy hobbit – gdzie twe maniery? Przedstaw nas tej ślicznej istocie.

Zakręt wskazał na starego hobbita.

– To Stary Buck z Bucklandu. Jest w ogóle najstarszy, ale jest spoko. Ten mały gość, który stoi obok niego, to Makówka Dumnostopy. Ten obok to Fredok Szerokoplecy. Imię jakby ten, no, mówi samo za siebie. Dwustopy z Bezbutelczyny. Frodofałszyw. I Rehotka.

– To mnóstwo hobbitów – powiedziała Lula.

– Mnie nie musisz mówić – zgodził Zakręt. – Normalnie jakby mój stary autobus miał ściany z gumy. I nie nadążam z pieczeniem brownie. Te hobbity uwielbiają brownie.

Hobbici odziani byli zgodnie z hobbicią modą. Mieli peleryny z kapturami, zielone i brązowe kamizelki założone na tuniki i stosowne obuwie. Spodnie sięgające niewiele poza kolana, podtrzymywane różnymi paskami od sznura po jaszczura. Rehotka była hobbitem dziewczyną i jej torebka pasowała do różowych conversów. Fredok Szerokoplecy był tak szeroki jak wysoki. Dwustopy z kolei był wysoki, wiotki, o włosach w kolorze piasku i niechlujnej brodzie. Frodofałszyw miał lat dziewiętnaście, a może dwadzieścia i ciało całe w kolczykach i tatuażach, a Makówka Dumnostopy mógł mieć jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat, był najmłodszy.

– Jak długo hobbici z tobą zostaną? – spytałam Zakręta.

– Tydzień. Hobbitcon zaczyna się dzisiaj, ale tak naprawdę nabiera rozpędu we wtorek, kiedy Wielki Święty ogłasza jego oficjalne otwarcie.

– Muszę naładować telefon – powiedział Makówka. – Moja mama zeświruje, jak nie będzie mogła się ze mną skontaktować.

– Ja też – powiedział Stary Buck. – Moja żona pomyśli, że się niecznie zabawiam, jeśli

nie odbiorę telefonu.

– Możecie naładować telefony u mnie – zaproponowałam.

Co mi tam, i tak nie miałam niczego do roboty.

– Słyszeliście? – powiedział Zakręt do hobbitów. – Mamy prąd! Ysellyra Kłujcerz pozwoli się wam wpiąć, goście.

– Trzy okrzyki na cześć Ysellyry – zarządził Szerokoplecy.

– Hobbicie hura! – wrzasnęli wszyscy. – Hura! Hura!

– Jeszcze raz – rozochocił się Makówka.

– Nie trzeba – zapewniłam go. – Wsiadajcie do autobusu i jedźcie za mną.

– Rany, hobbicie to wiedzą, jak się dobrze bawić – stwierdziła Lula. – Nie trzeba wiele, żeby ich uszczęśliwić.

Przejechałam przez miasto z Autobusem Miłości na zderzaku. Zaparkowałam przed domem i wszyscy ruszyliśmy do windy. Stary Buck, Makówka, Szerokoplecy, Dwustopy, Frodofałszyw, Rechołka, Zakręt, Vinnie i ja.

– Sporo hobbitów w tej windzie – stwierdził Vinnie. – Ktoś zna limit obciążenia?

Zakręt wcisnął guzik, winda zatrzeszczała, zadygotała i powoli ruszyła.

– Jest, wystartowaliśmy – powiedział Zakręt.

– Hobbicie hura! – wrzasnęli wszyscy. – Hura! Hura!

– To się może przejeść – mruknął Vinnie do mnie. – Oni się tylko podłączą, tak? Godzinka i sobie pójdą?

Otworzyłam drzwi i hobbicie wpadli do środka. Popodłączali telefony i laptopy do gniazdek w całym mieszkaniu. Skorzystali z łazienki, wypróbowali kanapę, włączyli telewizor, pogruchali nad Reksem i przejrżeli zawartość lodówki i szafek.

Znalazłam stosunkowo cichy kąt i zadzwoniłam do Komandosa.

– Co to za hałas? – zapytał. – Jakbyś tam miała przyjęcie.

– To hobbicie – odpowiedziałam. – Korzystają z mojej elektryczności. Widziałam dzisiaj biurowiec Meagana. Straszne zniszczenia. Myślisz, że będą musieli go zburzyć?

– Nie mam pojęcia. Sprawdzają stabilność konstrukcji. Agencja spłonęła, jakby była z kartonu. Dziesięć minut po tym, jak odjechałaś, zawalił się dach. Ktokolwiek podłożył ogień, musiał użyć niemało środków łatwopalnych.

– Myślisz, że to już koniec?

– Jeśli Bluttovich zniszczył obie firmy, żeby zatrzeć ślady, to na tym się skończy. To

byłaby dobra decyzja z biznesowego punktu widzenia. Jeśli natomiast to jest osobista zemsta na Vinniem, to pewnie jeszcze nie koniec.

– Ciężko uwierzyć, że Vinnie jest tak ważny dla Bluttovicha. Przecież on go nawet nie zna.

– Z tego, co wiem, Bluttovich to maniak żądny władzy. Jeśli uzna Vinniego za zagrożenie, to mu nie odpuści.

– To co teraz robimy?

– Moi ludzie nad tym pracują. Odezwę się do ciebie za kilka godzin.

Rozłączyłam się i poszłam do kuchni po coś do picia. Zakręt obserwował Reksa. Wszyscy inni siedzieli przed telewizorem. Poza Vinniem.

– Gdzie Vinnie? – spytałam.

– W łazience – odpowiedział Zakręt.

Zadzwonił dzwonek do drzwi i Zakręt poszedł otworzyć. Wyjrzałam z kuchni i zobaczyłam dwóch facetów w progu.

– Vincent Plum? – zapytał jeden z nich.

– Nie, gościu. Ja jestem Człowiek Zakręcony, Bungo Dobrysmyk.

– Rany – jęknął tamten. – Facet jest upalony.

– Jest właściwego wzrostu, ma brązowe włosy, szczupły, taki trochę łasicowaty – powiedział ten drugi. – Walnij go.

Zobaczyłam, jak ten pierwszy wyciąga rękę z paralizatorem, i rzuciłam się do Zakręta. Dotarłam do drzwi, akurat gdy zwałił się na podłogę. I też zostałam porażona.

Kiedy mój mózg znowu zaczął działać, miałam związane ręce i nogi i taśmę na ustach. Turlałam się po podłodze vana, raz po raz uderzając w Zakręta, który był tak samo związany i zakneblowany jak ja. Znajdowaliśmy się w półciężarówce o metalowych ścianach bez okien i podwójnych drzwiach z tyłu, wyposażonych w niewielkie okienka. Kierowca i jego partner siedzieli z przodu. Widziałam głównie niebo przez okna. Uliczne latarnie. Drzewo. Nie miałam pojęcia, dokąd nas wiozą. Kierowca i jego partner jechali w milczeniu.

Van zjechał z gładkiej drogi na wyboistą, zakręcił i nawierzchnia znów stała się gładka. Wreszcie się zatrzymał i ktoś otworzył tylne drzwi. Mo popatrzył na mnie i na Zakręta.

– Kto to jest, do cholery? – spytał Mo.

Kierowca obszedł wóz dookoła.

– O co chodzi? To Vincent Plum i jakaś dziewczyna. Przeszkadzała, tośmy ją też zabrali.

Wygląda na rozrywkową.

– To nie jest Vincent Plum, kretyni.

– A skąd możesz wiedzieć? Widziałeś go kiedyś?

– Widziałem, jak wystawił łeb ze swojego biura. I jechaliśmy za nim i dziewczyną z agencji poręczycielskiej do domu, stąd wiedzieliśmy, gdzie ich znaleźć. Wtedy już byśmy go złapali, ale Larry jęczał, skamlał i krwawił.

Do grupy dołączył Eugene.

– Co to ma niby, kurwa, być?!

– Właśnie – poparł go Mo.

– Wzięliśmy nie tego gościa – powiedział kierowca.

– Nie pierdol – warknął Eugene.

– A skąd ja miałem wiedzieć? Jest odpowiedniego wzrostu. Ma brązowe włosy. I taki jest łasicowaty.

– Gregor się wkurwi – zapowiedział Eugene. – Już po niego zadzwoniliśmy i powiedzieliśmy, że mamy Vinniego. Przyjeżdża, żeby mu osobiście obciąć jaja.

– Zadzwoń i powiedz, że się pomyliliśmy – zaproponował kierowca.

– Oszalałeś czy jak? – oburzył się Eugene. – Pamiętasz, co się stało, jak mu Ziggy przyniósł niewłaściwe lody?

– Pamiętam – przyznał kierowca. – Gregor walnął go w łeb młotkiem. I teraz Ziggy się przewraca, jak się odlewa.

– Mam pomysł – oznajmił Eugene. – Może oblejemy wóz benzyną, podpalimy i zepchniemy z urwiska? A potem powiemy Gregorowi, że się zepsuł pedał gazu, straciliśmy panowanie nad wozem i się rozbił, a myśmy wyskoczyli w ostatnim momencie, ale Vinniego już się nie dało wyciągnąć.

– To może się udać – zgodził się Mo.

– Moment – powstrzymał ich zapach kierowca. – Nie musimy się tak wysilać. Czy Gregor widział kiedyś Vincenta Pluma?

– Z tego, co wiem, nie – odpowiedział Eugene.

– No to w czym problem? – spytał kierowca. – Powiemy mu, że to jest Plum. W ten sposób Gregor będzie mógł uciąć komuś jaja i nie będzie rozczarowany, że musiał tu

przyjechać.

– No tak, ale ten gość powie Gregorowi, że nie jest Plumem – zauważył Mo.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Zostawimy mu zaklejone usta.

– Gregorowi się to nie spodoba – stwierdził Eugene. – Lubi, jak ludzie błagają.

– No to najpierw poczekamy, aż Gregor zacznie nad nim pracować, i wtedy zdejmujemy taśmę, jak gość będzie na etapie wrzasków – powiedział kierowca.

Zastanawiali się nad tą koncepcją przez chwilę.

– Może się udać – powiedział Mo.

Eugene się z nim zgodził.

– No dobra, czyli mamy plan – powiedział Eugene. – Zabierzmy ich do domu.

Wsadzimy ich do pokoju w wieży. Jak Gregor przyjedzie, to zabierzemy tego gościa do kuchni, bo tam są kafelki i łatwo się sprząta. A dziewczynę zostawimy dla nas na później.

– Mrrrmf – powiedział na to Zakręt.

– Nie martw się – pocieszył go Eugene. – Boli tylko na początku. Potem mdlejesz.

Zostałam wyciągnięta z vana i Mo przerzucił mnie sobie przez ramię jak worek z piaskiem. Wtedy po raz pierwszy zyskałam szansę zobaczenia domu i okolicy. Za trawnikiem rosły gęsto drzewa. Do samego budynku prowadził długi brukowany podjazd. I dom trudno było nazwać domem. To była forteca. Ponura. Z szarego kamienia. Ogromna. Wymykała się wszelkim opisom. Miała wieżę z zębami, jak jakiś średniowieczny zamek. Gdybym miała sobie wyobrazić dom bułgarskiego obłąkanego mafiosa, dokładnie tak by wyglądał.

Dwadzieścia siedem

ostaliśmy zanieśieni do pokoju w wieży. Rozwiązano nam nogi, ale nadal mieliśmy spętane nadgarstki. Zerwano nam też taśmę z ust.

Z – Gregora nie będzie jeszcze przez jakiś czas – poinformował nas Eugene – więc czujcie się jak u siebie.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Lubię swoje jajka – wyznał Zakręt. – Nie chcę, żeby mi ktoś je obciął. Byłbym wtedy ten, no, bezjajeczny.

– Nie martw się – pocieszyłam go. – Zostaniemy uratowani.

– Tak myślisz?

– No pewnie.

W rzeczywistości nie miałam wcale wielkiej wiary w ratunek. Zbyt mało czasu. Komandos był dobry, ale tu trzeba by cudu. Rozejrzałam się po pokoju. Kamienna podłoga. Zakrzywione ściany, pierścień wąskich okien bez szyb. Grube drewniane drzwi, które nawet nie drgnęły, gdy w nie kopnęłam.

Podeszłam do jednego z okien i wyjrzałam. Dom wznosił się na wzgórzu otoczonym lasem. W oddali widziałam rzekę Delaware. Byłam niemal pewna, że znalazłam się w Pensylwanii. Przez godzinę chodziłam po pokoju, próbując jakoś spalić stres. Zakręt siedział na podłodze, podśpiewując cichutko.

– Ommmm – powtarzał z zamkniętymi oczami. – Ommmm.

Minęła kolejna godzina i zobaczyłam samochód wjeżdżający na podjazd przed domem. Duży czarny lincoln. Zatrzymał się przed drzwiami i wysiadł z niego kierowca. Wielki, miał ciemne falujące włosy, poznaczone śladami siwizny. Nie widziałam jego twarzy, ale podejrzewałam, że to Bluttovich we własnej osobie. Zakręt wciąż komunikował się ze swoim wewnętrznym ja. Nie chciałam mu przeszkadzać. Doszłam do wniosku, że pogodził się z faktem, że straci klejnoty, i nie przyszło mu do głowy, że po tym straci też życie.

Po kilku minutach usłyszałam na schodach ciężkie kroki i podniesione głosy. Drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem, wyrrywając Zakręta ze stanu kontemplacji, a mnie przepelniając na nowo strachem. Eugene i Mo weszli do pokoju, a za nimi po schodach wspinał się facet z lincolna.

– Sprowadzilibyśmy ich na dół – zapewnił go Eugene.

– Zawrzyj pysk, durniu – powiedział tamten. – Nie jestem inwalidą. Jestem bułgarskim bykiem.

Bułgarski byk wszedł do pokoju i odniosłam wrażenie, że jak nic byk dostanie udaru. Twarz zrobiła mu się fioletowa, dyszał ciężko i obłany był potem. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył ponad setkę. W rozgorączkowanej twarzy połyskiwały czarne oczy. Kiedy mówił, trzęsły mu się obwisłe policzki, a mięsiste, wydatne usta odsłaniały niewielkie, kwadratowe i żółte zęby. Miał na sobie workowate spodnie od garnituru i białą koszulkę polo, rozpiętą przy szyi, przez co widać było gęstwinę siwych włosów.

– Więc – zaczął, spoglądając na Zakręta małymi wrednymi oczkami wieprza – co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Gościu – powiedział Zakręt.

Bułgarski byk pochylił się nad nim tak nisko, że ich nosy niemal się dotykały.

– Wiesz, kim jestem? – wrzasnął. – Jestem Gregor Bluttovich! Jestem człowiekiem, którego oszukałeś!

I zanim Zakręt zdołał cokolwiek powiedzieć, Bluttovich uderzył go otwartą dłonią w twarz i przewrócił.

– To nie jest Vinnie – zawołałam.

Eugene i Mo głośno wciągnęli powietrze i zamarli.

Bluttovich odwrócił się w moją stronę.

– Kto to jest?

– Była z nim – odpowiedział Eugene. – Pomyśleliśmy, że ci się spodoba.

– Kłamiecie – powiedziałam natychmiast. – Wzięli nie tego człowieka, a mnie chcieli zatrzymać dla siebie.

Bluttovich popatrzył na swoich goryli.

– To prawda?

– Ona chce tylko zrobić zamieszanie – zapewnił go Eugene.

– Ja jej pokażę zamieszanie – burknął Bluttovich i odwrócił się ku drzwiom. – Głodny jestem. Chcę coś zjeść, a potem rozprawię się z tą dwójką.

Bluttovich ruszył w dół schodów, a Eugene i Mo potoczyli się za nim. Zakręt leżał rozciągnięty na podłodze. Z rozciętej wargi sączyła mu się krew.

– Nic ci nie jest? – spytałam.

– To straszny gościu.

Wróciłam do okna. Rozpaczliwie pragnęłam zobaczyć KomandoMan na podjeździe. Odliczałam sekundy do chwili, gdy Bluttovich skończy jeść i rozpocznie się prawdziwy horror. Tak się wpatrywałam w drogę, tak intensywnie pragnęłam coś na niej zobaczyć, że niemal przegapiłam ruch w lesie po prawej. Wiatru nie było, a jednak coś ruszało się w krzakach. Jakieś zwierzę, pomyślałam. I zobaczyłam kolejny ruch, jakiś metr dalej. I nagle cały las zaroił się od hobbitów. Były wszędzie. Ostrożnie skradały się przez trawę, coraz bliżej kamiennej fortecy. Obiegałam cały pokój, zaglądając we wszystkie okna i wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam hobbitów. Były ich setki.

– Hobbici! – zawołałam do Zakręta. – Wstawaj! Tam są hobbici!

Zakręt dźwignął się z posadzki i oboje patrzyliśmy na hobbity na zewnątrz. Teraz już biegły, wymachując kijami golfowymi, kijami do baseballa i raketami tenisowymi.

– Bić orków! – krzyczały, a prowadzili je Vinnie i Rechetka. – Bić podłych orków!

Vinnie miał na sobie swój strój hobbita, pędził przez trawnik, młóćąc powietrze pięściami, a za nim powiewała brązowa peleryna.

– Dalej, hobbici! – wrzasnął Zakręt przez okno.

Hobbici popatrzyli w górę i na widok Zakręta zakrzyczeli radośnie.

– Hej! – wrzeszczeli i wpadli do domu niczym hobbicie oddziały specjalne. Wskakiwali przez okna i przez drzwi.

W stronę podjazdu zmierzała kawalkada czarnych samochodów prowadzona przez firebirda. U góry warczał śmigłowiec. Z pierwszego samochodu wyskoczył Komandos. Zaraz za nim pojawił się Morelli. Weszli frontowymi drzwiami. Z innych samochodów wylewali się faceci w kurtkach z napisem FBI. Radiowozy lokalnej policji zatrzymywały się na trawniku. Usłyszałam kroki na schodach wiodących do pokoju. Przywarliśmy z Zakrętem do ściany, modląc się, by to nie był Bluttovich. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Rechetka. A potem wpadła do środka, doskoczyła do Zakręta, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

– Tak się martwiłam, Bungo Dobrysmyku – powiedziała.

Zakręt uśmiechnął się szeroko.

– *No problemo* – powiedział. – I wciąż mam swoje jajka.

Następny w drzwiach pojawił się Komandos, a za nim dwudziestu albo i trzydziestu hobbitów, którzy zaczęli tłoczyć się wokół Zakręta, wyglądać przez okna i komentować,

jakie tu piękne lasy i jakie wzgórze, i jakie wspaniałe Shire by tu było.

Komandos przeciął plastikowe kajdanki na moich nadgarstkach.

– Nic ci nie jest?

– Nic. Jakim cudem tak szybko nas znaleźliście?

– Vinnie i hobbici dotarli na parking akurat, gdy van z tobą i Zakrętem odjeżdżał. Vinnie miał twoją torebkę, więc był w stanie pojechać za wami mercedesem.

– A co Vinnie robił z moją torebką?

– Myślał, że masz tam broń. I rzeczywiście miałaś, ale też miałaś coś lepszego. Kluczyki do samochodu i telefon.

– Vinnie zadzwonił do ciebie.

– Tak. A ja do Morellego, a Morelli zrobił policyjną część. Okazało się, że nietrudno to było zorganizować. Federalni śledzili Bluttovicha od miesiąca.

– A kto wezwał hobbity?

– Hobbity wezwały hobbity. Absolutnie nie dało ich się kontrolować. Baliśmy się, że ruszą do ataku na dom, zanim Bluttovich tu dotrze, i nie będzie go można o nic oskarżyć. – Komandos uśmiechnął się szeroko. – Prawda jest taka, że hobbity załatwiły sprawę. Wzięły Bluttovicha przez zaskoczenie i nikt nie ucierpiał.

Lula i Connie dotarły do pomieszczenia w więzy.

– Mam zawał – oznajmiła Lula w progu. – Normalnie mam atak serca. Ile tu jest schodów, do cholery? Zróbcie mi miejsce. Dajcie mi powietrza. – Zobaczyła mnie i natychmiast złapała w objęcia. – Martwiłyśmy się o ciebie strasznie!

Connie też przyłączyła się do uścisku.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Dopadli wszystkich orków.

– Byłyśmy w kontakcie z Vinniem i hobbitami od samego początku – wyjaśniła Lula. – Więc wiemy wszystko o orkach.

– Są wrogami hobbitów – dodała Connie.

– Chcę zobaczyć Bluttovicha – powiedziałam do Komandosa.

– Kto to Bluttovich? – chciała wiedzieć Connie.

– Złoczyńca. To on spowodował tę całą śmierć i zniszczenie.

– To ja też chcę – stwierdziła natychmiast Lula.

Bluttovicha znalazłyśmy w kuchni. Siedział skuty razem z Mo, Eugene'em, kierowcą i tym drugim gościem, który pomógł mnie uprowadzić. Nawet w kajdankach Bluttovich robił

przerażające wrażenie, wściekłość promieniowała z niego niczym toksyczny gaz.

– Ty! – powiedział, wbijając we mnie wzrok.

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam. Po prostu chciałam zobaczyć go w kajdankach i mieć świadomość, że teraz ja jestem górą. Uczucie było przyjemne.

Lula stała za mną.

– Dlaczego masz takiego wielkiego guza na czole? – spytała Bluttovicha. – Wielki jak piłka bejsbolowa.

Bluttovich spojrział na Lulę z wściekłością i odsłonił zęby w warkocie.

– Rany! Co z tobą jest nie tak? Gdzie twoje maniery? – spytała go.

– Jakiś gość w pelerynie nazwał go orkiem i zdzielił butelką – odpowiedział za szefa Eugene. – Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy kanapki, i nagle wszystkie te hobbity wdarły się do domu, a ten tu ruszył na Gregora z czerwoną butelką od piwa i walnął go w łeb. A potem hobbit pocałował butelkę i powiedział, że jest jego skarbem. Gdyby nie to, że to niemożliwe, tobym powiedział, że ten hobbit wyglądał jak Vincent Plum.

Morelli stał po przeciwnej stronie pomieszczenia i rozmawiał z gośćmi z FBI, ale patrzył na mnie. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały i Morelli się uśmiechnął.

Odjechałam z szarej, kamiennej fortecy z Lulą, Connie i Vinniem.

– Walnąłeś Bluttovicha moją szczęśliwą butelką, prawda? – zwróciłam się do Vinniego, gdy Lula skręciła na River Road.

– Taa. To było piękne – odpowiedział. – Wzięliśmy ich z zaskoczenia. Zobaczyłem Bluttovicha przy stole i wszystko przypomniałem sobie w jednym momencie. Widziałem go w domu Słonecznika, tego dnia, gdy ktoś podłożył ogień. Mogłem do niego strzelić. Miałem twój rewolwer, ale wiedziałem, że gliniarze są tuż za mną, więc walnąłem go w gębę butelką.

– Więc jednak butelka okazała się szczęśliwa – stwierdziła Lula.

– To nie jest szczęśliwa butelka – powiedział Vinnie. – To butelka Szczęśliwej. Dzisiaj rano rozmawiałem z mamą i powiedziała, że nie ma żadnej tajemnicy, jeśli chodzi o tę butelkę. Świnka morska Pipa miała na imię Szczęśliwa. W butelce są prochy Szczęśliwej. Pip zostawił ją Stephanie, ponieważ ona ma chomika. Chyba uznał, że łączy ich słabość do gryzoni.

Obróciłam się i spojrzałam na Vinniego.

– Cały ten czas nosiłam ze sobą prochy świnki morskiej?

– Taa – powiedział Vinnie. – Odłot, nie?

– Nie chcę zmieniać tematu – wtrąciła Lula. – Ale nie mamy już agencji poręczycielskiej. To co będziemy codziennie robić?

– A ja nie mam już Lucille – powiedział Vinnie.

– No z tym to mogę pomóc – odpowiedziała mu Lula. – Maureen Brown jest nadal moją przyjaciółką. Powiedzmy, że skłonię ją do tego, żeby porozmawiała z Harrym i powiedziała mu, że to wszystko było nieporozumienie, a ona wcale z tobą nie świntuszyła. Że, powiedzmy, jej brat potrzebował kaucji, a ty jej doradzałeś.

– I Harry w to uwierzy? – spytał Vinnie.

– Jako osoba studiująca ludzką naturę powiem ci, że ludzie wierzą, kiedy chcą wierzyć, tego się nauczyłam – odpowiedziała Lula. – W każdym razie, jeśli znowu się zejdziesz z Lucille i Harry nie będzie już chciał cię zabić, to może skłonimy go, żeby znowu zainwestował w ten business z kaucjami. A jeśli do tego dojdzie, to chcę kanapę z wibracjami – oznajmiła.

– Masz jak w banku – obiecał Vinnie.

Wóz Connie stał zaparkowany przy zgliszczach agencji i Lula wysadziła ją pierwszą. Vinnie i ja byliśmy następni. Lula zawiozła nas na parking przed moim domem. Zakręt i Rechetka i cała grupa hobbitów jechali tuż za nami moim mercedesem.

– Hej, ludzie – zawołał Zakręt do mnie i do Vinniego. – Dziś wieczorem impreza w Autobusie Miłości.

Podziękowaliśmy i odmówiliśmy, a Zakręt przesadził hobbitów do kampera i odjechał.

– Jeśli mogę pożyczyć mercedesa, to może pojedę i spróbuję pogadać z Lucille – powiedział Vinnie. – Może się uspokoiła. Może ona też za mną tęskni.

Dałam mu kluczyki.

– Powodzenia.

Weszłam do mieszkania i wsłuchałam się w ciszę. Żadnych hobbitów. Ani Vinniego. Tylko Rex i cichy szum obracającego się kółka. Wyjęłam butelkę Szczęśliwej z torebki i postawiłam obok akwarium Reksa. Zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i popiłam ostatnim piwem.

Wciąż jeszcze siedziałam w kuchni, gdy zadzwonił Komandos.

– Tylko sprawdzam, czy jesteś w domu, bezpieczna – powiedział.

– Wszystko w porządku – odparłam. – A u ciebie?

– Też. Przeszukaliśmy dom Bluttovicha i znaleźliśmy dość narkotyków i skradzionych rzeczy, żeby go zamknąć na długie lata. A federalni skonfiskowali mu dokumentację i komputer. Na pewno znajdą tam więcej dowodów przeciwko niemu. No i jego ludzie będą gadać. Ci chłopcy nie są żadnymi bohaterami i nie lubią Bluttovicha. Wyjeżdżam z kraju na kilka tygodni. Czołg będzie miał na ciebie oko. I będę pod telefonem. Odezwę się, gdy wrócę. Masz u mnie dług. – I się rozłączył.

Wzięłam prysznic i miałam właśnie suszyć włosy, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Owinęłam się ręcznikiem i poszłam otworzyć. Najpierw jednak wyjrzałam przez wizjer. Morelli.

– O co chodzi? – spytałam, uchyliwszy drzwi zaledwie odrobinę.

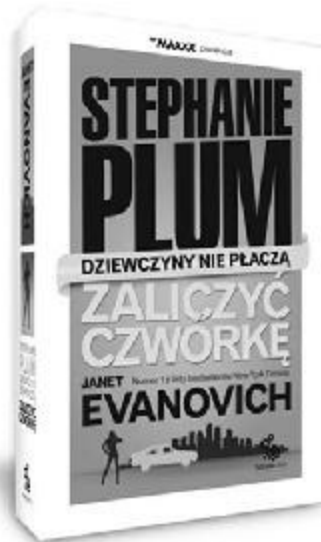
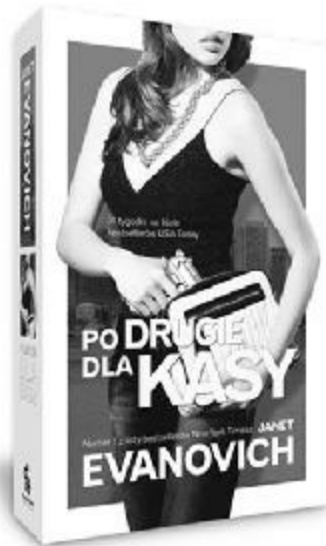
– Mogę wejść?

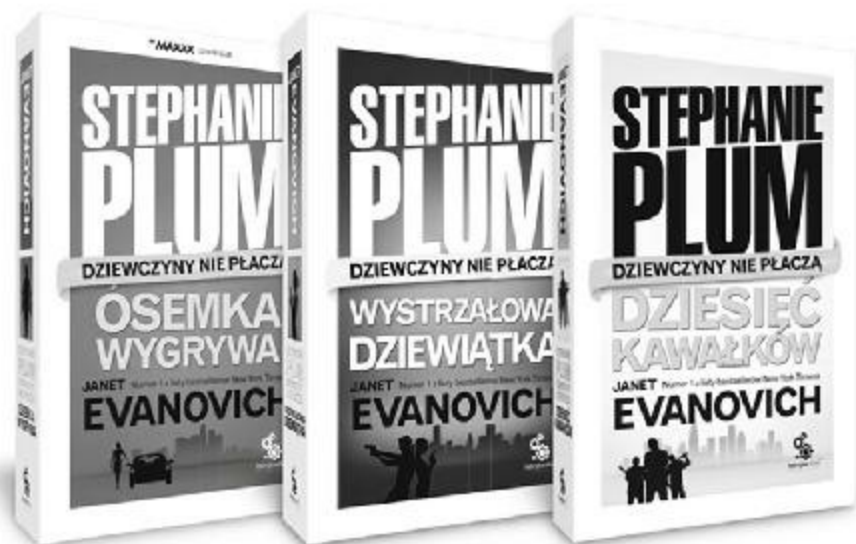
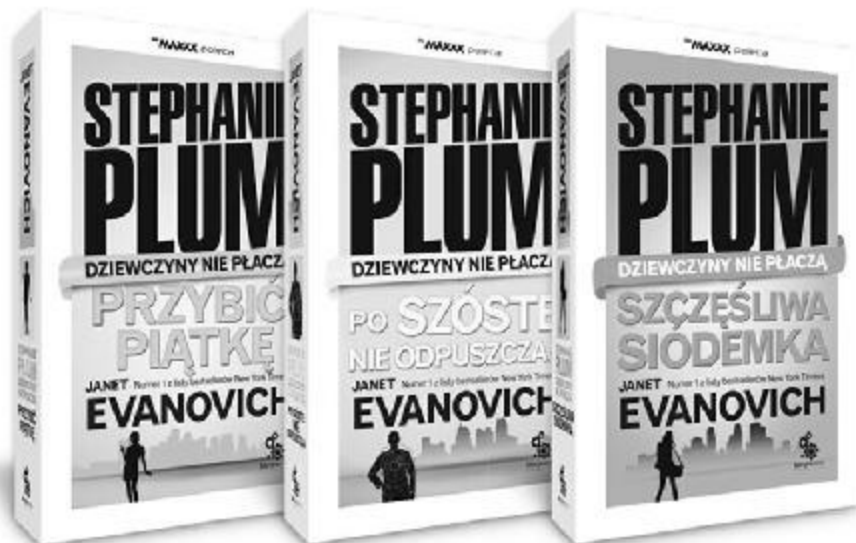
– Nie jestem ubrana.

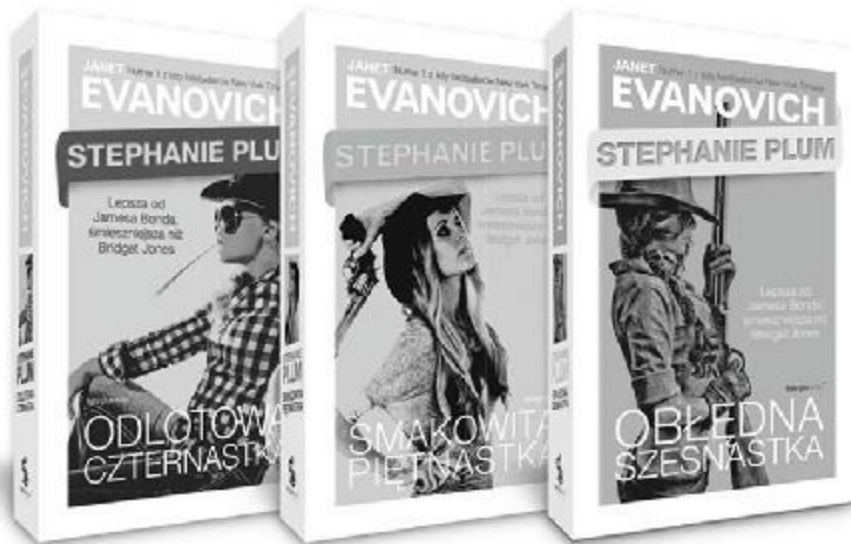
Morelli wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– To się doskonale składa, bo mam dla ciebie coś do ubrania. – I zakręcił na palcu koronkowymi, różowymi stringami. – Wstąpiłem po drodze do galerii. I pomyślałem, że będą na tobie świetnie leżeć.

Koniec części szesnastej







COPYRIGHT © Janet Evanovich

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2016

COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Dominika Repeczko, 2016

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-160-4

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta PROJEKT OKŁADKI Szymon Wójciak REDAKCJA
Dorota Pacyńska

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

**STEPHANIE
PLUM**

**JANET
EVANOVICH**

Numer 1 z listy bestsellerów New York Timesa

Stephanie Plum odziedziczyła po wujku Pipie „szczęśliwą” butelkę. Problem w tym, że wujek nie sprecyzował, na czym to szczęście będzie polegać.

Vinnie, szef agencji poręczycielskiej, dorobił się długów karcianych w wysokości 786 000 \$. Gangster **Bobby Słonecznik** zamierza więzić Vinniego, póki ktoś nie spłaci jego zobowiązań.

Wyposażona w „szczęśliwą” butelkę Stephanie Plum, wraz z **Connie** i **Lulą** u swego boku, musi „jedynie” odnaleźć Vinniego, ocalić agencję, zorganizować wyprzedaz chodnikową i konwent Hobbitcon, po drodze jeszcze ścignąć bigamistę, rabusia papieru toaletowego i gangstera o wdzięcznym przezwisku **Obrzyn**.

Ale wszystko to przecież pestka dla takiej „szczęściary”...

Lubimyczytac.pl:

Seria o Stephanie Plum to fenomen na skalę światową

Jak zwykle zdrowo rąbnięta, prześmieszna, odprężająca i do połknięcia w jeden wieczór :)

Dobra zabawa gwarantowana, a wybuchy śmiechu są na porządku dziennym

Przygody Stephanie Plum nigdy mnie nie zawiodą!

OBŁĘDZONA
SZEŚNASTKA

Książki o Stephanie Plum są śmieszne i wciągające jak kolejne odcinki serialu. Każda następna to oddzielna historia oraz nowe przygody trzydziestolatki z Jersey, która pracuje jako kowczyni nagród.